

WŁADYSŁAW GACKI

BRZEGAMI WÓD

(WŁÓCZĘGI RYBAKA)

W A R S Z A W A 1926

NAKLAD I DRUK R. OLESIŃSKI W. MERKEL I S-KA

<http://rcin.org.pl>

WŁADYSŁAW GACKI

BRZEGAMI WÓD

(WŁÓCZĘGI RYBAKA)

OPOWIEŚĆ

W A R S Z A W A 1926

NAKLAD I DRUK R. OLESIŃSKI W. MERKEL I S-KA

<http://rcin.org.pl>



ODBITO W DRUKARNI
R. OLESIŃSKI, W. MERKEL I S-KA
WARSZAWA, ul. CHŁODNA Nr. 37
TELEFON Nr. 69-46

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
♦ **Biblioteka**
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-88-58, 26-52-31 w. 42

794

<http://rcin.org.pl>

PRZEDMOWA.

Przyjął się u nas zwyczaj, aby nie pisać o książkach, które jeszcze światła dziennego nie ujrzały i spoczywają w mroku tajemnicy, jaką osłonięty jest każdy rękopis. Ja wszakże, sądzę, że należy brać życie tam, gdzie ono jest, i że należy wychodzić na spotkanie wartości w każdej dziedzinie, gdziekolwiek one powstają, nie czekając aż, jak w danym wypadku, jawią się one w postaci gotowej książki na półce księgarskiej i na biurku krytyka literackiego.

Czułość ta tembardziej jest pożądaną, że w dziedzinie twórczości literackiej, zwłaszcza zaś w dziedzinie prozy powieściowej, panuje od szeregu lat pustka i jałowość przerażająca: ostatnia powieść Żeromskiego — „Wiatr od morza” — jest świetnym wyjątkiem, który potwierdza raczej to nasze spostrzeżenie jako zasadę ogólną, niż je przewycięża. Jednocześnie zaś czułość owa tembardziej jest usprawiedliwiona, gdy daje nam zetknąć się z dziełem tak świeżego pióra i talentu, jak „Włóczęgi rybaka”.

Świeżość i oryginalność tego dzieła polega, przede wszystkim na tem, że jest ono w literaturze naszej zjawiskiem tego rodzaju pierwszym, że jest jedynem:

jest unikatem powieściowym. Jest to mianowicie obraz dużego odłamu bolskiej rzeczywistości współczesnej, oglądany oczyma rybaka-artysty.

Gdy płynąc w łódce brzegami rzek, lub na spokojnych kolysząc się jeziorach, spotykałem schylone nad wodą postacie rybaków, zarzucających swę wędy w gwarne lub milczące fale, i długimi czekającymi godzinami na swój zagadkowy połów, zawsze ogarniała mnie zazdrość na myśl o tych skarbach piękna i ciszy pozaludzkiej, jakie osiadać i gromadzić się muszą w samotniku tych dusz rybackich. Zdawało mi się zawsze, że jest to jakby pewien rodzaj wróżów, czy ofiarników pogańskich, którzy, pochyliwszy się u konfesjonatu przyrody, spowiadają bez końca jej tajnie odwieczne, nikomu poza tem nie znane. Wędka lub wędziej rybacki nienapróżno stały się symbolicznym narzędziem dobywania sekretu z dna duszy zamkniętej i milczącej. Ów ruch wędki, szerokie zataczający łuki, by haczykiem ostrym w toni się pograć, czyż nie jest prawięcznym jakby ruchem docierania do głębi, sondowania dna, wnikania w to, co najskrytsze, nieujęte, dzikie i nęcące?

Niedość na tem. Wskażcie mi widok na ziemi, któryby więcej dawał pokarmu duszy człowieka myślącego, niż widok fal, toczącej rzeki! PANTA REI — wszystko płynie — ta myśl starego Heraklita jest smutną i radosną prawdą, jaką człowiek po raz pierwszy wyczytał z głosu fal. Przejrzysta toń rzeczna, ruchoma, a wciąż ta sama, była pierwszem zwierciadłem, w którym odbiło się życie ludzkie, nie tylko w swych rysach powierzchownych, ale w swej głębi, w swem tra-

gizmie niewiadomego początku i nieuchronnego kresu: wszystko płynie: mijają ludzie i bogowie: nieustający i nieśmiertelny jest tylko ruch, wszechczas, będący wszechrzeczy i wszechmogłą światów.

Wszelako rybak, miłośnik wedki, żyje nie samą tylko kontemplacją: on działa, i to właśnie działanie wprowadza go w poufny ów stosunek z przyrodą, jakiego osiągnąć nigdy nie zdola człowiek, żyjący tylko zapatrzeniem. Henryk Bergsen powiada, że działanie, że czynność jest najlepszym środkiem poznania. Że czyn tylko pozwala nam z istotą, z wnętrzem rzeczy obcować. Otóż rybactwo jest tą właśnie czynnością, która najbezpośredniej pozwala człowiekowi z głębią, z otchłanią wód obcować i po bratersku współżyć. Samo nawet żeglarstwo, które tak wiele przecież uroku i potęgi w duszę ludzką z bezmiarów wodnych zgarnia, staje się dla rybaka czynnością jedynie pomocniczą, służebną, dodatkową.

Rybak czuje nietylko wód powierzchnię; on czuje ich wnętrze uspięne lub skrytymi nurtowane prądami. Dlatego każda ton wodna jest dlań odrębnym, zamkniętym w sobie światem; każda ma duszę odrębną, która swoim tylko gada językiem. I dlatego w każdej może się on rozkochać, w każdej coś zatracić z siebie, w każdej cząstkę swej duszy utopić.

Oczywiście, rybak-poeta.

Czytając atoli karty „Brzegami wód“, zebrane przez Wł. Gackiego, chce się niemal wierzyć, że w każdym rybaku tkwić musi jakieś ziarno rodzącego poezję zachwyty: niemaly to triumf artysty, który umiłowa-

niem swoim potrafił przepromienić ten świat, który jest światem jego najgłębszych przeżyć.

Mimowoli na myśl tu przychodzą „Zapiski myśliwego” Turgenjewa, który swą cudną książką tej samej udziela nam iluzji co do ludzi, oddających się z zapalem łowom i polowaniu, podnosząc ścigaczy zwierza leśnego na poziom dostojnych współczesników boskiego piękna pól, łąk i borów.

Utwór Wł. Gackiego ma ściślejszy a zarazem bardziej swoisty zakres: jego myśl artystyczna kroczy brzegami rzek i jezior; kołysze się we mgłach nadwodnych i towarzyszy „wodom wartkim, jasnym, pogodą jasną w duszę się kładącym”; zwierza się „nurtoni ciemnym, głębokim, gwarzącym o pracach i trudach tej ziemi”.

Jego wschody i zachody słońca skąpane są w toplei wód; pachną świeżem sianem, szumią rozchwianym tatarakiem; brzęczą brzękiem kos. Jego wieczory lipcowe spowite są w opary i w zadumy nadrzecznych, nadjeziornych moczarów.

Trudno o wyższy stopień zespolenia tworzywa z twórcą; tematu z artystą; człowieka z żywiołem.

To też, gdy autor poświęca karty swego dzieła „wodom, łąkom i drzewom”; gdy poświęca je tonom modrym i czarnym, jak modre i czarne oczy rusalek, urzekających serce nadwodnego włóczęgi i wabiących go w bezden śmiertelnego uroku; gdy je poświęca „wszystkim tym drogom rozmiękłym nad rzekami, nad jeziorami, wśród krzewów traw i ziół wodnych”, po których niósł beztrzęsą i swawolę dzieciństwa, i lat młodziem-

czych radość, i smutek samotny wieku męskiego; gdy poświęca je „wierzdom płaczącym, olchom i kalinom o krwawych jagodach”, czujemy i zdajemy sobie sprawę doskonale, że w słowach tych najgłębszą część duszy składa w ofierze najszczytniejszym ludzkim umiłowaniaiom.

Literaturze naszej przybyła rzecz świeża, cenna, pełna uroku, wzmagającego życia i pełna wrażeń, nowe odsłaniając strony w tym świecie, który zdaje się nam tak blizki, gdy go zwiedzamy wraz z poetą; tak blizki, jak gdyby był częścią naszej własnej duszy.

W. RZYMOWSKI.

WSTĘP.

Wodom, łąkom, drzewom — poświęcam te karty....

Wodom wartkim, jasnym, srebrzystym, pogodą radosną w duszę się kładącym; nurtom wód ciemnych, głębokich, gwarzącym o pracach i trudach tej ziemi...

Toniom czarnym, nieruchomym, w zadumie zamarłym, chłoniącym w topielach sylwety dębów wiekowych, — tym toniom przepastnym, jak samotna udreka.

Szarym, szerokim falom, odsłaniającym w kapryśnym rytmie rafy kamienne, ławice piaskowe, wiry ruchliwe, zachłanne, — jak życie nasze — tym szarym falom, rozgadany echami wszystkich trosk codziennych, bólów odwiecznych tej ziemi — poświęcam te karty....

Łąkom kwietnym, w opary, mgły lotne zasnutym, świeżem sianem, tatarakiem pachnącym, rozdzwięczną gęźbą rozkołysanym — pełnym krzyku ptactwa wodnego, brzęku kos — zdala, szmeru i szeptów much, ważek, poświstów żółwia i żab rehotu — w ciepłe, lipcowe wieczory...

Odludnym moczarom, grzęzawiskom, po których nocami błędne ogniki pełzają; posepnym, wilgotnym laskom olchowym, kobiercem paproci, konwalji usłanym, pochylonym nad wodami wierzbom płaczącym, wiklinom zdobnym w kwiatuszki liljowe, kalinom o czerwonych, krwawych jagodach — te karty poświęcam...

Wszystkim tym drogom rozmiękłym nad rzekami, jeziorami, wśród krzewów, traw i ziół wonnych, dalekim ścieżkom, po których stąpając, niosłem w sobie swawolę dzieciństwa i wieku młodzieńczego i męskiego radość życia — i smutek samotny, gdy sam na sam z przyrodą, żywiłem duszę czarem cudotwórczym jej piękna wiecznego... Świątnicom objawień serca, rozmyślań samotnych — te karty poświęcam.

Janostrów nad Bugiem.

SIELANKA.

Siedzą naprzeciwko siebie na szarym końcu krytego białym obrusem stołu, mali, niespostrzeżeni, od niechcienia słuchając biesiadnej rozmowy, zajęci sobą. Przyglądają się sobie żywo, szczerze. Kryją uśmiech w sobie, pogodą jasnych oczu dzieląc się otwarcie. Wszak jeszcze słowa wzajem nie zamienili.

Tomek przyjechał z ojcem przed godziną. Celinka z niecierpliwością oczekiwała kolacji, aby wreszcie zobaczyć gości, zawsze miłych na wsi. A teraz siedzą naprzeciwko siebie i tak im się dłużą te dania, te rozmowy przy białym stole.

— Prawda, jakie to nudne siedzenie, prawda? — mówią do siebie oczyma. Wreszcie — herbata — zapowiedź bliskiego końca. Celinka chciałaby wzrokiem popędzić zebranych: — pijcie, pijcie, póki gorąca!

I zdaje się, że to skutkuje: goście chciwie łykają gorący płyn. Pewnie kucharz pieczeń przesolił. Poczciwy Walenty, jakby się domyślił...

— Może państwo pozwolą, przejdziemy!

— Nareszcie! Szuranie krzesłami, ukłony, całowanie rączek. Starsi przeszli do dalszych pokojów,

by zająć miejsca przy zielonych stolikach. Stół uprzątnięto przy udziale Celinki i nakryto serwetą. Spojrzeli na siebie śmiało, pytając się oczyma:

— A my co będziemy robić?

— Chcesz tu zostać? — spytała.

Tomek uśmiechnął się zamiast odpowiedzi i przysunął się na krześle do stołu.

— Twój tatuś mówił, że zdałeś do drugiej klasy. Ja także! Ale ja bardzo stąd daleko, aż w Petersburgu!

— W Petersburgu?!

— Tak, tatuś ma tam posadę, ale ja się uczę polskiego!...

— Nie chciałbym tam mieszkać — miał odpowiedzieć Tomek, ale powstrzymał się, jakimś lękiem stropiony. Spojrzał na Celinę i choć jej twarzyczka jasna, zdrowa, okolona złotawymi włosami, wydawała się radosną, poczuł dla swej towarzyszki dziwne, niewymowne współczucie.

— Ale u nas ładniej? — zapytał żywo, odrywając się od chwilowej smętnej zadumy.

— Chociaż ja mówię, u n a s, to tam daleko, w Petersburgu, ale to z przyzwyczajenia, jak wszyscy tamtejsi, ale u nas ładniej! Ja tu u was, raczej u nas, jestem dopiero trzeci raz w życiu! Wiesz, u was to wszystko inaczej! Wszystko, nawet słońce inne! Jeszcze nigdy nie widziałam w a s z e j zimy; pewnie nie taka zła, jak tamta! Nie lubię zimy!

— Ja także! — odpowiedział Tomek.

— Żeby tak ciągle było lato! Chciałabym mie-

szkać zawsze tu — u was! Wiesz — mówiła dalej cichszym głosem, opierając skroń na dłoni. — Chciałabym tu mieć mały domek, własny, maleńki...

— Nad wodą — dorzucił Tomek.

— Tak, nad wodą, choćby nad wielkim stawem.

— Z ogródkiem.

— Rozumie się, żeby chować najrozmaitsze zwierzęta, cały zwierzyniec! Ha... ha... ha... Mamusia śmieje się i mówi, że powinnam wyjść za mąż za właściciela menażerji!...

Nagle spoważniała i mówiła dalej:

— Tatuś mi obiecał, że jak się dorobi, wrócimy i kupi mi taki domek.

Tomek poczuł płomień na twarzy i żywsze bicie serca. Bo i jakże? To, o czym mówi Celinka, to jakby słowo w słowo to samo, o czym tyle już razy głośno marzył ze swoją mamusią. Czyżby kto ich podsłuchał? Nie, Celinka, to mówi tak szczerze, sama z siebie... Ukradkiem spojrzął na nią. Zamilkli na chwilę.

— Szkoda, że tak późno przyjechałeś. Mamy śliczny ogródek. Są sadzawki.

— I ryby? spytał żywo Tomek.

— Są karasie.

— Łapałaś, biorą?

— Na wędkę — nie chcą...

— Trzeba je znęcić — odrzekł Tomek tonem znawcy.

— Po co je mam nęcić, kiedy doskonale się łapia w węcierze, takie śliczne, złote.

— Duże?

— Różne bywają. Chcesz, możemy spróbować.

— Teraz?

— Gdzież teraz? W nocy? Jutro rano!

— Celinko, czas spać! — dał się słyszeć głos z sąsiedniego pokoju.

Dziewczynka wyduła usta. Powstała z miejsca, podeszła do Tomka.

— Jeżeli chcesz, — mówiła tajemniczo — jutro spróbujemy. Każę jeszcze razowca upalić i dziś jeszcze zastawię wiewierze.

— Dziś?

Celinka złożyła palce na ustach i, nachylając się nad uchem towarzysza, wyszeptwała:

— Wiem, gdzie leżą na brzegu. Pójdę niby spać, a potem przez okno... Ja już to nieraz robiłam! Noc jasna!

— A nic ci się nie stanie?

— Hoho! Ale to tajemnica, pamiętaj! Wiem, gdzie będziesz spał. Jutro cię obudzę; tylko nie śpij, śpiochu, twardo, bo sama pójdę! Kiwnęła żywo głową, zaśmiała się swobodnie i wybiegła z pokoju. Tomek podszedł do okna. Noc ciepła, wygwiażdżona, wabiła szmerami. Żał mu było, że nie poszedł z Celinką.

— Może jej się co stać! Może się utopić! Jak ona się naraża i to dla mnie!...

Wyrzucał sobie, że zgodził się dla własnej przyjemności na jej wyprawę.

— Jakże tam pięknie — tam na łodzi!

7

Zaproponowano Tomkowi spoczynek i odprowadzono do gościnnego pokoju. Założył okno na rygiel, rozebrał się. Przyłożył głowę do poduszki, ale zasnąć nie mógł. Żałował, że tak późno przyjechał, że nic nie widział. Lękał się o Celinę, gotów w każdej chwili zerwać się na jej ratunek. Celinka jest odważna. I jak ładnie mówi! A czy nie zaśpi? Gdyby wiedział, gdzie Celinka śpi, samby ją obudził. On nie zaśpi, szczególnie — na ryby! I z Celiną! Takiej ślicznej dziewczynki jeszcze nigdy w życiu nie widział! Mrużył oczy, chcąc zasnąć, podczas gdy jasna twarz Celinki raz wraz wychylała się, jakby z za ciężkiej czarnej kotary, światłością promieniejąc... A jednak żał mu, sam nie wie, czemu... Jakby to dobrze było, gdyby mieszkali w jednym mieście! Spotykają się, wracając ze szkoły. Idą obok siebie, gawędzą. Byłoby tam rzeczy do opowiadania, jak to w czasie szkolnym! „Tomek ma swoją facetkę!” powiedzieliby zaraz koledzy. Kopnął z gniewem kołderkę, jakby odpędzał napastnika. Nigdy nie pozwoliłby kolegom o tem mówić! Wolałby wcale z Celiną się nie spotykać... Czemu ta Celinka tak daleko mieszka, tyle mil, tyle!... Może już śpi, a może jeszcze na łodzi?... Nasłuchiwał: cisza była. Tylko hen zdala szczekanie psów dobiegało coraz słabiej, coraz smętniej...

.... Poczekaj, Celinko, czemu uciekasz odemnie?

Celinka, twarzą zwrócona do Tomka, z śmiejącymi się oczyma, odrzucając z nad czoła włosy, — szybko oddala się przez długą brzozową aleję...

Tomek pędzi co tchu, dziwiąc się, jak Celinka może tyłem tak szybko biegać....

Aleja jest równa, nieskończenie długa; w dali zwęża się w lejkwato-przepaścisty, zielony korytarz....

Tomek siły natęża, potyka się, a postać Celinki wciąż się oddala, maleje, staje się białym motylem, punkcikiem jasnym — i ginie w głębi zielonego tunelu...

Poczuł w krtani krzyk, gotowy z piersi ulecieć... I usiadł raptownie na posłaniu.

Zadzwonila szyba. Ocknął się, przetarł oczy. Znów szyba zabręczczała. Wychylił się: na dróźnie stoi Celinka z głową wzniesioną — stoi i nie ucieka! Jak to dobrze! Rzucił przez okno:

— Zaraz!

Wyskoczył z łóżka. Opluskał twarz wodą, ubrał się błyskawicznie — jak przed pójściem do szkoły — o trzy na dziewiątą!...

Wysunął się przez okno, przytknął je za sobą, zeskoczył na ziemię. Podali sobie ręce.

— A śpiochu, aż cztery kamyki musiałam rzucić!

Rumieńcem pokrył odpowiedź, że przecież to nienaumyślnie.... Spojrzał radośnie na towarzyszkę i rzekł głośno:

— To dobrze, że jesteś!

Z pod słomianego jej kapelusza z wielką granatową kokardą sypały się gęste pukle, związane wstążką w nieładzie.

— Biegnijmy, już czas!

Chwyciła Tomka za dłoń, pociągając za sobą.

Ranek był cichy, ciepły. Na listkach piwonji, stokrotek, na krzakach agrestu srebrzyły się krople rosy. Śród wydeptanej trawy na ścieżce lśniły się brunatno-czerwone ciała grubych dżdżownic.

— Doskonałe na okonie! pomyślał Tomek.

Zboczyli na trawnik. Przedzierając się po stoku pagórka przez gęste zarośla, Tomek poczuł bliskość wody.

— Tędy, tędy! — przodując, nawoływała Celinka. Zatrzymali się na brzegu stawu. Śród kępy tataraku stała spora łódź. Pierwsza skoczyła Celinka, chwyciła wiosło, za nią Tomek; drugim wiosłem odbił łódkę od brzegu.

Rozejrzał się wokół. Naprawdę, jak tu ślicznie! Po środku stawu kępa zielona, taka ciemna, poważna, jak opuszczona kaplica. Biały domek — na górze, śród starych modrzewi. Brylantami rosy skrzą się trawy, drzewa, Żóraw skrzypi zdala. A nad głową — błękit — najmiłsza życia pieszczota!

Zanurzył wiosło w gęstej rzęsie, pokrywającej powierzchnię. Obejrzał się na Celinke, pytając oczywiście, dokąd ma płynąć.

— Poczekaj, ja pójdę do wiosła, a ty do steru. Ty nie wiesz, gdzie są wężycierze. Czy aby dobrze zastawiłam? — dodała, przeskakując przez ławeczki i popychając towarzysza do steru.

— Tak ciemno było, że.....

— Bałaś się?

— Nie, ale musiałam rzucać siatki, jak popadło.

— A ja się bałem, żeby ci się co nie stało. — odrzekł Tomek, zwolna wiosłując.

— Eh! Choć to nie jest bardzo przyjemnie: spojrzysz nocą w taką czarną głębię i zdaje ci się, że ot za chwilę zabałwani się toń i wynurzy się z niej taki potwór straszny — kudłaty łeb i wielkie kosmate łapy... Jak w bajce, prawda? Zaśmiała się, rozgarniając wiosłem rzęsę.

Miło Tomkowi tak słuchoać i rozglądać się po zieleni.

— Co gorsze, że nie mogłam znaleźć więcierzy, cztery tylko zdybałam w krzakach, ale to dosyć. Wolno, wolno, bo zaraz będzie pierwszy! Już widzę kaczkę.

Po kilku chwilach nachyliła się, aby ująć kawałek kory, wycięty w kształcie serca. W krótszej, niż wczoraj, jakby wyrośniętej sukience zdawała się jeszcze mniejsza.

Rzuciła korę do łódki i, pociągając za linę, zaczęła zмагаć się z więcierzem, aby go ruszyć z dna. Tomek czekał z bijącym sercem... Zadygotała się, jak żywa — z rozdarłej rzęsy wynurzał się powoli, zasnuty zielonemi, drobnemi listkami i włoskowatemi korzeniami więcierz, pełen trzepotu i złotych połysków.

— Są! — krzyknęła radośnie Celinka, opuszczając się na łódkę.

— Jakie duże! — szepnął Tomek.

Usiedli naprzeciwko siebie na ławeczkach, wyjmując po kolei spore karasie.

Oczy im się śmiały, szczególnie, gdy w pościgu za karasiami ich dłonie natrafiały wzajem na siebie

— Dobry początek! Jedźmy dalej! — zawołała Celinka. Z tą samą zręcznością wyciągnęła jeszcze jeden więcierz, dwa zostawiając „na szczęście” Tomkowi. Słomiany kapelusz zsunął się jej na plecy, włosy spadały na czoło, stopy były w wodzie. Z mokrych pończoch, spódniczki, pokrytej rzesą zbierała, skubiąc, to strząsała drobne, miękkie listki, raz wraz migając rąbkiem bieluchnych koronek... Wyglądała przy tej czynności, jak ruchliwa pliszka biała! Była dla Tomka jednym zachwytem — śliczną rybaczką, najpiękniejszą w świecie!

— Przejdź, Celinko, do steru, tam sucho, odpocznij, musisz obeschnąć! Ja sam sobie dam radę — rzekł łagodnie, widząc jej zakłopotanie widokiem przemokniętych trzewików.

— Te karasie tak chlapią! — odrzekła niby z gniewem. Skoczyła żywo, usiadła przy sterze, zgarnęła fałdy sukienki, zmoczone nożyny oparła o ławeczkę, błękitem oczu zbierając zbawcze blaski słoneczne, sączące się z modrego nieba przez gęste kornary.

— Wiosłuj na lewo! Zaraz powinien być!...

Płynęli powoli, przyglądając się kępie. Celinka mówiła, że tam bardzo dziwnie, zawsze tak zimno, tajemniczo, mrocznie, jak w kościele.

Budziło się życie w odgłosach, biegnących od kuźni i dworskich zabudowań.

— Jest, jest, patrz, na lewo, naprzeciwko garbu tej olchy! Widzisz?

Tomek dojrzał, poruszył parę razy wiosłem, wychylił się i chwycił w przelocie „kaczkę”. Łódź zatrzymała się. Tomek pociągnął za linkę: sieć wynurzyła się z pluskiem, trzepotem. Połów był wyśmienity!

Rzucili się obydwójce do sieci, śmiejąc się, chociaż, podając sobie co większe karasie. Celinka, zapominając o wszelkiej ostrożności, przemokła do reszty, zamorusała się szlamem okropnie. Tomek widział to, ale nie śmiał powtrzymywać radosnego uniesienia towarzyszki.

Przy ostatnim wścierzu był tylko śmiech: zarzucony na zbyt płytkim miejscu, zawisł na jakimś pieńku. Wyciągnięto go z trudem, ciesząc się, że nie podarty.

— Czas wracać, Tomku! — mile zadzwęczał głos Celinki. — Która godzina?

— Szósta dochodzi!

Teraz dopiero spostrzegła, w jakim znajduje się stanie. Zakłopotanie na chwilę zamroczyło jej oczy. Otrząsnęła ręce z rzęsy, odgarnęła swobodnie włosy z czoła, jakby chciała powiedzieć: E, co tam!

— Musimy wrócić na to samo miejsce, wścierze złożyć — jakby nic!

Chwyciła za wiosło, pomagając Tomkowi.

— A dalej? — spytał nie śmiało.

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! Ale udało się nam nieźle! Będzie ich ze czterdzieści, prawda?

— Albo i więcej!

Łódź przybiła do brzegu. Tomek wyskoczył pierwszy, wyciągnął łódkę na murawę. Celinka — za nim.

— Poczekaj! — rzuciła za sobą i znikła w zaroślach. Po chwili wróciła, dźwigając wiaderko. Tomek podbiegł, odebrał je z rąk dziewczynki, kucnął nad wodą, zgarnął dnem rzęse, nabrał wody, przełożył szybko trzepoczące się ryby.

Celinka tymczasem, podskakując, strząsała z sukienki resztki zieleni.

— Wracamy! — rzekła decydująco.

Podeszli do wiaderka. Tomek chciał być rycerskim.

— A nie! — broniła się Celinka. — Zaczęliśmy razem, to już kończmy razem!

— Ale ty Celinko, już wczoraj napracowałam się.

— To nic, to była zabawa!

Umowa stanęła, że Tomek wniesie na górkę, a potem już razem.

Podbiegła naprzód. Tomek uniósł wiadro i zgiął się wpół. Nie mogąc nadażyć za towarzyszką, gramolił się powoli, ale nie ustawał. Zrównali się na górze.

— Zdźwigales się, Tomku, pomogę ci teraz!

Ujęli z dwu stron wiadro i, obijając się o nie ko-

lanami i przyskajac wodą, szli wolno dróżką, spoglądając na siebie śmiejącemi się oczyma.

— Skręćmy — rzekła Celinka, pociągając Tomka w zarośla.

I łowiąc błysk zdziwienia w oczach towarzysza, żywo dodała:

— Tu zostawimy ryby! Tu ich nikt nie weźmie, a po śniadaniu przyśle się kogo, aby je zabrał do kuchni — jakby nic!

Przykryli wiadro gałazkami, wybiegli z krzaków, klaskając w dłonie. Celinka zatrzymała się na dróżce i, podnosząc palec do ust, rzekła tajemniczo:

— Teraz tą samą drogą do domu! Pewnie jeszcze wszyscy śpią, to dobrze!

U węgła domu pożegnali się błyskiem rozradowanych oczu. Celinka znikła w krzakach bzu i jaśminu.

Tomek pozostał sam. Spojrzał na siebie i zaczął pośpiesznie się czyścić, otrząsać z błota trzewiki, przeszedł kilka kroków, poznał znajome okno, wdrapał się po podmurówce, i cicho wsunął się do pokoju. Jak mógł najciszej, rozebrał się, schował trzewiki pod łóżkiem, wsunął się pod kołdrę, próbował zasnąć.

— Gdyby to zostać! — marzył, przejęty niewymowną, ciepłą radością. W półśnie oglądał zachwyconemi oczyma przebieg ранnej wyprawy, dziwy, niewiadomo skąd w głowie się biorące, — tajemniczej wyspy na stawie...

— No, śpiochu, wstawaj, śniadanie!

Usłyszał wesoły głos ojca. Wcisnął głowę pod kołdrę, udając zaspanego.

— Żywo, żywo, już wszyscy przy stole! — dorzucił ojciec, wychodząc z pokoju.

Tomek usiadł, przetarł oczy: widzi przy łóżku oczyszczone trzewiki, na krześle starannie złożone ubranie.

— Jakże to? Skąd to się wzięło? Przecież tu nikt nie wchodził! A może spałem. Ano pewnie — pomyślał. Ubrał się szybko, wolny od troski, bo przecież nie mógłby się pokazać w t a k i e m ubraniu...

Gdy wyszedł do stołowego pokoju, zastał już wszystkich przy śniadaniu. Zajął miejsce wolne obok ojca, naprzeciwko Celinki. Zajadali ze smakiem bułkę, popijając kawą, uśmiechnięci do siebie jak dobrzy znajomi. Ale oczy Celinki jakoś dziwnie patrzą: błękitne jakby ściemniały, mgielką zasnułe, czy z niewyspania, czy smutkiem zmroczone. W przeczuciu czegoś niedobrego Tomek rozglądał się po twarzach zebranych, nie śmiać się odezwać. Zachowanie ojca nie wskazywało, aby już wiedział cokolwiek...

Zebrani powstali z miejsc, gdy Tomek zatrzymał wzrok na twarzy zwiędłej, zasuszonej, zastygłej w chronicznej malkontencji...

— Ta, napewno już wie!

Zaledwie to pomyślał, powstając za innymi, gdy ta sama odrażająca pani o długim haczykowatym nosie, utkwiała w Celince zabójcze, stalowe spojrzenie i zazgrzytała, jak zardzewiała oś:

— Proszę do lekcji! Skłoniła się głową całemu

towarzystwu i jak śmierć angielska przesunęła się ku drzwiom.

Celinka zerwała się z miejsca, przebiegając koło Tomka, zdążyła szepnąć:

— Nie masz pojęcia, jaka awantura! Ale to nic, i tak się nam udało!

I pobięła za ową panią.

Żal ścisnął serce Tomka. Awantura! I to przez niego! A jemu nic! Jaka niesprawiedliwość! Że też wczoraj tej wyniosłej tyki nie zauważył! Tuby go ostrzegło!..

Zebrani rozchodzili się. Gospodarz domu, ujmując ojca pod ramię, wprowadził go do swego gabinetu.

Tomek ukłonił się i wyszedł na ganek. Usiadł na ławce, zamyslił się. Z jakąż radosną gotowością odrobiłby lekcje Celinki, choćby za całe dwa tygodnie!

Nasłuchiwał, czy przez okno nie doleci choć słowo tej przeklętej lekcji...

Nie wiedział, jak długo tak siedział, gdy na ganek ukazał się ojciec i krótko oświadczył:

— Tomku, nigdzie nie odchodź, zaraz jedziemy!

Tomek szarpnął się, chciał pobiec za ojcem, coś mu ważnego powiedzieć, gdy zaproszono go do stołowego pokoju. Celinki nie było. Za posiłek dziękował, nie czując głodu, lękliwie spoglądając ku drzwiom. Panowie rozmawiali o interesach, przyczem ojciec coś notował w papierach.

Przed dom zajechała bryczka. Ojciec dopijał ostatnie łyki herbaty. Konie, niecierpliwie szarpały

uprząż, uderzały głucho kopytami. Tomek powstał za przykładem ojca i zaczął się żegnać. W przedpo-koju zarzucił na siebie płaszcz, gdy z bocznych drzwi wysunęła się Celinka. Patrzyła tak poważnie, jakby smutnie. Tomek wziął ją za rękę i cicho rzekł:

— Wybacz, Celinko, to przeze mnie!..

— To nic! — Uśmiechnęła się wesoło. Widzisz, tem lepiej będę pamiętała, że u nas piękniej!

Podali sobie dłonie!

— Włożyłam ci do bryczki kilka karasi — przecież to nasz wspólny połów!

— Ech, Celinko!..

Chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy usłyszał odgłos zbliżających się kroków; wypuścił dłoń Celinki i wybiegł na ganek. Po chwili ukazał się ojciec, ubrany do drogi, pożegnał jeszcze raz towarzystwo i zajął miejsce na bryczce. Tomek podskoczył z drugiej strony i usiadł obok.

Ojciec wyjął papierosa. Tomek odnalazł wśród zebranych na ganku Celinkę: jasną główkę wsparła na ramieniu, zawieszonem na zielonej gałązce dzikiego wina i patrzyła spokojnie, uważnie swemi cudnemi, lazurowemi oczyma...

— Wio! rzekł ojciec, rzucając zgaszoną zapal-kę.

Konie ruszyły szparko.

Wjechali w piękną topolową aleję.

Tomek głowę pochylił, żalu serdecznego pełen.

— Cóż, podobało ci się tu? — zapytał ojciec.

— O, tak, bardzo! — odrzekł Tomek, wdzięczny

ojcu za to pytanie, cały zapal duszy kładąc w te słowa.

— My ojczy, jeszcze tu wrócimy, prawda? — zapytał, patrząc w twarz ojca.

— Nie wiadomo. Może i ci państwo niedługo, niestety, będą mogli tu pozostać... Dziwnie, synu, krzyżują się czasami drogi ludzkie!..

Wyjechali na otwartą drogę. Smutkiem bolesnym ogarnął Tomek szerokie, zielone pola, gdy tuż, tuż przeleciała jaskółka, wydając żaloszny głos. Odprowadził ją oczyma daleko w błękit, aż gdzieś zapadła znikła, jak strzała...

W A G A R Y.

— Co, pójdziemy?! — Tomek potrząchnął kolegę za ramię, badając go oczyma, czy nie skrewi.

Stach lubi się namyślać, wiadomo, ale zgodzi się napewno.

— Zrobione! — odrzekł po chwili, ruszając lewym uchem, co zawsze niezmiernie Tomka bawiło.

— Dobra! — podchwycił ochoczo. — Ktoby się tam ściał z geografji, prawda? Mam jeszcze cały wieczór, zresztą już umiem 15 pytań od końca!

— A ja cztery pierwszel! — oświadcza Stach i nie chwali się: to „szczęściarz“ w całej klasie znany! Jak sobie powie: jedno z pierwszych pytań, czy środkowych, czy ostatnich — nigdy nie chybi.

Idzie śmiało, czerwoną łapą sięgnie — jest! Ciągnie bilet, jak okonia! A koledzy wnet poznają, że trafił, bo strzyże uszami. Tomkowi to imponuje, bo on nie ma szczęścia i nieraz już fatalnie „wpadał“. Ale tym razem chce znów zaryzykować — niech tam, a może się uda!!...

Bo dni takie piękne, kąpią duszę w ciepłe, błękiecie, i serce, jak ptak więziony w klatce, trzepoce się tęsknie, chciałoby wyrwać się z piersi, lotem ja-

skółki wyfrunąć hen, poza mury, ulice szare i duszne — tam, do krainy szczęścia, — do wody, srebrzącej się w słońcu wśród cudnej zieleni majowej!...

Umowa stanęła: Stach przyjdzie obudzić Tomka. Przesadzi płot, aby stróża nie budzić, a potem, jak zwykle!.. Gotowe!

— Więc przyjdiesz na p.? doświadczał się Tomek. — Tylko mi nogi nie urwij!..

Stach kiwnął głową. Podali sobie ręce i rozbiegli się w różne strony.

Tomek wrócił do domu rozpromieniony w duszy zamiarami na dzień jutrzejszy. Czując niepokój sumienia, że to znów będzie powodem zmartwienia matki i gniewu ojca, natychmiast po obiedzie zasiadł do książki.

Rozłożył pytania, atlas, podręczniki i pytanie 14-te: *So j e d i n i o n n y j e S z t a t y*

Czytał, czoło wsparłszy na dłoniach, mamrotał z zamkniętymi oczyma. Znów czytał i urywał w środku zdania, rzucając żywe spojrzenie na ogródek owocowy przed domem, pełen wróblego świergotu. Jak na złość tak się rozświerkały, że ani sposobu się uczyć! Trzebaby chyba okno zamknąć! Ale nie chce się Tomkowi!

Zamyślił się i począł w zadumie kreślić na ceracie symboliczne godło *So j e d i n i o n n y c h S z t a t ó w*, wymyślone przez jednego z kolegów: dwie nogawki!

Znów czytał, nie mogąc wybrnąć z tego nieszczę-

snego pytania. Martwił się z góry, że napewno wyciągnie je na egzaminie.

— A niech tam! — W miarę, jak czytał, ogarniała go coraz większa obojętność choćby na najgorsze następstwa chybionego egzaminu:

— A niech tam!

Z coraz większą niechęcią, przeradzającą się w odrazę, przerzucał stronicę książki, trąc dłonią czoło. Wolałby najcięższą robotę, niż tę wstrętą geografję!..

— A wolałby nadewszystko!..

Już widzi, jakby to było: idzie sobie brzegiem zielonym, w szmer wody wschłuchany i szept szuwarów; obchodzi wszystkie zakręty, wymijając wierzby zgarbione, przeskakując dołki, rowy, zarosłe sitowiem, gałuchą, ogląda belty — gdzie głębiej — pod krzakami, pod kępą tataraku — zarzuci wędkę — probuje — podetnie płótkę, okonia, albo i nic — i pójdzie dalej... Albo puści z prądem ku szuwarom, pod drugi brzeg — tam płóć pewna! Płynie piórko, płynie po wodzie... Podetnie — jest płóć!

Idzie tak w słońcu, w błękicie, spotyka chaty białone, wieńce na wzgórkach rozsiadłe i sadów korony, stada i pastuchów gromady, i baby, klepiące kijankami, wśród białych płacht na łące... Wymija wioski i gaje, idzie wciąż, daleko, przed siebie — aż do Wisły! A stamtąd może i dalej; gdyby się dostać na jaki statek! Tę życie było! Taki szmat świata zobaczyć, i wszędzie móc przystanąć, napatrzeć się, wiele dusza zapagnie!..

Tomek ani się spostrzegł, gdy zapadł mrok i zawołano go na herbatę.

Nieśmiało spotkał się ze spojrzeniem matki, pełnem współczucia dla jego pracowitości. Łykał ze smakiem kęsy chleba z szynką, zerkając na talerz, czy aby zostanie coś do zabrania na jutro.

Po kolacji znów książkę rozłożył, próbując się uczyć: znów utknął na pytaniu 13-ym — i ani ruszył! W pokoju rozmawiano, to znów siostra zaczęła bębnić na fortepianie.

Jakże się tu uczyć? Zresztą i oczy zaczynały się już kleić i raz wraz spoglądały pożądliwie w róg pokoju, gdzie stało łóżko Tomkowe.

Jakoż przed dziewiątą zaczęto się rozchodzić. Tomek uprosił jeszcze pół godziny, niby to chcąc skończyć 12-te pytanie.

— Dobranoc, dobranoc!

Tomek zaczął mechanicznie odczytywać treść pytania, wreszcie znudzony, zerwał się i, cicho stępując, zamknął dwoje drzwi. Przeczekał chwil sporo, jakby stojąc na czatach... Słysząc urywki rozmowy, śmiech, zdmuchnięcie lampy... cisza. Uchylił ostrożnie drzwiczki kredensu, co było, zawinął, położył na stole. Dwa wędziska składane wysunął cichutko z za szafy, postawił przy oknie, obok stare trzewiki. Z szufladki wyjął wędki, pudełko z haczykami, pęk sznurka z uwiązanym na jednym z końców drobnym ciężarkiem, rozmotał i rzucił na stół. Błyskawicznie począł się rozbierać. Będąc już w koszuli, podszedł do okna, bez szmeru lufcik otworzył, ciężarek na ze-

wnątrz opuścił, lufcik przymknął, prowadził sznurek po podłodze, lampę zsuwając na róg stołu; zdmuchnął, i lekko, aby nie wyprężyć zbytnio sznurka, wsunął się pod kołdrę. Przytulił głowę do poduszki, zadowolony, że teraz napewno już nie zaśpi.

Cóż robić? Mamusia zawsze mówi: jak zaśnie, możnaby go wynieść!..

Mrużąc oczy, zmęczone w półśnie wypatrywaniem pływaka na srebrzystej toni, oślepiającej blaskiem słonecznym, zasnął w chwil parę.

Sposób był niezawodny: szarpnięty za nogę krzepką dłonią Stacha, Tomek usiadł na łóżku, przecierając oczy. Natychmiast przywrócony do przytomności żywą troską o nogę, ściągnął pętlicę i zaczął szybko się ubierać.

— Wyrzał przez okno: Stach czeka, przystępując z nogi na nogę. Tomek zwinął sznurek, wrzucił do szufladki, wędziska przez lufcik podał kółdę, następnie wędki, haczyki, scyzoryk, dwie miedziane dziesiątki. W ostatniej dopiero chwili naciągnął trzewiki, cichutko otworzył okno, przymknięte tylko na rygiel i wyskoczył na podwórko.

Powitali się uśmiechem.

Ruszyli z miejsca przez obszerne podwórko do płotu, przerzucili na ulicę wędziska, jak zwinne koty przesadzili ogrodzenie.

Złoty ranek majowy owionął ich radosną świeżością. Zaczęli biec, rzucając spojrzenia to w prawo, to w lewo, to na siebie wzajem; błyskiem oczu witali domy, ogrody, drzewa, zakręty ulic, starych znajomych,

cały ten świat — tak ogromny — w promieniu kilkuset kroków, przemawiający do duszy całym bogactwem wspomnień najpierwszych — przygód, figlów, trosk i krzywd codziennych...

Biegną... Mijają na przedmieściu małe szare domki, o szybach mętnych, jak oczy chore, zaropiałe, nędzne lepianki, przykucnięte przy czerwono-brudnych murach fabrycznych.

Oto rogatka! Domki coraz rzadsze, schludniejsze, małe ogródki z grzędami jarzyn. Stara kuźnia, ścicha sapiąca, na skrócie.

Wybrali cel wycieczki: staw na strumyku z młynem, o milkę odległy. Przeleci się: dla nich to nie pierwszozna! — Już po dwie i trzy mile biegali!

Zarumienieni i zdyszani zatrzymali się pod topolą. Tomek rozwinął „prowjanty“, część podzielił po bratersku, resztę zostawił na potem.

Jedli ze smakiem, Stojąc na wyniosłości, mieli przed sobą miasto. Bielili się w dali plamy domostw, połyskiwały czerwone dachy koszar, wśród zieleni ogrodów. A nad tem, prościutko przed nimi, jak strzelił, wysmukła wieża kościoła!

— W drogę! — rzucił Tomek, odwracając się z niechęcią. Zaczął biec szybko, nerwowo, jakby uciekał, pozostawiając za sobą kolegę.

— Tak, nie żał mu! I zawsze tak jest, ilekroć wyrwać się może, choć tam zostawia swoich najbliższych!..

— Nie żał mu! Słodka ulga duszę roztula.

— Biec, biec, hen! Wszystko za sobą zostawić,

bo przed nim samo dobro! Co?... Sam nie wie. To słońce, błękit, ta cudna zieleń, ta woda, której się nigdy napatrzeć nie mógł?...

Biegnie, skacze, jakby chodzić nie umiał, a serce uderza radosnym rytmem siły, rzeźkości, swobody!

— Wolnego! — zawołał zasapany Stach, dopędzając kolegę.

Krępy i gruby, snąć nie lubi biegać! Chodzi równo i wolno, szeroko rozstawiając nogi.

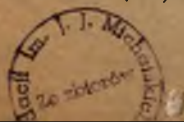
Zrównali się. Minęli wiatrak na uboczu, kępę samotnych sosen na piaszczystym wzgórzu i starą karczmę przy drodze, rozmawiając półgębkiem, zadyszani, zgrzani. Aby prędzej, prędzej, bo słońce już wysoko!

Wreszcie znajoma droga na prawo, wierzbami sadzona. Szli „gęsiego“, podskakując, aby uszczknąć zwisających nad głową warkoczy wierzbiny, zatknęli zielone gałązki za palmy czapek uczniowskich. Hej! Coraz im raźniej, weselej!

Dalej droga prowadziła jakoby wąskiem korytem, wyżłobionem wśród stromych urwisk. Puścili się z góry, aż, ciężko dysząc, zatrzymali się u studni, przed pierwszą na skraju wioski chałupą. Ochoczo zaczerpnęli wody.

— Dobra! — zawołał Stach, parskając, jak źrebak.

Niebawem obsadziły ich Burki, Kurty i Bukiety wioskowe, ujadając zawzięcie, społem i na zmianę.



Opędzali się na prawo i lewo, i z tyłu, pośpieszając co sił.

— Nie trzymaj tak wędziska, bo czubek złamiesz! — krzyknął Stach, piarunując patrząc na kolegę.

Tomek zręcznie przerzucił pęk wędzisk.

Uwaga była słuszna.

— Czubek wędziska złamany — niema łapania!

Z radości aż podskoczyli do góry: zdala dobiegał miarowy, głuchy odgłos: ter-ter-ter-ter-... Jeszcze kilkanaście kroków i stanęli na wzgórzu, skąd ujrzeli szeroką srebrną taflę stawu i wysmukły, zgrabny młyn, do którego zbiegała wąska, wyboista drożyna, umajona młodemi wierzbami.

Młyn wesoło terkotał. Zielona wstęga wody spadała z szumem między żebra kół młyńskich, rozpryskując się w tysiącnych pluskach, skrach, pyłkach; spadała brylantową kaskadą w spieniony wir, w odmet, spowity w opalową mgłę.

Nie było chwili do stracenia. Łykając duże kęsy chleba, zaczęli rozwijać wędki. Stach nie zawiódł: nakopał robaków, i tych najlepszych, czerwonych.

Rozbiegli się w różne strony. Tomek, opuszczając się po spadzistym brzegu, zarzucił wędkę pod same koła, spodziewając się tam okonia. Jakoż się nie mylił: przez godzinę wyciągnął ich kilka i sporego klenia. Włożył je do siatki, obiegnął młyn przez mostek, aby z drugiej strony próbować, gdzie woda, szeroko się rozlewając, tworzyła spokojny bełt. Jakoś nieźle mu się powodziło: i tu przez parę godzin

złowił kilkanaście rybek. Zawołał na Stacha: ten odpowiedział z nad pierwszego mostu, potrząsając w powietrzu złowioną płocią.

Słońce coraz mocniej przypiekało, robiła się parno i bystre oczy, wprawne w rozpoznawaniu pogody, troską się zamroczyły.

We dworze za stawem dzwoniło na obiad. Skwarne południe, jak zhora dusząca, ziało na wody, i trawy, i ludzi — spiekotą i sennością. A i ryba przestała brać „jak uciał”.

Chłopcy spotkali się na grobli, chwając się połowem. Sięgnęli po resztę prowiantów, naradzając się, co dalej czynić. Stach miał swym zwyczajem „próbować na szczupaka” przy upuście, Tomek na stawie, na „krasnopióry”.

Od pola nadzedł gruby pan w kitlu i słomianym kapeluszu. Chłopcy powstali i skłonili się grzecznie.

— A, rybacy! — odezwał się nawpół surowo. — Znów mi ryby wybieracie!

Tomek, kłaniając się, powiedział swoje nazwisko.

— Aha, aha — mruknał pan pod nosem i, rzucając okiem na ostatni kawałek chleba, leżący obok na murawie, dodał już wesoło:

— Ale z prowiantami to już jakoś kiepsko!

I oddalił się w kierunku budynków.

Chłopcy zaczerwienieni, spojrzeli na siebie i wybuchnęli tłumionym śmiechem na wspomnienie pociesznej przygody: gdy ten sam pan wpadł na nich przeszłego lata i pomimo wyjaśnień, że przecież ta-

tusiowi pozwolił, że nieraz tu już bywali, wędkę poza-
bierał, skrzyczał i skórę przetrzepać obiecał...
Kiepsko wówczas było: usiedli nad stawem, brody
na kolanach wsparłszy. Ani wędek, ani ryby! Z czem
tu wracać do domu?! Ale nie minął i kwadrans, pan
wędkę przez chłopca odesłał i wraz spory garnczek
mleka, i masła, i chleba. Był bał!

Może i dziś!... Jakoż wkrótce nadbiegł wyrostek
z mlekiem i chlebem. Rzucili się chłopcy: Stach uży-
wał: okropny miał zawsze apetyt! Tomek dziesiątkę
dał chłopcu na drogę, każąc państwu pięknie podzię-
kować.

— Będzie burza! — rzekł Tomek, spoglądając
po kotłujących się fioletowo-sinych obłokach. Za-
rzucił wędkę i po chwili wyciągnął maleńką płótkę.

— Stasiek, masz żywca, doskonały, szczupak
pewny!

Stachowi oczy błysnęły. Wędkę miał już gotową.

— Chodź, to mi pomożesz! Co się złapie, to
twoje! — odrzekł z powagą.

Pobiegli do upustu. Stasiek po belkach opuścił
się nad deski, po których sączyła się woda z zasta-
wionych stawideł: nasadził, puścił wędkę na wodę.
Roziadł się wygodnie na belce, czapkę na nos nasu-
nął.

— Te, a nie zaśnij, Stasiek, bo cię szczupak
z głową wciągnie! — krzyczał wesoło Tomek, przy-
glądając się pociesznej figurce grubaska.

Sam pobiegł szukać jakiej przynęty na krasno-
pióry, napróżno jednak: nie było ani koników pol-

nych na murawie, ani liszek na drzewach, ani chrobąszczyków na zbożu. Trzeba więc było próbować na chleb.

Wybrał miejsce nieco osłonięte i śmignął między wodorosty. Nie brała! Czekał cierpliwie, rozglądając się po chmurach złowróźbnych. Wdrapał się na pochyły pień wierzby rosłej, siadł na nim jak na koniu i opuścił wędkę w oko, między liście grzybienia. Podciął z rozmachem! Opór czując, spojrzął do góry: na wysokiej gałęzi, wraz z całą wędką, wisiała spora „krasnopióra”. Podrygiwała biedaczka, trzepocąc się wśród zielonych listków.

Tomek szarpnął się, jakby chciał podskoczyć, aby ująć zdobycz. Tymczasem... klap! Krasno-pióra spadła na wodę, i w tym samym momencie, zaważszy czapką o gałąź, usłyszał powtórna — klap — już głośniejsze... Czapka leżała na wodzie.

— To ci pechl

Jednocześnie zabrzmiał na zachodzie daleki, głuchy pomruk i szeroki podmuch przeszedł po trawach i wodzie.

Należało przedewszystkiem odczepić wędkę, co było rzeczą niełatwą, zleźć z wierzby i wydostać wędziskiem tonącą czapkę.

Ciesząc się w duszy, że Stach tych przygód nie widzi, wyżał zamaszycie czapczynę, położył na słońcu i wrócił na dawne miejsce.

Tymczasem błękit zasnuwał się coraz gęściej szaro-fioletowemi płachtami. Wreszcie skrył się

ostatni rąbek lazuru, a z zachodu waliły chmurzyska, smoki czarne i groźne.

Zrobiło się, cicho, szaro, tak dziwnie przejmująco i uroczyście, jakby miało się stać coś bardzo smutnego...

Wodził oczyma po fantastycznych kształtach tłoczących się chmur, po trzcinach cichych, nieruchomych, po toni czarnej, posępnej, zapatrzył się w biały, mdlejący w smętnem rozmarzeniu kwiat nenufara...

I znów odżył mu w duszy obraz małej, sześciolatniej dziewczynki, zmarłej przed paroma laty... Twarzyczka cicha, bielutka, spoczywała, jak we śnie — taka śliczna, jaką była za życia...

Znów dał się słyszeć pomruk daleki...

Z zalem pomyślał o matce, że pewnie się niepokoi, wyglądając przez okno na niebo zachmurzone... Zarzucił wędkę — wzięła! Podciął — jest! Ożywił się! Bo też pora była wyśmienita: cicho i parno... Raz wraz podcinał i wyrzucał na brzeg drobne rybkil „Naciął” ich pewnie z mendel, gdy nagle usłyszał wołanie:

— Tomek, Tomek!

Cisnął wędkę na brzeg, zeskoczył z wierzby, pobiegł do upustu. Stasiak, klęcząc na deskach, coś tarł się zawzięcie.

— Co? — krzyknął Tomek.

— Jest! — odpowiedział Stach, zrywając się z ziemi z szczupakiem w podniesionej dłoni. Po chwili wyrzucił wędkę na drogę, potem rybę i sam wdra-

pał się na brzeg. Chwycił szczupaka, uniósł do góry, potrząsając „na wagę”.

— Ma ze trzy funty! — oświadczył z powagą.

— I dwóch niema

— Kiepski z ciebie rybak, Tomciu!

— Zresztą, wszystko jedno — i tak będzie mój!

— A to z jakiej racji? — odciął się Stach. —

To sobie, bratku, wybij z głowy!...

— Moja wędka i mój żywiec, zwyczaj rybacki!..

— Twoja wędka, prawda, ale cóż z tego?

— To dla czego nie łapałeś na swoją?

— Bo twoja lepsza. A żywiec? Dziesięć takich samych mogę ci oddać!

— Ja całe południe wyczekałem się na tego pana szczupaka, aż mnie gnaty bola! — bronił się Stach, naciągając trzepocącą się rybę na gruby sznurek. Nie sierz się, Tomciu! — dorzucił i spojrział zuchwale na zarumienionego z gniewu kolegę.

— Jeszcze zobaczymy, czyj będzie! — odrzekł Tomek czupurnie.

Zanościło się na żywą sprzeczkę, gdy głośniejszy pomruk przypomniał chłopcom, że zwlekać z powrotem nie należy. A taka szarzyzna zasnuła świat, że nawet porę byłoby trudno określić: ni to zmierzch posepny, ni to świt pochmurny...

Zaczęli się też gotować do drogi. Tomek zwinął starannie wędki, związał wędziska, zebrał do siatki rozrzucone na brzegu rybki, włożył na głowę zmoczoną czapczynę. Spostrzegł to Stach.

— E, bratku, toś się skąpał! — rzekł wesoło poklepując czapkę na głowie Tomka.

Ten nie odpowiadał, nadąsany.

Nagle Stach obejrzał się w około.

— Nogujmy — zawołał — bo straszna burza idzie!

Po krótkiej naradzie wybrano inną drogę: koło dworu, polską drogą do samego miasta, przez wioski, aby w razie ulewy móc ją przeczekać w chałupie.

Stach ostro ruszył z miejsca. Tomek rzucił spojrzenie wokół za siebie, co zwykł zawsze robić, rozstając się z wodą, — i pobiegł za kolegą. Minęli kuźnie, czworaki, sad dworski, licho grodzony... Wydołali się na drogę polną, wśród zbóż, gdy zawionął wiatr ostry, piekący pyłem gryzącym, sypiąc w nozdrza i oczy. A nad widnokresem wspinały się w górę czarne potwory, smoki straszliwe, pełzły wprost na nich, jakby swym cielskiem okropnem chciały ich przywalić, raz wraz rozbrzmiewając grzmotami.

Stach wyciągał nogi, powtarzając z brawurą:

— Będzie pompa, będzie!

Tomek milczał zawzięcie.

Nagle rozpekły się skłębione poczwary, jakby ognistym biczem przecięte — i padł grom! Nadleciał wiatr, pochylając do ziemi łan żyta, dmąc tumany kurzu prosto w twarz. Po chwili — pac, pac. pac!.. Sygnął deszcz dużemi kroplami, zdmuchując z drogi obłoczki pyłu.

Chłopcy postawili kołnierze, nacisnęli czapki i zaczęli biec. A krople — pac, pac — coraz gęściej

siekły za kołnierz, w plecy, w oczy. Robiło się coraz mroczniej. Błyskawice pruły ciemnię i pioruny coraz częściej strzelały przed niemi. Wreszcie lunęła woda upustem, świat cały sobą chłonąc.

Biegli co sił, rozpierając zdyszanemi piersiami strumienie deszczu aż do zaparcia tchu. Potykali się, odrywając stopy od grzęskiego błota; biegli wśród nawałnicy, mroku, nie widząc kresu swej drogi... Nagle błyskawicą olśniony:

— Chałupy! — krzyknął Tomek.

Reszty sił dobywając, całym rozpędem ciał, z bijącemi sercami, prawie omackiem, dopadli zamkniętych drzwi chaty, Zzewnątrz dał się słyszeć męski głos. Po chwili wychyliła się głowa.

Sam wygląd chłopców mówił za siebie.

Wpuszczono ich do izby.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł Tomek nieśmiało i sięgnął do czapki: jakby ugrzęzła na głowie, ani drgnęła, więc szarpnął mocno i ściągnął bezkształtną, napęczniałą szmatę.

— Na wieki! — odpowiedziała starsza gospodyni podchodząc do przybyszów. — O laboga, laboga, a to się paniczom zdarzyło! — biadowała z matczy-nem ubolewaniem.

Spojrzeli na siebie i zobaczyli, w jakim się znajdują stanie: stali obadwaj w kałużach wody, spływającej z nich ciurkiem, — zabłoceni, zakłopotani, pocieszni.

— Ano, suchy rybak, a mokry strzelec, jak to

ludzie gadają, djabła warcil! — odezwał się gospodarz, zamykając drzwi za gośćmi.

— Niech se ta spoczna! Już dziś drogi nie będzie! — dodał spokojnie.

Chłopcy spojrzeli na siebie.

— To ci kawał! Co teraz robić? Jutro przecież egzamin!

Deszcz lał. Nie było innej rady: należało czekać. Rozejrzeli się po izbie, słabo oświetlonej maleńką lampką. Ludzi tam było sporo. Prócz starszej gospodyni — druga młodsza z dzieckiem na ręku, przy kominie, na niskim stoliku młoda dziewczyna ze zwi-sającym z pod noża paskiem obierzyn ciekawie się przyglądała, filuternie uśmiechnięta; na ławie pod ścianą dwóch młodych mężczyzn kopciło papierosy.

— Trza paniczów poratować — rzekła gospodyni.

— Niech się przy ogniu osuszą, dyć spać nie będą w mokrem.

Stach dał przykład: usiadł na ławie, ściągnął buty, kurtkę, kamizelkę i Tomek zakłopotany, nieśmiało uczynił to samo.

Gospodyni kazała „usiąść i schnąć”. Ubranie powiesiła na sznurku.

— Poczciwi ludzie — pomyślał sobie Tomek.

Zaczęto rozpytywać: a skąd, a to, a owo...

— Oj rybaki, rybaki! narzekała gospodyni.

— A chce się wam teli świat biegać, tela mi-tręgi!

Z rozmowy Tomek się dowiedział, że gospodarz zna ojca oddawna.

— Nono, toć panowego ojca znam, jak jeszcze do szkół chodził. Porządny był chłopak!

Poczuł wdzięczność dla ojca, że wszędzie go znają w okolicy i dobrze o nim mówią.

— No, no, że też to wcześniej nie chciało się wrócić, toć to szkaradne waliły chmary, od zachodu szło na wielgą burzę!

Deszcz wciąż lał, jak z cebra, pioruny gromnie huczały.

— Oby Bóg Najwyższy dał i od gradu ochronił — żegnając się, dodał z pobożnem westchnieniem. Po chwili powstał z ławy, sięgnął po ryby, leżące pod ścianą i zaczął oglądać przy świetle.

— Warto to dla takiej drobnicy!?!.. To panowie znać jeszcze nie wypraktykowani, bo tu ryba jest, trzeba ją jeno umieć wziąć — tu okrutna ryba!

Rozsiadł się wygodnie na ławie, skrzył papierosa i zaczął rozpowiadać, jak to kiedyś ryby łowił — w Wiśle, w jeziorach!

Chłopcy ośmieleni przysunęli się bliżej, słuchając z podziwem opowiadań o tych nadzwyczajnych połowach; o tych jesiotrach wiślanych, tak wielkich, że złożone na wozie, ogonami drogę zamiatały, o tych sumach, łapanych na sznury, po 3, 4, 5 pudów sztuka, co to jak kłody ściągano się na linach do brzegu; o tych karpiach po 20, 30 funtów sztuka, łapanych na wędkę, na groch, na kartofle, co to nieraz sznury najtęższe zrywały, a mocować się z niemi na

wodzie trzeba było godzinę, albo i dłużej, aby wreszcie wolniutko na brzeg „taki kawał wywalić”! Oj, dziwy, dziwy! To się zasłuchać można! Stary oczy przymrużał, żywo rękoma wszystko pokazywał i raz wraz powtarzał:

— To była ryba! A nie to! — i z pogardą wskazywał na połów Tomka i Stacha.

Zawstydzili się. Cóż robić? Może i oni — kiedyś — z czasem — dostaną się do wymarzonej Wisły!?!..

Aby się czemś pochwalić, Tomek wyciągał z kieszeni swe wędki, haczyki. Po kolei podawał gospodarzowi, Ten okiem znawcy oglądał.

— Wybierzcie sobie, gospodarzu, jeżeli nie macie w domu.

— Jeżeli łaska!.. Choć ja już mało się tem zabawiam, ano może kiedy się przyda...

Odkładał co większe, wybrał z kilkanaście.

— To dobrze! — pomyślał Tomek. — To będzie za gościnę, przecież tej dziesiątki nie da, wstydziłby się!..

Polubił gospodarza w jednej chwili: gotów był oddać wszystkie haczyki!

Stach siedzi i uśmiecha się. Tomek zrozumiał ten uśmiech: Stasiak nie lubi rozdawać, on już zawsze taki.

Tymczasem gospodyni zastawiła wieczerzę, dała chłopcom łyżki i kazała jeść. Głód przemógł wszelkie skrupuły; jedli zawraz z całą rodziną, chwalać sobie wyśmienitą kolację. Drażnił tylko Tomka ten

uśmiech dziewczyny: jakby sobie z nich kpiła! Może dlatego, że bosy, rozczochrany, a pewnie!

Pomyślano niebawem o noclegu. Chłopcy mieli spać w stodole, Dano im kozuch, poduszkę. Nie zapomniano też o rybach, aby je wynieść do lochu. Ta sama śmiejąca się dziewczyna pierwsza się zerwała, aby je odnieść.

Po kilkakrotnem zaklęciu gospodarza, aby im nie dał zaspnąć, przebiegli podwórko pod gęstym, drobnym deszczem.

Zgrzytnęły wrota stodółki, zaszeleściło pachnące siano. Chłopcy opadli na posłanie, naciągnęli kozuch, i dzieląc się wspólnie troską, aby tylko nie zaspnąć — zasnęli snem sprawiedliwych.

Ranek był cudny, godzina szósta, nie później, gdy wychlustawszy się przy studni, pokrzepieni mlekiem, którem gospodyni suto ich uraczyła, ruszyli drogą przez wioskę.

Przeczysty lazur roztaczał się nad ziemią, odświeżoną, pachnącą i bystre oczy Tomka z zachwytem w nim tonęły, radośnie witając krople rosy, skrzące się wśród zieleni; — lot skowronka w błękie.

Raz tylko w życiu widział taki ranek. Już dawno, wtedy, gdy łowił karasie z Celinką...

Pochylił głowę w zadumie i poczuł w sobie świat cały, jakby ściemniały, szarym welonem zasnuty... i nagle głowę odwrócił i spostrzegł w ręku Stacha bujającego się na sznurku szczupaka.

Uraza w sercu odżyła.

— Słuchaj, Stachu, ty pewnie żartowałeś! — odezwał się, z widocznym wysiłkiem panując nad sobą. — Ten szczupak powinien być mój! Sam zawsze mówiłeś: czyja wędką, tego ryba!

— Piła z ciebie, Tomku! Powiedziałem ci raz: szczupaka ci nie dam!

— Nie?

— A nie, bo ja go złapałem.

— Tak dobry kolega nie robi! Przecież mówiłeś: będę na twoją wędkę łapał, a jak się złapie, będzie twój?!

— Mówiłem, ale ci go nie dam!

Tomek zamilkł.

Mniejsza o szczupaka! Można zawsze kupić na targu. Ale ambicja, zawsze to przyjemniej wrócić z rybą! Przynajmniej służąca sobie nie kpi! A ważniejszy względ polityczny: zobaczy ojciec rybę, może zacieka się, jak i gdzie złowiono — już temat do rozmowy! Można jakoś zagadać pierwszą chwilę — i burzy uniknąć.... A potem mamusia to jakoś załagodzi!

Ma żal do kolegi: niby to przyjaciel, a zawsze na swoim musi postawić! A jednak trzeba go lubić: jak powie, że pójdzie, nigdy nie skrewi. Zawsze spokojny, uśmiechnięty, zdolny i ogromny „szczęściarz“! A słuchać umie jak nikt: sam małomówny, zapatrzy się tak w duszę swemi pogodnemi, niebieskiemi oczyma, jakby w niej wszystko czytał....

A spryciarz! Nie cierpi „budy“, belfrów moskiewskich, a nigdy na niczem nie da się schwytać!

A jednak tu nie ma racji! Ale on zawsze taki: nigdy nie ustąpi!

Szli szparko w milczeniu, szybko zbliżając się do miasta. Ósma na ratuszu biła, gdy zaułkami przesunęli się obok rynku. Podali sobie ręce, jakby bez gniewu. Stach pobiegł naprzód, szczupaka kryjąc pod bluzką.

Przed bramą spotkał Tomka stary Jan, stróż, złośliwą uwagą:

— Ha, to będzie obiad z tych ryb! kot by się nie najadł!

Służąca na progu aż krzyknęła ze zgrozy, obejrzawszy Tomka od stóp do głowy. Nieśmiało wszedł do kuchni i spotkał się oko w oko z ojcem, stojącym w drzwiach stołowego pokoju.

Stanął bezradny, kryjąc za nogą swój nędzny połów.

— To uczeń tak postępuje? — rzekł surowo ojciec. — Nie żal ci zdrowia matki? dodał z wyrzutem.

Tomek milczał, głowę opuściwszy.

— Gdzieś nocował?

— U Wójcika.

— U tego starego?

— Tak.

Tomek był gotów podbiec do ojca, pocałować w rękę, przeprosić, gdy nagle...

— A ryby? — zapytał ojciec zupełnie innym głosem.

Podniósł głowę i, patrząc ojcu prosto w oczy,

żalem przejęty, opowiedział ojcu jednym tchem, z wszelkimi szczegółami, jak to było z tym szczupakiem: szczupaka Stach zabrał!

Ojciec Tomka także rybak; rzadko łowi, bo nie ma czasu, ale zna zwyczaje rybackie!

— Prawda! — odrzekł z powagą. — Tak wypadła, że szczupak powinien być twój!

Jeszcze nigdy nie czuł dla ojca tak wielkiej wdzięczności: podbiegł i mocno pocałował go w rękę.

— Był tu wczoraj Franio — odezwał się ojciec. — Mówił, że od litery K będą zdawali z geografji po południu.

— To łaska boska! — pomyślał Tomek z niewysłowioną ulgą w sercu. Jeszcze więc całych sześć godzin do egzaminu!!

Ojciec żywo spojrział w oczy syna i rzekł niby z surowością:

— Siadaj, smyku, do śniadania!

Na Lemanie.

Pan Tomasz wcisnął w dłoń czerwonego, pękatego wodyjczyka trzy franki, umówione za wynajęcie na całe popołudnie łodzi wraz z wędkami, chwycił za wiosło i odbił łódź mocno od kamiennego wybrzeża. Śmignęła równo, lekko, jakby wyfruwając z zapełnionej statkami przystani. Tomasz wiosłował z całą swobodą młodzieńczych ramion, oddalając się szybko od brzegu.

Szmaragd szerokiej, cudnej toni mienił się oślepiającym blaskiem, rozpływał w oparach opalowych, zasnuwających leciuchnym woalem daleki brzeg.

Góry w лазurze nieba zbłękitniały, szczytami ostremi tonąc w puchu obłoków.

Hen z dali słonecznej wynurzał się czarny kadłub statku, słupem dymu strzelając w złocistą przestrzeń.

Raz wraz oglądał się za siebie, sprawdzając odległość od przystani. Gdy znalazł się w miejscu dającym mu zupełną niezależność od brzegu: aby widząc go wyraźnie w oddaleniu, — nic już nie słyszeć, — skierował łódź w lewo, płynął równolegle do brzegu. Wychylając się z łodzi, spojrział bacznie

w zielonkawą wodę: na głębokości kilkunastu metrów widać było dno, zarosłe bujnie wywłócznikiem, niby ślicznym zagajem misternych jodełek. Patrzył długo, uważnie... Sięgnął po wiosła, popłynął dalej.

Chroniąc oczy przed blaskiem, założył ciemne binokle, znów wypatrywał to z jednej, to z drugiej strony. Powtarzał to kilkakrotnie, aż wreszcie dojrzał: są!

Wyciągnął się wygodnie, położył głowę na przedramieniu, wsparł o burtę łodzi i patrzył z lubością. W zielonym podwodnym lesie uwijały się całe stada okoni, odbijając w przejrzystej toni ciemnymi pręgami na grzbietach i różowemi pletwami płynęły zwolno gromadkami, muskając łodyżki wywłócznika, zapędzając się pojedynczo za jakąś niewidzialną dla oczu rybaka zdobyczą, stały całemi gromadami w gęstwi wodorostów nieruchome, jakby ulegając obezwładniającemu żarowi lata.

Wyglądało to wszystko, jak śliczne wielkie akwarjum. Niegdyś, będąc dzieckiem, marzył o posiadaniu czegoś podobnego. W zapatrzeniu czując się jakby posiadaczem tego akwarjum, uśmiechnął się pogodnie do swej myśli radosnej: że sprawdzają się jednak czasami marzenia dziecka...

Podniósł głowę i ogarnął spojrzeniem brzeg: rozrzucone malowniczo na stoku gór miasto i na wybrzeżu — szerokie frontony, ukwiecone terasy, wieżyczki zamku — hotelu, białe wille wśród parków modrzewiowych, świerkowych.

Jakie to piękne! — wyszeptał w sobie. — Ca-

łe to pyszne wybrzeże — schron i przystań międzynarodowa: choroby, wywczasu, nudy, próżniactwa. Życie tam płynie, jak tym okoniom, z tą różnicą, że okoniom jest całkiem obca ta próżność próżniacza uczestników pańskich tables - d hôte ów..

Pan Tomasz sięgnął bez pośpiechu po wędki, rozмотał je, założył przynętę, usiadł tyłem do słońca i rozpoczął połów.

Z cichym pluskiem opadły w toń ciężarki ołowiane, ściągając z burty rozsnute sznurki. Gdy zatrzymały się na dnie, pan Tomasz ujął w dłonie obie dwie wędki jednocześnie i wolno, rytmicznie począł je opuszczać, aby raz wraz przynęta opadała na dno; to znów się podnosiła, jakby uciekała, wabiąc ku sobie drzemiące w gęstwi okonki. Na szarpnięcie z dołu odpowiadał silnem targnięciem za wędkę: po chwili wyrzucał na dno łodzi małego okonka.

Świstem statku zwabiony, zwrócił się twarzą ku przystani: liczny tłum zapełniał pomost; na tle zieleni wybrzeża, seledynu wód kołysał się bukiet żywych kwiatów: nad białemi sukniami, kapeluszami ponsowe parasolki chwiały się jak maki nad polem rumianku, zielone — niby szerokie liście, ocieniające wysmukłe konwalje...

Podróżni tłoczyli się na pokładzie, skąd powiewały leciuchne woale gazowe, jak olbrzymie skrzydła motyle. Z komina walił kłębam dym. Wreszcie ostry, przeraźliwy świst... Setki powiewających chusteczek, jakby rój białych motyli nad bukietem kwiatów.

Statek wykręcił się kadłubem, zatoczył półkole i jak ptak, zerwany z uwięzi, uleciał drogą szmaragdową w błękit.

Pan Tomasz powrócił do swego zajęcia. Rozejrzał się po jeziorze. W promieniu kilkuset metrów powierzchnia usiana była łodziami; na nich ludzie w białych, wykonywujący te same ruchy rytmiczne; wyglądało to bardzo pociesznie, jak obraz osobliwej praktyki religijnej.

Właśnie nadpłynęła łódź, w niej czerwony grubas w całkowitym negliżu. Pozdrowił zwyczajem miejscowym.

• — Panie, — jęknął — już nie wiem, co z sobą robić?! Czy mam sam wleźć do wody, czy wody nalać w siebie? uśmiechnął się przytem smętnie i do brotliwie, ocierając kolorową chustką pot, spływający mu strumieniami z czoła i szyi.

— I ryba nie bierze! — bąknął markotnie i, ciężko sapiąc, oddalił się powoli.

Pan Tomasz rozejrzał się po wybrzeżu, ożywionem popołudniową przechadzką.

— Błogosławiony bądź, kraju, i ty ciche miasto, i ty zielone wybrzeże, że dałyście gościnnie chwilowy schron, wielkiemu Pielgrzymowi Polskiej Ojczyzny!

„Skałom trzeba stać i grozić;

„Obłokom deszcze przewozić,

„Błyskawicom grzmieć i ginać:

„Mnie płynąć, płynąć, płynąć...”)

*) A. Mickiewicz.

Powtórzył dwukrotnie szeptem ostatnie słowa wiersza: „Nad wodą wielką i czystą”; opuścił biernie ramiona, jeszcze raz ogarnął szerokim spojrzeniem niebios, jezioro, wybrzeże... Opuścił powieki olśniony nagłym widzeniem:

Świetlany obraz — daleki, serdeczny świat!...

Słońce rąbkami leciuchnym kryje się za boru ciemnego próg. Palą się w purpurze czuby sosen na złotych wydmach piaskowych. I cienie długie snują się po wodzie. Łódź szemrze, chybocąc się wśród gęstwi szuwarów. Pluski pierzchają po toni. Skrzydła ważki srebrzą się i skrzą. I w sercu miłośnie drga melodia zmierzchu cicha....

Zatęsknił.

Ona tam jest. Może jej oczy widzą to, co przeżył przed chwilą w zapatrzeniu w siebie....

Biały domek na wzgórzu zielonym, nad wodą „wielką i czystą” Jeziołem Białym zwaną... Tyle tam jaśni przezyczystej, jak sama mówiła...

Pan Tomasz wyciągnął jedną z wędek, na której szarpał się okonek; zdjął z haczyka, potrzymał chwilę w dłoni, zanurzonej w wodzie, rozchylił palce: jak strzałka czarna śmignął malec na dno.

Znów biernie opuścił ramiona, zapatrzył się w siebie, zapominając o otoczeniu. Ujrzał ją, siedzącą na ławeczce, jak to było niedawno... Nie raził go pobłażliwy jej uśmiech, gdy, odrywając się od książki, przyglądała się dziecięcemu ożywieniu, z jakim wyciągał okonki, jak gdyby cały pochłonięty połowem... A jednak nie tracił ani jednego ruchu jej twarzy i ca-

łej jej postaci. Całował oczyma jej ręce i drobne stopy, wysunięte z pod czarnej jedwabnej spódniczki.

Podniosła głowę z nad książki i, patrząc w przestrzeń słoneczną, cicho mówiła:

„Restons perdus,

„Suspendus

„Au dessus de la terre ironique et brutale,

„Sans rien savoir

Sans rien voir

Relevès à la vie Unique et Musicale!!!,„*)

I znów powróciła do niego dobrymi oczyma. Mówił jej wtedy, w odpowiedzi na jej pobłażliwy uśmiech, jak wędka wiąże się z najwcześniejszymi wspomnieniami jego dzieciństwa. I opowiedział jej całą przygodę z Celinką. Gdy skończył, oboje posmutnieli i zamilkli. Patrzyła mu w duszę spokojnie, uważnie swemi jasnymi oczyma, znanemi mu jakoby już tak dawno, dawno, niezapomnianemi....

I był jej wdzięczny, że nie ochrzciła tej historii żadną nazwą banalną, choćby pierwszej miłości.... I chyba nie była zazdrosna...

Pisała z kraju, wiedząc, iż sam pozostał. Pod osłoną koleżeńskiej swobody wieleż wyczuł ciepła, serdecznej prostoty!....

Wszystkim powabom Jeziora Białego i wdziękiom cichej polskiej wioski każąc mówić za siebie, prosiła, aby przyjechał... Powinien wypocząć... I ojca ożywi obecność człowieka z szerszego świata. Zresz-

*) A Samin — Au Jardin de l' Infante

ta, aby się wyzbył wszelkich skrupułów: młodszy brat ma poprawkę z łaciny, więc... Właściwie to tylko dla nich będzie dobrodziejstwem... Wreszcie uprzejmych słów parę, ręką mamy skreślonych, aby był przekonany, że cała rodzina pragnie... Wkońcu prośba o depezę z granicy o konie do stacji kolejowej!

Już odpisał, że przyjechać nie może: terminowa praca, bliskość egzaminów...

A jednak kłamał! Lodowym dreszczem przejęła go myśl o postawie, którą mimo woli warunki zewnętrzne musiałyby mu narzucić: zdawać egzamin choćby w najzacniejszej rodzinie z zalet szlachetnego młodzieńca, kandydata na porządnego obywatela i męża... Tego nie chciał za nic, nie lękał się: działała tu odraza, dla której nie miał słów.

— A jeżeli już tu nie wróci, może nigdy, zamierzając zostać przy chorym ojcu, jak o tem wspominała? Jeżeli już nigdy ma jej nie ujrzeć, siedzącej w słońcu, na małej ławeczce, jak wtedy?...

Zasępił się i skurcz bolesny wykrzywił mu twarz.

Przetarł dłonią czoło.

— A może kiedyś odszukam „Jezioro Białe“?...

Uśmiechnął się smętnie, żegnając się z pierzchającym widzeniem.

Zmierzch cichy kładł się na wody ściemniałe i prawie puste wybrzeże.

Czekał, aż światła zapalą.

Wreszcie zabłysło wybrzeże girlandą światel.

Po aksamitnej toni rozpełzły długie węże, migocąc łuską złocistą, wydłużając się, skracając, to ginąc nagle w mrocznej topieli....

Pan Tomasz sięgnął po wiosła i zapatrzony w cudowną grę blasków na wodzie, począł powołać wiosłować.

Miasto, rozpalając się światłami gęstemi, wyglądało jak zaklęty gaj, usiany tysiącami latarek.

Z żalem rozstawał się z tem złudzeniem, z wolna zbliżając się do brzegu.

Ludna promenada, pogwarem tłumiąca dźwięki „koncertu“ z pobliskiego „caffè“, uderzała zewsząd banalnością.

P. Tomasz sięgnął po siatkę z rybami i, odpowiedziawszy właścicielowi łódki skinieniem głowy na jego uprzejme polecenie swych usług „na następny raz“, postąpił naprzód.

Poczuł dziwną obcość znajomego otoczenia, jakby wbrew sobie powrócił z dalekiej, długiej podróży.

Zsunął kapelusz z czoła, zapalił papierosa. Przedzierał się przez gromadki, rozszczebiotane w różnych językach, oglądany ciekawie: snąc obfity polów nęcił oczy gapiów.

Jakaś smukła brunetka w bieli uśmiechem musnęła mu twarz. Coś drgało w duszy, jakby żal... Obejrzał się — już jej nie było. Szedł wolno ulicą, prowadzącą pod górę, ku miastu.

Noc gęsta, ciepła, wygwiażdżona, ciemna dyszała wonią róż, jaśminu, rezedy.

Idąc zanurzał się, jakby w obłoku ciepłym,

to znów w falach powietrza prawie chłodnego, przesyconego wilgocią ogrodów. Śród nich dzwoniły dźwięki, — akordy — dalekiej cytry z balkonu, z jasnych okien willi, tonącej w zieleni, — fortepianu, skrzypiec....

Wieczór lipcowy grał nokturn, marzeniem ciepłym natchniony, tęsknotą rozlewną.

P. Tomasz wsparł czoło o żelazną sztabę ogrodzenia. Na werandzie zebrana rodzina — w głębi śpiew — pieśń Mendelsoana.

Gdyby tam znaleźć miejsce dla siebie — na tym obrazie jasnego, pogodnego życia...

Spłoszony krokami przechodniów, podążających za nim, pośpieszył za innemi w kierunku śródmieścia.

Znalazł się wkrótce wśród ożywionego ruchu ulicznego. Wówczas dopiero spostrzegł, że niesie siatkę z rybami, pytając siebie, po co je zabrał. Należało coś z niemi zrobić. Przyśpieszył kroku, ożywiony szczęśliwym pomysłem. Skręcił w jedną z przecznic, kierując się do kweciarza: dawny znajomy, wesół południowiec, pełen conceptów, dowcipów, szczególnie pod adresem Szwajcarów, których serdecznie nie lubił..

Pan Tomasz wszedł do sklepu, przywitał się i bez ceremonji wysypał zawartość siatki na wolne miejsce, na stole — obok pęków róż i gwoździków

— A to doskonałe! Żona sporządzi z tego pyszną zupę! Ale pan się pozbawia? — dodał, pytając patrząc na ofiarodawcę.

P. Tomasz zapewnił, że uwalnia się od kłopotu, nie wiedząc, co z tem robić.

— No dobrze, ale ja też drogiemu panu coś ze swej strony.... Pozwoli drogi pan....

Zakrzętnął się, zebrał garść świeżo ściętych róż, garść gwoździków ponsowych, związał łykiem i z kurtuazją wersalską podał p. Tomaszowi.

Nie pomogło wymawianie się od przyjęcia daru: Francuz był uparty. Chcąc w jakikolwiek sposób z kolei zrewanżować się, poprosił jeszcze za dwa franki kwiatów — wydając ostatnie, jakie posiadał.

Otrzymał wzamian spory pęk kwiatów. Uścisk dłoni zamienił z jowialnym gospodarzem i wyszedł ze sklepu.

Zakłopotanie pierwszej chwili, co z kwiatami zrobić, przechodziło w rozdrażnienie, pobudzone spojrzeniami przechodniów, głupkowato zdziwionych widokiem naręcza kwiatów.

Nigdy żadne brzemię tak mu nie ciążyło, jak ten pęk wonnych, lśniących brylantami kwiatów, których nie miał komu dać.

Przeszedł kilka ulic, smutkowi się poddając. Stał na niewielkim, zupełnie pustym placu, głowę wzniosł do góry.

Dwa okna czarne z balkonem wejrzały mu w duszę jak wnętrze pustego grobu. W jednym momencie, błyskawicą wízi przeżył cały swój zachwyty: — tysiąc obrazów, fragmentów, skier, pereł, kwiatów jej obecności.... I zapadł w otchłań żalu, smutku, że

nie dosięgnie jej ani echo tej chwili najwyższego objawienia jego serca, jako i te kwiaty nie dojdą jej rąk.

Głowę ciężko zwiesił, tragi-komiczną treścią swej sentymentalnej postawy przybity: gdy u mogiły wspomnień rozmawia z echami, z marami, tuląc kwiaty, na piersiach mu więdące.....

NA KARPIE!

— Nie budzić tam pana jutro! Pan przyjechał wypocząć! — usłyszał p. Tomasz z za drzwi przyciszony, znajomy głos gospodarza, którego przed chwilą pożegnał, udając się na spoczynek.

Rozejrzał się po zwykłym umeblowaniu pokoju gościnnego, sięgnął po swą torbę rybacką, sprawdził, czy wszystko w porządku. Stał przy oknie i wychylił się wpół.

Noc była ciepła, gwiazdna. W lipowej alei cichość stała skupiona, jakby straż czujna tajemnicziemu, oddanej Nocy w posiadanie.

Usiadł przy oknie i odetchnął głęboko uczuciem swobody, błogą świadomością, że oto ma przed sobą kilka godzin całkowicie własnych, z których już nikomu nie zdaje się rachunku, jakby wyrwanych z żelaznych trybów codziennej przypadkowości... Ma się je wyłącznie dla siebie i rzuca przed się całym rozmachem bezinteresownego umiłowania życia...

Jak ptastwo spłoszone, pierzchały wspomnienia — strzępy, wyrazy twarzy, uśmiechy, urywki rozmów przy kolacji: o koniach i pogodzie, o wypadkach dnia i ostatniej „nowości“... Zapadało to w głęb, cią-

gnąc za sobą długi łańcuch osobistych przeżyć niedawnych — cały odmęt życia codziennego: jego prac, zabiegów, obowiązków, szamotań, starć, walk, — jakby nagle urywała się ciągłość tego życia, zapadała w przepaść, w zupełną niepamięć.

Uwolnił się od wszelkiej treści myślowej; w zapaźczeniu, zasłuchaniu przenikał się tą nocą cichą — mocą i powagą świętości. Spływała mu w duszę drogami mlecznymi tęsknoty bezkresnej, skrami gwiezdami zachwytu, sypiącemi się z fioletu niebios, szepcącem rozmodlonych konarów, melodyjną gęźbą, jakby cudownym adagio niematerialnej muzyki... Była tam moc niespożyta, skupiona w sobie powaga, przejmująca poczuciem nieznikomej wartości każdego tchnienia piersi ludzkiej, — świętość, objawiona sercu poczuciem nierozzerwalnej łączności z przyrodą — matką....

Podszedł do stolika; przy świecy leżała książka poczytnego autora polskiego. Gościnnieść domu i to przewidziała.... Rozebrał się, przysunął świecę, zamierzając czytać.

Przerzucał szybko stronicę, uśmiechając się z lekka. Zabawne mistyfikacje, na tle hipnozy, „spirytyzmu“, „medjumizmu“, z lichemi pozorami naukowości, z wprawą autorską pisane.... Tajemniczość i cudowność zastępowały prawdę psychologiczną. Wkońcu znalazł się i morał, niezbite świadectwo zdrowego sensu autora, mający przywrócić równowagę duchową amatorom nowości literackiej: że wreszcie te

„izmy” są bardzo niebezpieczne, doprowadzają bowiem do obłądu i rzeczy jeszcze gorszych....

Skutek okazał się niezawodnym i powieki zaczęły ciężać...

Przebudzony, jakby na zawołanie, usiadł na posłaniu, przetarł oczy. Spojrzał w okno: dniało. Wyskoczył z łóżka, wypłuskał się w wodzie, szybko się ubrał, sięgnął po wędziska i torbę rybacką i, nie chcąc budzić służby, skoczył przez okno na trawnik, obficie zroszony.

Szedł aleją lipową; pogrzyżył się w jej mrok uroczysty, w ciszę modlitewną, odnajdując w duszy ślady wieczornego nastroju....

Natrafił szczęśliwie na furtkę, przez którą wy dostał się na drogę, sadzoną młodemi kasztanami, w kierunku zabudowań. Z rozwartych drzwi śpichrza szli gęsiego fornale z workami rannego obroku na plecach.

Minął kuźnię, połać czworaków, ośmioraków— niskich, licho skleconych.

Zagadnienie stosunku pańskich chlewów do dworskich czworaków leży tu całkiem odłogiem, jak wiele innych — pomyślał, lustrując nędzny ich stan.

Przed jedną z chałup matowo połyskiwała zamulona sadzawka.

— To pewnie jeszcze nie ta!

Według otrzymanych informacji droga do sadzawek szła obok czworaków w kierunku wsi. Skręcił więc na wydeptaną ścieżkę, mając przed sobą bielące się wśród zieleni chaty. Wstawał ranek ospały, męt-

ny nad ziemią cichą. Świt krył się w oponie jednostajnej szaro-białych obłoków. Obfita rosa zapowiadała jednak pogodę.

P. Tomasz minął jeszcze parę podobnych do pierwszej sadzawek: zamulone, bez mnichów, z zerwanemi tu i owdzie gozłami, świadczyły o zupełnem zaniedbaniu; nie wzbudzały zaufania, by w nich prócz żab było cokolwiek.

Idąc brzegiem rowu, zasilającego sadzawki w wodę, skręcił przed wsią na lewo — przez wygon, następnie przez nędzną spasioną łączkę, zarosłą przekwitłym kaczeńcem, upstrzoną nad rowem kwiatkami niezabudki. Przeciął drożynę polną, posuwał się wciąż brzegiem strugi, spodziewając się dotrzeć do sadzawek dalszych, o których mu mówiono. Wkrótce też ujrzał wśród krzaków wikliny dymiącą się siwym oparem toń sporej sadzawki. Po lewym stoku, zbiegającym ku wodzie, zbliżył się do brzegu, rozglądając się po kępach tataraków sitowia, płosząc gromady żab.

Rozmotał wędkę, założył przynętę, zmierzył głębokość: było wody na łokieć, miejscami mniej.

— Karpiovi wystarczy, — pomyślał, ostrożnie zarzucając pod kępę tataraku. Wędziska wbił w ziemię. Stał chwil sporo, wpatrując się w nieruchome splewki na toni ciemnej, gładkiej, zlekką dymiącej, badając: będzie co z tego?....

Z kotlinki, w której się znajdował, ogarniał wzrokiem, szmat łąki po drugiej stronie sadzawki, dalej — pas żółknącego żyta, z rzadkiemi gruszami śród

łanu przysiadłemi; na prawo w dali widniały szare strzechy wioski.

Było tu pospolicie, ale cicho, spokojnie. Stałoby się nudno, gdyby nie widok rzednących obłoków, odsłaniających raz wraz błękit, — jak uśmiech jasny kochanej twarzy po przez woal żałobny..

P. Tomasz rozglądał się po wodzie gładkiej, nieruchomej, nie zmaczonej żadnym pluskiem, jakby istotnie nie kryła w swem łonie żadnej żywej istoty. Sitowia i tataraki stały bez drgnienia, bez szmeru.

— Zbój wodny — szczupak zapewne już dałby znak życia, uganiając się za drobnicą. A i karp lubi pluskać się rankami — pomyślał p. Tomasz, zarzucając powtórnie wędkę, jak mógł najdalej. Rozsiadł się wygodnie pod młodą olszynką.

Wraz z strzępami wczorajszej rozmowy przy kolacji nasunął się obraz białego dworka.

— Witaj mi, jeszcze jeden biały dworku! Jakże głęboko wryłyście się w duszę! — szepnął do siebie.

— A jakże innemi was zastaję dzisiaj, niegdys w was widząc jedyny schron szczerego, prawego życia polskiego, — rozmyślał Tomasz.

Dzieckiem będąc, płakał rzewnymi łzami, widząc, jak majątek przechodził w ręce Żyda, lichwiarza, jak ze zmianą właściciela tracił cały swój charakter. Pamięta, bo wyczuł to wtedy jak wyrwę w duszy, jako stratę bezpowrotną czegoś, co powinno w Polsce niezmiennie trwać, wówczas oskarżając w sercu z całym zapalem porywczego dziecka—tylko nabywców majątku polskiego...

Chłopcem małym będąc, błądził po ugorach i pustkowiu „paligonu” rembertowskiego i z sercem rozżalonem oglądał resztki domów, zabudowań, dawne aleje, zarosłe chwastami, sady owocowe, strzaskane pociskami armatniemi, rozdarte pnie schnących lip, topoli. Odnalazł w jednym miejscu ślady gazonu, na nim w gęstej murawie fijołki wśród resztek gruzu.

Przedumał wtedy smutek ruin białego dworka — wśród dzikiego pustkowia.

Nie wyblakły w duszy barwy polskiego dworu w zetknięciu z widokami najcudniejszych willi francuskich, włoskich, „szaletów” szwajcarskich — i dziś, w okresie rewizji wszelkich stosunków myślowych i uczuciowych z ojczyzną czuł w sobie urok nieprzeparty białego dworka.

— Czy również ich mieszkańców?

— Dziwnie beztreściwem jest wasze życie — rozmyślał p. Tomasz, goniąc oczyma przerzedzające się obłoki. — Jak ta biesiada wczorajsza!

— Jakaż wreszcie pozostała wam ostatnia racja „ziemiańskiej” waszej egzystencji? Bo zadań historycznych wyrzekliście się już przed wiekami...

— Czyż te korce żyta, pszenicy, buraków, podstawa waszego dobrobytu, powód do śmiesznych pretensji i przywilej wyzysku?

— Może te resztki staropolskiej gościnności?

— Czy wreszcie może to, że w białych swych dworkach dajecie cichy, gościnny schron, tyle, co ptakom przelotnym na waszych łąkach i polach, — zbłąkanym, smutnym szaleńcom, wśród odmętu samozatra-

cania się Polski, szukającym prawdy — w pięknie wiecznym, w mocy niespożytej polskiej Przyrody?

— Czy to jest racją waszego istnienia? — snuł swe rozmyślenia p. Tomasz. Poznał, przy najnormalniejszym trybie ich życia i doskonałym odżywianiu się — przedziwną beztreściwość, pustkę ich bytowania. Widział, jak bez dramatu i bez sentymentu rozstają się z ziemią — przez niedbalstwo i życie nad stan. Znał wszystkie anachroniczne nałogi ich myślenia, drobne ambicje, śmieszności.

— Tak, — rozmyślał p. Tomasz — jeżeli żyje w was jakakolwiek wartość, to nie siłą tradycji historycznych w duszach waszych trwa. Dzieje się to mocą wpływów, którym ulegacie, pochodzenia, ani ich wartości sami nie rozumiejąc. Choć nie uczestnicy pracy na roli, świadkami jej jesteście: sama przyroda, ta macierz najgodniejsza, dusze wam chroni od samozatrącenia.

Wzniósł głowę, opuszczoną na piersi w zadumie i ujrzał przed sobą szeroki, jasny płąt błękitu i z duszy opadła nagle jakby ciężka zasłona; wyczuł w piersi drgnienie niewysłowionej radości. Powstał, rozprężył ramiona wpatrzony w błękit, rozpostarty szeroko nad zielonością pól.

Usiadł po chwili i rzucił przelotne spojrzenie na swe zapomniane wędki.

W tej chwili jeden ze sławików lekko zadygotał. P. Tomasz cichutko przypłynął do brzegu i ujął za wędzisko. Czekał. Sławik znów zadrgał — zanurzył się nieco i powoli cały zatonął.

— Rzecz oczywista: tak bierze karp!

Podciął z całej siły, aż nazbyt mocno, przerzucając całą wędkę za siebie — i na jej końcu maleńką rybkę. W pierwszej chwili oczom nie wierzył: kiełb! I zaczął się śmiać serdecznie z chybionego rozpedu.

— A to mnie zwiódł. Parada! — szepnął do siebie. Zdjął z haczyka malca, trzepocącego się w murawie, i puścił z powrotem do wody.

Założył znów przynętę, usiadł na dawnym miejscu, rozglądając się po wodzie. Tam i sam poruszały się zlekka trawy, śnać ryba zaczynała żerować. Można było się spodziewać, że branie nastąpi niebawem. Ale nie kwapił się już z wyciągnięciem, gdy spławik znów się zanurzył. Wytrzymał długo, podciął...

— Jest! — szepnął z zadowoleniem, próbując oporu, pociągnął, czując, że niewielki, na wygiętem wędzisku dociągnął zdobycz do brzegu, nachylił się i wyjął z wody parofuntowego złotego karpia.

Choć ryba łowiona w sadzawce, to jakby z sadza brana, p. Tomasz się ożywił. Wędkę zarzucił, ręce obmył, czekał bacznie. Spławik drugiej wędki powtórzył ruch zwykły i skrył się. Po paru chwilach drug karp zatrzepotał w siatce. Nie dłużyły się chwile, ani kwadranse oczekiwania, nie dokuczało coraz mocniej przypiekające słońce, bo karpie wciąż brały: w dwie, trzy godziny wyciągnął ich p. Tomasz kilkanaście większych, mniejszych, razem pewnie z pół puda. Siatka była pełna.

Jakoż z niewiadomych przyczyn urwało się branie... P. Tomasz powrócił na dawne miejsce, wyciąg-

nął się na trawie, twarz wtulił w trawy, chłodem wilgotnym ziemi rzeźwiąc się z senności, która wraz z piekotą go ogarniała. Gotów był zasnąć, widząc pod opuszczonemi powiekami przesuające się krajobrazy, może już niegdyś widziane — łąki barwne, rozkołysane, zakręty rzeczne z pochyłonemi nad wodą konarami drzew, srebrzące się łagodnie w cichy, letni zmierzch.

Broniąc się senności, odnalazł w trawie bożą krówkę, kowala, chuchał im na skrzywła, aby je skłonić do lotu. Usłyszał odgłos kroków i podniósł głowę: od drogi nadbiegł zaspany wyrostek i oświadczył, że państwo już czekają i bardzo już proszą.

Chłopak rozejrzał się wokół, szukając oczyma połowu i zawrócił.

P. Tomasz nie śpieszył się. Było mu tu dobrze. Nie czuł głodu, bo zaspokoił go czekoladą z torby. Popatrzył jeszcze czas jakiś na spławiki, kusząc szczęście: a może jeszcze jeden....

Wreszcie powstał, złożył powoli wędki, wyciągnął siatkę z wody i ruszył z powrotem.

Po drodze spotkał pana domu w towarzystwie synów — wyrostków i panny Ady, kuzynki pani domu.

Sensacja była nadzwyczajna: kilka naraz okrzyków zdumienia, podziwu!....

Pan domu oświadczył, że nie przypuszczał, aby w jego sadzawkach tyle było ryb, w przeszłym bowiem roku ulewa zerwała tamy, wszystka ryba z wodą poszła i, jak słyszał, chłopci na łąkach wyłapali.

Chłopcy, odbierając sobie wzajem siatkę z rybami, oglądali, raz wraz wykrzykując:

— A ta jaka duża, a ta... doświadczyli się na zmianę, czy naprawdę wszystkie złowione na wędkę. P. Ada nie odzywała się zupełnie, dyskretnie oglądając nie połów, lecz rybaka.

Chłopcy z triumfem wbiegli na werandę, obwieszając całemu domowi „sensację”. Wylegli wszyscy: i pani, i nauczycielka, i bona z maleństwem...

P. Tomasz przebrał się, zjadł śniadanie i, mając za przewodnika pannę Adę, udał się na zwiedzanie parku. Idąc lipową aleją, przysłuchiwał się gwizdowi wilgi, frazesami rozmowy odpędzał senność.

— Zapowiadano tu już od dłuższego czasu przybycie pana, jako znakomitego rybaka i żałowaliśmy, że nie znajdzie tu pan dla siebie terenu — rzekła pół żartem.

— A jednak, widziała pani, połów miałem niezły, choć istotnie niema tu dla mnie terenu.

— W wędkarstwie, jak się pan wczoraj wyraził, zapewne nie chodzi panu o same ryby?

— O tak, wiele składa się na to, że wędkę lubię — odpowiedział sucho, zwykle unikając rozmowy na ten temat.

— Takie ciągłe obcowanie z wodą, raczej z wodami musi być bardzo przyjemne? — zapytała. po chwili, śnać po zatargu dyskrecji z ciekawością.

Zielonkawę oczy p. Tomasza zabłysły. Zatrzymał się na miejscu.

— Tak, słusznie pani mówi, — z wodami. Cały

ten świat blasków, lśnień, barw, niezliczonych odcieni, zależnie od pory roku, dnia, obramowania brzegów, dna — świat blasków i barw, nieuchwytnych dla malarza, tembardziej dla stylisty — jest własnością rybaka. Każda jest inna. I woda nie jest tylko ozdobą przyrody, jak mówią, najczystszem jej zwierciadłem, najpotężniejszym żywiołem.... W niej widzę wszelkie odmiany, wszelkie możliwości życia człowieka. Każda ma swój charakter i własną treść — i z każdą trzeba się zżyć, aby ją poznać i odczuć. I rozstanie z wodami....

Urwał raptownie, sam onieśmielony tonem swych słów, spotkawszy się z czystą, jasną tonią oczu p. Ady.

Postąpiła pierwsza naprzód, prowadząc towarzysza drożyną, wśród szpaleru leszczyny.

Zerwał się wątek rozmowy. Widocznie unikając milczenia, p. Ada zapytała o stosunki w N., które scharakteryzował p. Tomasz, jako pocziwe polskie podwórko, gdzie wszyscy się znają, wszystko rzekomo o sobie wiedzą, — gryzą się i szkalują — w łonie własnych klik, zarówno jak kliki wzajem między sobą; w braku innej treści plotka najzupełniej wszystkim wystarcza. Na co p. Ada, jako warszawianka, zrobiła uwagę, że Warszawa również lubi plotkę, ale plotka stołeczna o tyle chyba jest zabawniejsza i mniej szkodliwa, iż większą ruchliwość posiada: nikim i niczem nie lubi się długo zajmować.

— Tak, jak wszystkiem — nasza niedorośla stolica — dodał p. Tomasz.

P. Ada mówiła żywo, nerwowo. Choć rozmowa toczyła się banalna, w brzmieniu jej głosu wyczuł utajoną moc liryzmu. I gdy ich oczy znów się spotkały, odkrył w niej jakiś lęk niewymowny, jakby roztulający się pęk róży, miotany wichurą. Ogarnął ją gorącym spojrzeniem, olśniony pięknem.

Ich czucia musnęły się skrzydłami, szukając się wzajem w mgławicy rozkosznego przeczucia.

Usiedli na ławce darniowej w ustroniu. Ujął rękę p. Ady, wpatrzony w cienkie, zwięzające się, białe jej palce.

— Czują ręką, stworzona do gry.

— Dużo grywałam.

— I z duszy ludzkiej ta dłoń dużo wyostać zdolna.....

Uśmiechnęła się.

Pochylił głowę i okrywał jej rękę cichymi pocałunkami.

— Gdy zobaczyłam pana po raz pierwszy, doznałam zawodu: nie takim wyobrażałam sobie pana po tem, co słyszałam o nim.

— A jest pan naprawdę smutny, dopóki nie zacznie pan mówić... Podobała mi się w panu umiejętność pokrywania niezwykłym humorem znudzenia niesympatycznym towarzystwem.

— Obce jest niezawsze niesympatyczne. Obcem jest mi najczęściej — mówił, nie przestając całować jej rąk.

— Chwila wynagradza mi długie okresy obcoś-

ci i samotności — dodał, patrząc w jej oczy szczerze, otwarcie. I w tych oczach była męka.

Pochylił się ku niej, ujął w ramiona, tchnąc zapach pąka róży: falą krwi porwany, pąk przestał drzeć — roztulił słodko listki, za rozkwitem tęskniące, pieścizoty spragnione....

Powstali jednocześnie. Przenikała mu duszę rozkosz cudownego przeniknięcia się, ludzkiej bliskości — bez słów długich, nużących, bez zasług i legitymacji — i bez dalszego, określonego celu.

— Przelotne, najmiłsze, niezapomniane chwile — to wszystko, co możemy dać sobie najlepszego...

— Prawda? — pytał ją oczyma, łagodnym spojrzeniem chcąc jej przywrócić swobodę.

— Jak to dobrze móc pomyśleć o człowieku dalekim, przelotnie spotkanym, że już nigdy nie będzie nam obcy, prawda? — powiedział półgłosem, jakby do siebie.

— Ma pan dziwną zdolność, czy własność wnikliwego wrażania się w duszę ludzką. I nie wiem jeszcze, jak, drogą jakich oddziaływań pan to osiąga?..

I zmieniając ton łagodnej zadumy na głos leciuchnej ironji:

— Czy często pan swych wpływów doświadcza?

— Rzadziej, niż pani przypuszcza.

Szli znów w milczeniu przez lipową aleję, gdy z bocznej strzyżonej uliczki nadbiegła pokojówka, prosząc na obiad.

Przy stole ubranym kwiatami, nakrytym na kilkanaście osób, powitano p. Tomasza prawie, jak so-

lenizanta. Pan domu, siadając, zatarł ręce z zadowolenia, jako, że już dawno ryb w domu nie było. Ano zapowiedziano je na kolację.

Zachęceni świetnym połowem p. Tomasza, chłopcy wyrazili życzenie spróbowania szczęścia. Wnet nastąpiło kilka zgłoszeń: pani domu, p. Ady, nauczycielki i młodego wikarego, bawiącego w gościnie. Tylko pan domu solennie się zarzekł udziału w wyprawie.

— Żeby tak na dzika, to co innego!...

P Tomasz, nigdy nie tracący sposobności pozyskania zwolenników wędk, obiecał dostarczyć ze swej torby rybackiej wszystkiego, co będzie potrzebne, nosząc ze sobą cały sklepik, jak mawiali złośliwi. Chłopcy porozumiewawczo mrugnęli na siebie na znak, że brakowi wędzisk również zaradzą.

Obfity obiad spożywano w milczeniu. Następnie część towarzystwa przeszła do salonu. Poruszono zlekka wypadki bieżące, przyczem pan domu nie omieszkał kilkakroć westchnąć — na dowód ciężkich czasów. P. Ada usiadła przy fortepianie.

— Zagraj, Ado! Pan Orędzki muzykalny, usłyszymy opinię — odezwała się pani domu.

Odniechcenia uderzyła kilka minorowych akordów i powstała, tłumacząc się upałem.

Istotnie było duszno i parno.

Rozparty w głębokim fotelu, młody wikary odprowadził ją „powłóczysem” spojrzeniem, — zdaje się, stale przez nią niespostrzegany

Przed ganek zajechała bryczka.

— To pewnie nasz prefekt na lekcję z chłopcami — oznajmiła pani domu, nie podnosząc się z miejsca.

Po paru chwilach przesunął się uroczystym krokiem wysoki, łysy, o twarzy nalanej katecheta, prowadząc przed sobą dwóch chłopców, poniżej lat 12. Na środku salonu złożył ukłon uprzejmy i znikł w drzwiach przeciwnych.

— Typowy obrazek wprowadzania do konwiktulu! — pomyślał p. Tomasz. — Żyje tu jeszcze niespożyta tradycja jezuickiego wychowania, a spuszczone głowy chłopców i ich minki delikwentów najlepszą są jego ilustracją i oceną.

Tymczasem nadbiegli starsi chłopcy z pomyslną nowiną: znaleźli w lamusie stary bambusowy parawan i już mają gotowych pięć doskonałych wędzisk; szkoda tylko, że trochę za krótkie...

P Tomasz radził przeczekać upał i wyruszyć na połów za godzinę, dwie. Wniosek przeszedł większością głosów ku wielkiemu niezadowoleniu chłopców. Pan domu, korzystając z chwilowego zamieszania, wymknął się zręcznie na poobiednią drzemkę.

P. Tomasz wrócił do swego pokoju. Wyciągnął się na niskiej kozetce, wpatrzył się w obraz duchowy p. Ady. Podziwiał jej śliczny zarys czoła, brwi, długie rzęsy, zwisające nad jasnemi oczyma, — puszystość włosów, — małą zgrabną główkę, osadzoną na nieco dłuższej szyi — i całą postać misterną, wiotką, ujętą w leciuchny, powiewny batyst. Gdyby tu pozostał, nastąpiłby naturalny i konieczny dalszy

ciąg, powtórzyłyby się epizody — z mniej lub więcej banalnym zakończeniem....

Zadowolony był, że los zrządzi inaczej i że dziś jeszcze wyjedzie. I tak będzie najlepiej.

— Przelotne, najmiłsze, chwile niezapomniane — to wszystko, co sobie dać możemy najlepszego.... Bo tak było nawet z Celinką....

Usłyszał lekkie pukanie do drzwi, po chwili głos:

— Proszę pana, to chyba czas. Już wszyscy czekają, przepraszam bardzo pana!....

— Proszę, proszę, zaraz będę gotów — odpowiedział wesoło, poznając głos jednego z chłopców.

Na werandzie p. Tomasz zilustrował całe grono swych nowych „wyznawców“. Komplet był ciekawy; uciecha zapowiadała się nielada.

Za panią domu służący niósł krzesło składane.

Nie obeszło się bez okrzyków zgrozy i drobnych przygód na wąskich grobelkach, przy rowie.

— Pogrom sprawimy tym karpom! — brawurował wikary.

P. Tomasz zachowywał się z całą powagą, nie chcąc psuć wrażenia. Jako mistrz ceremonji, wyznaczył wszystkim stanowiska. Na miejscu równem, względnie suchem usadził panią domu, na lewo od niej postawił wikarego, na prawo nauczycielkę. Chłopców, jako żywioł najniespokojniejszy, odesłał na drugi brzeg sadzawki. Podając p. Adzie jedną ze swych wędek, wskazał jej miejsce w rogu, gdzie sam rankiem łowił. Nie licząc na połów, zarzucił wędkę przed siebie. I wygląd sadzawki był jakiś inny, niż ra-

no: wydała się teraz brudną, nędzną kałużą. Rozejrzał się po całym towarzystwie: komplet był wysmienity. Uśmiechał się łobuzowato, bawiąc się tym obrazkiem.

— Jak świat światem, nie widziano chyba tak licznej rzeszy rybaków — nad tak małą wodą!

— Uprasza się o ciszę, krzyknął jeden z chłopców, śmigając po wodzie wędką jak batem.

— Proszę pana, nic nie bierze! — skarżył się drugi

Pani domu, osoba okazałych kształtów, nie mogąc się pomieścić na małym stołeczku, zapadającym się w grzęski grunt, wydawała głosy zaniepokojenia; raz wraz odwoływała się do interwencji wikarego, który z taką uprzejmością podtrzymywał stołek, że widać było odrazu, iż wkrótce wyrzeknie się wędki. Zirykowało to nauczycielkę, nie mogła bowiem dokończyć wikaremu swych wrażeń z ostatnio przeczytanej powieści. Chłopcy już się zdążyli posprzeczać, zarzucając sobie chlapanie i straszenie ryby.

P. Ada zarzuciła wędkę na wskazane przez Tomasza miejsce, pochyłona nieco naprzód, spoglądała to na spławik, to na towarzysza, jakby czekając na instrukcje.

— Można już ciągnąć, proszę pana?

— Jakże ciągnąć, kiedy nie bierze? Gdy spławik się schowa...

— Aha, a gdy się nie schowa?

— Znaczy się, nie bierze. Ale proszę poczekać chwilkę, tu napewno weźmie.

— Proszę pana, nic nie bierze — powtórzyła pani domu, z trudem poprawiając się na stołku.

— E, jako żywo, nic nie bierze! — dorzucił z przekąsem wikary.

Rzesza zaczynała szemrać...

— Pan doktor pewnie jakoś inaczej te karpie tu rano łowił — dorzucił jeden z chłopców.

Pan Tomasz bawił się doskonale.

— Uprasza się o ciszę! — krzyknął jeden z chłopców. I po chwili:

— Proszę pana, co tu robić, żeby brało?

— Cierpliwości! — zachęcał wesoło p. Tomasz.

Istotnie karpie nie chciały brać, pluskały się tylko gęsto pod brzegami, czyniąc oskome rybakom.

Nauczycielka, nie mogąc dokończyć swego opowiadania wskutek widocznego roztargnienia wikarego, chlasnęła kijem po wodzie, zawadziła wędkę o jakiś krzak, stwierdziwszy z goryczą, że pantofle ma pełne wody, porzuciła stanowisko i rozsiadła się na górcie, wyciągnąwszy przed siebie zmoczone nogi, — „pozostawiając cierpliwszym tę zabawę“.

Za jej przykładem wikary, przejęty żywą troską o swe trzewiki giemzowe, rzucił wędkę, znudzonej pani domu pomógł wstać i obydwójce przysiedli się do nauczycielki. Ta nawiązywała właśnie wątek swej nieskończonej narracji, gdy z przeciwnego brzegu usłyszano okrzyk:

— Proszę pana, wzięła, wzięła!.. Nie możemy wyciągnąć.

— Ciągnij wolno, po wodzie, nie podrywaj — komenderował p. Tomasz.

Pomimo tej rady, karp kilkakrotnie szarpnięty, zdołał wyslizgnąć się z haczyka.

Rozgorączkowani chłopcy o mało nie rzucili się w pław za zbiegiem.

— Proszę, niech pani uważa, zaczyna brać!

Spławik p. Ady zadygotał i powoli zanurzył się. W parę chwil przy pomocy p. Tomasza początkująca rybaczka wyciągnęła na brzeg parofuntowego karpia.

— To naprawdę może być bardzo przyjemne, gdy łapia się takie duże sztuki — rzekła z ożywieniem, przyglądając się swej zdobyczy, trzepocącej się u jej stóp.

Nauczycielka zaproponowała powrót, co podtrzymała pani domu, zapraszając na nieco spóźniony podwieczorek.

Towarzystwo zaczęło powoli ruszać się z miejsc, gdy p. Tomasz zarzucił wędkę na odchodnym i w oczach wszystkich wyciągnął karpia.

— Wiwat! — krzyknęli chłopcy, na znak wielkiej radości, bijąc kijami po wodzie.

Powrót był mniej uroczysty, ale weselszy, gdyż p. Tomasz, chcąc pokryć swe znudzenie, opowiedział z humorem parę swych przygód rybackich.

Po podwieczorku wrócił do siebie. Czuł się znudzonym nudą: nudnem było całe towarzystwo, zarówno jak te karpie, wyciągane niby siatką ręczną z sadzawki. Nudną konkursowo była ta pani nauczycielka — niewyczerpany zbiornik wysokich tematów do

„inteligentnej” rozmowy. Nudną wydała się w tej chwili p. Ada, sentymentalna malkotentka z raną w sercu, zadaną przez studenta ideowca.... Któż zba-
dał zresztą istotną treść pozy, z którą kobiecie jest do twarzy?.

Dzień wiejski cicho gasł. Pachniały jaśminy, słodką niemocą pojąc.

Pukanie do drzwi przypomniało o kolacji.

Przy stole zastał również katechetę. Zajadając „w podwójnej postaci” sporządzone karpie, mówiono znów o rybołóstwie, przyczem pan domu przyznał się, że wiadomości jego w tej dziedzinie sprowadzają się do całkiem ustalonego przekonania o karasiu w śmietanie i węgorszu w marynacie. Tudzież katecheta wymownie wydał usta, jako, że nie gardził temi obiektami. Nauczycielka oświadczyła, że dla przeciętnego śmiertelnika wędka musi być rzeczą arcy-nudną, a mogą w niej gustować „jedynie” natury kontemplacyjne.

— I ludzie, lubiący mieć stale przemoczone nogi! — dorzucił wesoło wikary. P. Ada wspomniała o pięknych obrazach sportu rybackiego nad Tamizą. Katecheta, trzymając na widelcu kawał karpia, zreferował z powagą, godną kazalnicy, że wędka to sport próżniaków.

— Ks. prefekt dobrodziej ma najzupełniejszą i najgłębszą rację, dlatego też myślę, wśród duchownych wędkarstwo winno mieć najwięcej zwolenników — odezwał się z przedziwną i bezczelną słodyczą p. Tomasz, uśmiechając się kącikiem ust. Stropiony tem

katecheta, opuścił widelec z kawałkiem karpia, wydał usta i zmarszczył brwi. P. Ada odwróciła śliczną główkę, kryjąc uśmiech. Nie uszło to uwagi pani domu i dała znak służącemu, aby dobrodziejowi podał półmisek. Ten jeszcze bardziej brwi zmarszczył i po głębokim namyśle dobrał sobie kawał karpia.

Urwała się rozmowa o rybołówstwie.

Chłopcy na szarym końcu, wciąż nie mogąc sobie darować puszczonego karpia, półgłosem zapewniali się wzajem, że to jest wściekła frajda mocować się z taką dużą sztuką...

Przy herbacie ksiądz katecheta wpomniał o koniach do miasta. Zakrzyczano go, nie chciano o tem słyszeć, aby na noc wyjeżdżał. Obietnicą „małej pulki” zniewolono poczciwca. Natomiast p. Tomasz ponowił prośbę o bryczkę, zadowolony, że uwolni się od niepożądanego towarzysza. Czuł się tak gruntownie znudzonym, pomimo dowodów gościnności, tak nieprzyjemnie obcym, że chciał stąd uciec.

Miano powstać od stołu, aby przejść do zielonego stolika, gdy przed werandę zajechała bryczka. P. Tomasz dopełnił żywo ceremonjału pożegnania i jeszcze raz na wymówki, że tak nagle ucieka, tłumacząc się terminowemi sprawami, wyszedł do sieni, odprowadzony przez pana domu.

Wniesiono lampę: za nią część towarzystwa wyległa na werandę. Podszedł do p. Ady, aby jeszcze raz uścisnąć jej dłoń.

— Widzi pani, jak się dziwnie składa...

— Może pan jeszcze kiedy nas odwiedzi? Będę tu aż do jesieni — mówiła powoli, badając go oczyma.

— To już chyba nie będzie możliwe.

— Wyjeżdża pan?

— Tak, a potem już do N. nie wrócę.

— Pewnie nad Bug? Wspominał pan już o nim.

— Tak, zgadła pani. Tam mi jest najlepiej.

Służący wynosił walizkę i składane wędziska.

P. Tomasz uściśnął mocno dłoń, pożegnał jeszcze raz całe towarzystwo, wskoczył do bryczki i kazał jechać.

Owionęła go swem tchnieniem noc, podobna do wczorajszej, tylko nieco chłodniejsza. Obejrzał się: pożegnał długim spojrzeniem lipową aleję i z żalem — tę śliczną, pastelową głowę, do której już nie miał powrócić.

NA RAFACH WIŚLANYCH.

Ech, ty Wiśło, modra rzeko!

Zanucił półgłosem p. Tomasz, zarzucając pod prąd, z całym rozmachem ramion, ciężkie, czternastołokciowe wędzisko. Długie, białe piórko spadało bez szmeru na wodę, sunęło szybko po srebrzystej powierzchni, podrygiwało, zatrzymywało się, próbując kołować, gdy znów sprowadzone na prąd, jak nartnik mknęło, aż napływając na bełty wśród wynurzających się z wody kamieni, ginęło na moment w pianie; znów pociągnięte, wynurzało się, tańczyło; kołysało się, odbijane raz wraz o łby skał — aż nagle, jak strzałka, śmignęło po wodzie...

W tym samym momencie poderwane z siłą, sfrunęło z wody, garść brylantów sypiąc za sobą... Jeszcze jedno mocne szarpnięcie — i p. Tomasz wyrzucił na żwir funtową rybę.

Tak się łapie klenia!

Ryba to szybka i dzika, lęka się nawet cienia ludzkiego na wodzie. A bierze, gdy głodna, błyskawicznie, stąd potrzeba największej zręczności, aby ją złowić.

P. Tomasz raz wraz zarzucał, prowadząc wędkę

z prądem wody aż do raf, podciągając co trochę, dla przynęty, jakby uciekał z wędką; to znów puszczał wolno, cicho wchodził po kolana w wodę, pochylał się naprzód, gdy wędkę już brakło. Przekładał wędzisko z ręki do ręki, rozprężając na chwilę ramiona. Znów zarzucał, zalewając się potem, pomimo świeżych podmuchów.

A wiatr był, jak na zamówienie — zachodni! Aby nie morka!

— Jak „morka“ na Wiśle, idź, bracie, spać, już nic z ryb nie będzie! — mawiali rybacy.

Blask bił od wody. P. Tomasz mrużył oczy, wypatrując piórko, aby nie stracić momentu „brania“ nie spóźnić się. A jednak często odrywało się od wody i wyskakiwał z fal haczyk — pusty.

Znów „wziął“! Wygięło się w pół wędzisko, ulegając oporowi, aż wynurzył się wreszcie czarny łeb i plus-plusk po wodzie srebrzystą łuską i czerwonymi pletwami... Już jest na brzegu; koziołkuje po żwirze, nie da się wziąć, aż wreszcie ujęty, trzepoce się gniewnie w grubej siatce przy brzegu, na kolku zatkniętej.

Powietrze przeszył długi gwizd: statek wynurzył się z zakrętu, spowity w przejrzysty puch wodny. Ciemną pierśią złobi fale, buchając kłębami białej piany. Czarny warkocz dymu wlecze po błękicie, wiatrem strzępiony.

Na pokładzie gromadka podróżnych. Machają chustkami. Dobiega po wodzie głos pieśni.

Statek mknie, bo woda **dobra**.

Piękny, chyży ptak!

— To pewnie Kolos, — Kalos, Kulos, jak mówią tutejsi. Może Hetman. A kto go tam wie?!

Już poleciał!

W przestrzeni nad nim bocian wyciągnięty płynął.

— Bywaj, bywaj! — zawołał p. Tomasz wesoło, zarzucając wędkę.

Ryba brała, lecz zrzadka. P. Tomasz zamierzał już zmienić miejsce i poszukać innej rafy, gdy, rozglądając się po rzece, zatrzymał wzrok na ciemnym punkcie, ledwie widocznym w oddali na tle szarobłękitnych wód. Znał to miejsce: postanowił tam się dostać.

Szybko więc zwinął wędkę, torbę zarzucił na ramię, wyciągnął z wody trzepoczące się w siatce klenie. Skręcił na lewo, szedł po zgrzytliwym zwirze, obramowanym koronką piany, następnie po piaszczystym wybrzeżu, zalewanem z sykiem przez drobne pełzające półkola.

Zatrzymał się przed jednym z trzech młynów ruchomych, więzionych u brzegu na grubych łańcuchach. Niepozorne, klecone z desek budy, chwiały się, kołysały na grzbiecie wód, trzeszcząc, postępując żałośnie, bręcząc łańcuchami, a nad tem górował miarowy łoskot roboty młyńskiej. Z górnego okienka wyfruwały białe obłoczki pyłu mącznego. Rzucona kładka łączyła brzeg z młynem.

Zdawało się, że lada chwila biedna, jęcząca bu-

da-niewolnica zerwie się z swej uwięzi, aby ulecieć, jak łupinka, w błękitną dal...

W drzwiach młyna ukazał się zabelony młynarczyk. P. Tomasz przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Wskazując ciemny punkt na Wiśle, poprosił, aby go tam łodzią dostawiono, i błysnął przygotowaną „czterdziestką”. Spodziejając się zgody, wszedł do łodzi. Chłopak odwiązał ją od brzegu, zepchnął na wodę i skoczył bosemi nogami.

Łódź płynęła lekko, pruła fale z pluskiem wesołym, figlarnym. Zawróciła prawie na miejscu, po chwili uderzyła nosem o skałę. Chłopiec wyskoczył, podciągnął łódź, za nim p. Tomasz.

— A wrócisz po mnie, gdy krzyknę? A gdybyś nie słyszał, to wyjrzyj: jak chustkę białą na kiju zobaczysz, to wracaj, dobrze?

Wyrostek kiwnął głową, powrócił do łodzi, odbił ją wiosłem mocno w kierunku brzegu.

Pan Tomasz rozejrzał się z zadowoleniem. Płaska skała, odległa od brzegu o jakie 100 kroków, wynurzała się z wody na łokieć. Umieszczona w pobliżu koryta, zbryzgana szumnemi pluskami rozbijających się o jej boki fal, tonęła w lazurze i pyle wodnym.

Szeroko się rozsiadłszy, p. Tomasz, czuł się tu panem wód. Byстрыm okiem szeroki ogarniał świat.

Hen, w dali błękitnej widniała góra zielona, a podnóża upstrzona białemi punktami lepianek; na jej szczycie — jakby z granitu, w grubych linjach wykuta sylweta kościoła, z połyskującym w słońcu

krzyżem złocistym. Za dalekim zakrętem kryła się powoli tratwa.

P. Tomasz sięgnął po wędkę, Nie śpieszył się zresztą, odrywał się raz wraz od roboty, wodził oczyma po powierzchni wody, po zielonych wybrzeczach, konarach topoli nadbrzeżnych, po wielkich płowych ławicach piaskowych, przerywanych srebrnymi paskami sączących się wśród nich strumyków.

— Szeroko płyniesz, a jakże często brak ci wody, by statek unieść na grzbiecie. „Ty nie chcesz — jak mówi Czajkowski — muszą stanąć na mieliźnie”. Nie masz w Polsce pilnej sprawy! zamiast 8—10 godzin z Warszawy do Płocka — jesteś w drodze 26—30. Podróżni dowcipkują, większość klnie. Bufet cały wyjedzą. Jeden stracił, drugi zarobił.. Nadleci statek „konkurencyjny”: śmiechem odpowiedzą na prośbę, aby linę zarzucił i wyciągnął z mielizny; kłaniają się, życząc wesołej podróży, oddalają się, nikną, dopóki sami „nie wywałą się” — na jaką ławicę. Jak to w Polsce: zgiń, przepadnij, boś nie z mojej kliki, hej! Błogo, gdy się trafi statek „zaprzyjaźniony” i wyciągnie z kłopotu, a bufeciarzowi wnet się mina wydłuża...

— Płyniesz szeroko, Wisło modra, co rok lub co lat parę zmieniając koryto — wszak przestrzeni ci nie brak, aby się szerzej rozeprzeć.. Wtenczas tędy Wisła płynęła, a teraz tu zrobiła sobie koryto — tłumaczy nadwiślak, zataczając ręką szeroki ruch. Cóż z tego, że temu, kto miał mórg 12, już osiem zabrała? A biedak wciąż płaci podatek z dwunastu. Innemu

przybędzie móg parę ławy piaskowej, obsadzi łożą, koszyki plecie... Jednemu weźmie, drugiemu dołoży. Jednej jesieni sklecą z palików, z faszyny — tamy, „główkami“ zwane — następnego lata już z nich ani śladu — wszystko woda zniosła! I ślady trudów — urwiste, poszarpane brzegi, wyrwy, podmyte korzenie sadów owocowych. I znów długa mitręga u rządu: podania, deptanie, aby nowe „główki“ stawiać pozwolił.

— Ech, ty Wiśło, swawolnico, — szeptał p. Tomasz, rozglądając się po rzece — macierzy. — Wielbiona przez naród, wieleż ty łez i przekleństw wyciskasz, gdy nieokiełznana występujesz z brzegów, zalewasz pola, znosisz zasiewy, chaty z chudobą i ziemi karmicielki porywasz płachcie morgowe!

— Ty rzeko bezpańska!

— Któż zbadał kaprysy twych wylewów, zmienego przyboru twych wód? Nagły postrach wzbudzisz: zaszumisz swawolna, zamącisz — i staniesz raptem, jakby w pół roboty. Warcholić ty rada, ty rzeko figlarna, zwodnicza! A gawieź nadbrzeżna snadnie korzysta z zamętu, gdy płyniesz szara-gli niasta. „Zupa“ płynie, zupa! — cieszą się, i każdy, czem kto ma, rabuje cię z mienia: ten suwatą zajęźdza, wybierając po dołkach, bełtach, zakrętach ćwierciami drobnicę gatunkowej ryby; ten garbi się nad podrywką, a dziatwa koszami, opałkami, kłomkami „tłucze“ — po rowach, dopływach, co się da... A skarżą się, a płaczą, że z roku na rok ryby coraz mniej w Wiśle. „Żeby rogi miała, i toby ją wybrali“ —

mawiał stary rybak z Dobrzykowa. Jak tu, tak i wszędzie — w Polsce jedna gospodarka — rabunek!

P. Tomasz błądził wciąż wzrokiem po powierzchni rzeki.

Iskrzącemi się oczyma ogarniał ruchliwe błyskotliwe przestrzenie — zamaskowane mielizny; szaremi stawały się te oczy w zetknięciu z ławicami płowemi i ciemniały, tonąc w szafirowej głębi głównego koryta.

— Ech ty, rzeko rodzima, bezpańska! Cała ty taka, jak to życie nasze. Nie brak ci wirów, odmętów — chybionych zabiegów i próżnych walk. Wyrwy — ślady mozolnych, wciąż odnawianych i wciąż niszczonych prac. Twe ławy piaskowe — to życia naszego jałowe obszary. I tchu nam brak, by przy twem ujściu piersi swobodnem tchnieniem na morze rozprężyć! Twe błyskotliwe, wśród wysp piaskowych szeroko rozlane tonie, „te srebrne struny na złotych brzegach rozpięte“ — to złudne życia pozory, błyskotki, kryjące mielizny rodzime. Ujrzeć cię by trzeba, Wisło jasna, jak to życie polskie — bez treści, bez celu, samopas idące, bezpańskie!

Wykołysz mi, proszę, żywo,

Taką rybę, morskie dziwo,

Co by z głębi twoich fal

Wychodziła....

Z jaszczurową szablą krzywą.

Wykołysz mi, takie dziwo,

Wisło, moja Wisło!

Powtarzał p. Tomasz zcicha słowa starego lirnika mazowieckiego, wpatrzony w wir, kotłujący się u stóp skały.

Zapomniał na chwilę o połowie, a miejsce było dobre.... Założył więc przynętę i puścił spławik w odnęt, podciągając zlekka pod kamień. Trudno go było utrzymać na miejscu: spławik kołował, to zanurzał się, zatopiony przez fale, pokładał się na wodzie, to znów pociesznie tańczył, przechylając się na wszystkie strony. Ożywił się rybak, co parę minut wyrzucając okonia, to płoć, trafił się i kleń...

— Tu zanęcić, to by ich naciągnął — pomyślał p. Tomasz, — Trzebaby na noc przyjechać, z wieczora „zasypać“, a noc przeczekać na skale.

Tymczasem spostrzegł na piaszczystem wybrzeżu osobistość w urzędowej czapce, z błyszczącą gwiazdką, w białym kitlu z guzami, połyskującemi urzędowo na wydatnym brzuchu. Ujawniał żywy niepokój; chodził po brzegu, jak kwoka, kacząta wodząca, z zarzuconemi w tył rękoma, przysiadał na lasce, wypatrywał, podnosząc często dłoń do daszka czapki, spoglądał w stronę młyna. Mocno się niecierpliwił. Pan Tomasz wiedział, że Moskale barłóżyli się tu w okolicy, na letniskach, wnet więc odkrył w urzędowej osobie rywala, zazdrosnego o upatrzone miejsce połowu. Czekał więc wizyty „naczelnika“, gotów bezwzględnie bronić swego stanowiska.

— Sprobujno mnie stąd ruszyć, — powtarzał wesoło. A chcąc zachęcić rywala do wyprawy, chwycił drugi kij i na zmianę to jednym, to drugim ciął

powietrze, jakby ryby wyciągał. Zakładał niby robaka, znów podcinał, odwracał się bokiem, jakby kryjąc sobą złowioną rybę.

— Sledziona ci pęknie, poczekaj! Ja ci tu jeszcze zamówię, aby ci żadna nie wzięła, — szeptał, uśmiechając się do siebie. I z wielkiej wesołości zaczął śpiewać prawie pełnym głosem: „Hej, flisacza dziatwo“!

Widać było wściekłość w ruchach grubasa. Biegał coraz szybciej, sięgając często do czoła białą chustką.

— Zobaczmy, kto kogo przeczeka. Choćby do wieczora tu siedzieć, nie puszczę cię. Zrozumiesz, że to moje miejsce, ha, — odgrażał się, szyderczo uśmiechając się w kierunku brzegu. — Moje, to wszystko moje, a tu — mój tron. P o n i a ł, ha?

I przypomniał sobie p. Tomasz nie bez wzruszenia ciężkich parę godzin, spędzonych na tej samej skale, gdy, pomimo ostrzeżeń rybaka, kazał się na nią dostawić w pewien wietrzny dzień. Jakoż wiatr się wzmógł, dał przeraźliwie; wzburzone fale rozbijały się o skałę, zalewały ją strumieniami wody. Połów był niemożliwy. P. Tomasz złożył wędkę, przywiązał je do nogi, torbę zarzucił na plecy, kapelusz sznurkiem przewiązał pod brodą, a wiatr rwał, szarpał, siekł mokremi batami, jakgdyby Bożek wiślany, zazdrosny o swe nad wodami panowanie, chciał porwać śmiałego rybaka, rzucić go w odmęt fal, pyłu wodnego i piany... P. Tomasz darł się, hukał, gwiżdżał, włożywszy dwa palce w usta, machał chustką.

Napróżno... Wiatr wiał wprost w twarz, tłumił wszelkie nawoływania. A i skała, zalana wodą, stała się tak śliska, że trudno było utrzymać się na niej. Po paru godzinach ukazała się wreszcie zbawcza łódź i zabrała przemokniętego na wylot, zziębniętego rybaka...

A pan „naczelnik“ wciąż biegał, przystawał, wypatrywał. Wreszcie stanął bokiem, łeb wtulił w kark, popatrzył i zawrócił. Wygramolił się ciężko pod górkę piaskową i wkrótce za nią znikł.

P. Tomasz powrócił do wędki, poprawił przyętę, zarzucił. Atoli, ryba spłoszona pluskiem, przestała brać. Słońce bliskie południa żarem piekło. Przywiązał chustkę do wędziska i, stojąc na skale, zaczął dawać umówione znaki. Wkrótce nadpłynęła łódź.

— A to się wzięło! zawołał wyrostek, zazdrośnie zerkając na sporą sieć, do połowy napełnioną rybami.

P. Tomasz wskoczył do łodzi, chwycił za wiosło. Po paru minutach był na brzegu. Pożegnał wyrostka wesołym: „A bywaj!“ Wcisnął mu w garść „czterdziestkę“, poprawił na sobie bagaż i szparkim krokiem podążył do budki w przystani, aby tam doczekać się najbliższego statku.

STARY RYBAK.

Grzęska drożyna wiła się przez wilgotny las ek olchowy, nad brzegiem jeziora o jasnej, szerokiej toni. Powiewem wiatru zlekka marszczona, bujnemi trzcinami zarosła, srebrzyła się, złociła, przy brzegach biła szmaragdowemi blaskami. — pod niebem lazurowem, z osłepiającą tarczą słoneczną u zenitu.

Ogarnęła p. Tomasza pasja włóczęgowska; pędziła go z miejsca na miejsce: z bryczki na bryczkę, ze statku na statek, z dworca na dworzec; przebiegał też pieszko po parę mil na dobę.

Przesiedział parę dni nad jednym z jezior kujawskich, opuszczając czólno tylko na kilka godzin snu. Dwa dni spędził, „stawiając” z rybakami sznury na Wiśle, zmagając się na wyprężonych ramionach z prądem rzeki, wylegując się w budach słomianych; ćmiać papierosy, słuchał gadek o tych dawnych czasach, „kiedy w Wiśle była wielga ryba, co jeno ją brać”; gdy się zmęczył wyciąganiem sznura, rozmawiał z Burkiem, poczciwym psem-sensatem, co życie rybackie dobrze rozumiał. W długie godziny ci-

szy wsłuchany w siebie, w motywach muzycznych własną treść przeżywał, lub leżąc nawznak, powtarzał półgłosem urywki utworów Słowackiego, Carducci'ego, Verlaine'a.

Gdy wracał potem ogorzały z rękoma spracowanymi parobka, brunatnymi od słońca, skupieniem swym wewnętrznym odgradzał się od ludzi. Znikało uczucie osamotnienia, nie pragnął bowiem i nie czuł żadnej z nimi spójni, kanty obcości ścierając łagodną pobłażliwością.

Aż nagle pękło sztuczne sklepienie izolacji, powracał ostry napad buntu przy pierwszej lepszej sposobności, zrywała się zaciekle żądza ratowania z powszedniej przypadkowości, z powodzi życia obcego, narzuconego, dziejącego się wbrew i pomimo człowieka — żądza ocalenia z klęski jedyne go swego skarbu: własnego życia szczerego, niezależnego — pędziła go hen od ludzi, w pustkowie, na wodę!...

I dziś wracał upojony słońcem, ulubionym zapachem wilgotnej ziemi, oparów wodnych, rozmarzony melodyjnymi szmerami trzcin, od świtu uganiając się za okoniami.

Słońce piekło. Pragnienie suszyło usta, a jeszcze szmat drogi miał przed sobą, aby dostać się do szosy, wypocząć pod znajomym bukiem i doczekać się jakiej okazji do miasta.

W pewnym miejscu, gdzie urywał się szpaler wysokich trzcin, pod pniakiem ujrzał pochyloną postać. Zbliżył się cichutko: siwy starzec w ogromnych okularach, ubogo lecz schludnie, z miejska ubrany, wpa-

trzony w dwa spławiki swych wędek, był cały pochłonięty połowem. Zrzadka podcinał, bez gniewu oglądał pusty haczyk, zakładał świeżą przynętę i z niezwykłą powagą znów zarzucił na to samo miejsce, pod trzcinę. Prostował na chwilę starcze ramiona, pochylał się i znów wypatrywał z najwyższą uwagą. Pogodnym, uroczystym spokojem tchnęła postać starca.

Już nieraz spotykał go p. Tomasz, zamieniając okolicznościowe zdania: „bierze, nie bierze“; podziwiał wytrwałość i żywotność staruszka, kręcącego się nad wodami, odległemi mil parę, które zwykle pieszo przebywał.

P. Tomasz postąpił parę kroków naprzód i przysiadł się na pniaku sąsiednim.

— Szczęść Boże! A jakże tam, ojczulku, rybka bierze? odezwał się pierwszy, korzystając z przywileju nazywania starszego rybaka ojczulkiem.

Starzec spojrział, uśmiechnął się łagodnie, w tej samej chwili podciął.

— Bóg zapłać! Ano widzi drogi pan, jak bierze—jak to bierze!—mówił, jakby do siebie, wpaździubnie, zje robaka — takie to i branie! Albo i teraz — jak to bierze! — mówił, jakby do siebie wpatrzony w jeden z swych spławików. — Niby bierze, a złapać się nie da! Niegłodna! Jakie branie, takie i ryby!

W tej samej chwili podciął i wyciągnął małego okonka. Zdjął go delikatnie z haczyka i włożył do koszyczka z pokrywką, wysłanego gałązkami wierzby.

P. Tomasz przyglądał się z zadowoleniem, przypominając sobie innego staruszka, spotykanego nad jeziorem, Deuszą zwanem; na trzęsących się nogach schodził po stromem urwisku; opuszczał się wolniutko po wyrobionych łopata schodkach, zasiadał na swem stałem, wysiedzianem już miejscu i rzucał parę grochów na wodę, Łowił zwykle „na grunt”, nie mogąc już dojrzeć sławika. Był zwykle ponury, zamknięty w sobie, nieprzystępny. Nie zjednała go podarowana wędka, ani haczyki. Milczał niewzruszenie, gęsto podcinając spore płocie, które składał do wyjątkowo brudnego woreczka. Raz tylko, gdy p. Tomasz zwrócił mu uwagę, że powinien sobie wybrać dogodniejsze miejsce do połowu, ruszył przecząco głową i spojrzał nieufnie na p. Tomasza, jakby go podejrzewał o chęć zawładnięcia prawowitem jego stanowiskiem, i odrzekł krótko: — Tu panie, bierze, niema rady... Dyc to cały mój zarobek, a jest nas kilkoro....

Jakże innym był ten oto starzec!

— A i mnie kiepsko dziś brała! — odezwał się p. Tomasz, chcąc podtrzymać rozmowę.

— Ale z pana też rybak, ho, ho, chyba pierwszy w naszym mieście! Ja tam z ludźmi mało się spotykam, a już słyszałem o szanownym panu. Kto nie złapie, mówią, a ten pan z torbą na pasie myśliwskim, — zawsze złapie, choć to przecież nie pańska profesja! Odwrócił się znów i spojrzał z przyjaznym uznaniem.

— Są lepsi odemnie — odrzekł p. Tomasz. Ja

nawet znam takich. Ale i wy ojczulku, też nóg i zdrowia nie żałujecie, a czy to godzi się w tym wieku?

— Proszę też pana, a dla kogóż mam zostawiać tę resztkę sił? To już moje, już swoje odrobiłem — odparł żywo, przelotne spojrzenie rzucając na rozmówcę.

— Tak, ojczulku, ale możnaby przecież gdzie bliżej, pocóż aż dziesięć wiorst?

— To nic, ja tam przywykły do tego i myślę sobie, że na starość to mi już wolno. Całe życie mi czasu brakło, aby z wędeczką wylecieć, a miałem sposobność, ha ha ha! Daj tak, Panie Boże, każdemu rybakowi! Tyle lat w Suwalskiem, gdzie się wychowałem, ha! potym nad Wisłą!... Panie drogi, toż to ja z górą 60 lat do wędkę się rwę, choć ta nigdy wielkiego szczęścia do niej nie miałem!

Tu podciął wędkę, obejrzał pod światło objezonego robaka, założył świeżego i ciągnął dalej:

— A teraz to już niby żadnego bata niema się nad głową, żadnego obowiązku! Bo to ja, proszę pana, z zawodu kamieniarz jestem. Pracowało się dawniej bez tych ochraniaczy, nie tak, jak teraz, i wzrok straciłem. Niechby tam Bóg Najwyższy choć tej resztki nie zabierał, bo już trzeba byłoby wędcę całkiem dać dymisję, a szkoda mi! Chciałby się człowiek jeszcze przed śmiercią nacieszyć! Choć to z temi rybkami, proszę ja pana, okropna nieraz młtrega, jak na ten przykład i teraz. Niechno pan spojrzy: bierze i nie bierze.

Istotnie duży biały spławik wykonywał najroz-

maitsze ruchy, a przy żadnym z nich nie można było podciąć: to podrygiwał, to sunął po wodzie, to zanurzał się gwałtownie i natychmiast wypływał.

— A możeby, ojczulku, głębiej zapuścić, to prędzej na okonia się trafi. To okleja tak skubie robaka.

— Ano pewnie, pewnie okleja. Niech będzie okleja, aby się łapała! Próbowałem już głębiej, także nie bierze. Ano niech będzie!

Przesunął spławik, zarzucił.

— A nie próbowaliście, ojczulku, na Wiśle, na „główkach“? Tam trafia się grubsza sztuka.

— Przeszłego roku ze trzy razy tam chodziłem, ale, proszę pana, to już dla mnie za ciężkie. Tu uważa pan — mówił, rozglądając się po otoczeniu — jest gdzie wypocząć, w cieniu, a tam cały czas na słońcu... A i „statków“ nie mam odpowiednich. Dawniej, ho ho, to się łapało, była ryba. Jak wzięła, to było co ciągnąć! I mnie się nieraz trafiało!...

Zwrócił do p. Tomasza śmiejące się oczy, pełne błysków wspomnień dalekich i dodał:

— Poręczniej mi na jeziorku, bo tu lżejsze łapanie!

W tej samej chwili podciął i wyciągnął okonka.

— Chodźno, bratku, do kompanji, do koszycka, jest tam już paru kolegów! — mówił półgłosem, zdejmując rybę z haczyka.

— Racja pańska! Żeby takich choć z pół kopy!

— Czemu nie, do wieczora daleko!

— E, już ich tam pewnie nie będzie tyle, co

w pańskiej siatce — rzekł, nie bez zazdrości spoglądając na siatkę, leżącą u stóp p. Tomasza.

— Od szóstej już siedzę i z pięć sztuk wszystkiego!

— Od szóstej? A dobrze to, ojczulku, zrywać się tak rano?

— Adyc, proszę ja pana, i tak nie śpię. Zjemy kolację z wieczora, pogwarzy się o tem i owem, o swoich — i spać, jak to mówią, z kurami... Godzina trzecia — słońeczko wstaje — już nie śpię! A i moja, ogromnie kobiecisko kaszle po nocach, to choć i leżę, a nie śpię. Ano to wstaję koło czwartej, o szóstej już nad wodą!...

— To dwoje tylko państwa na świecie? — zapytał p. Tomasz.

Starzec odwrócił się, spojrzął z pod okularów na rozmówcę, odparł jakby z wyrzutem:

— Jakto dwoje, nas dwoje?

— We dwoje tylko państwo mieszkacie razem?

— Ano tak, rozumie się, dwoje, ale nas? — ho, ho ho! Wiele nas jest? Toż my się z moją starą sami doliczyć nie możemy!...

Zamilkł, pochylił się z najwyższą uwagą, skierowaną na sflawik, nasrożył się okrutnie — wędkę poderwał i znów wyciągnął okonka.

— Ho ho, jakoś nieźle!...

Ożywił się i widać zachęcił do rozmowy.

— Pewnie dzieci już w świecie? — zapytał p. Tomasz, gdy starzec znów zarzucił wędkę na wodę.

— Jedenaścioro, proszę drogiego pana, było;

dwoje maleństwa umarło, a reszta, chwała Bogu, wychowała się: pięciu synów i cztery córki. Teraz wszystko już ludzie, na swoim!

— I wszyscy rozpierzchli się po świecie?

— Proszę drogiego pana, wszyscy w kraju siedzą. Jeden co prawda chciał do Ameryki wywędrować — zabroniłem. Drugi do Rosji chciał wyjechać — odradziłem. A od czegoż moja głowa? A czy to Polska za mała, myślę sobie, żeby i moje dzieci pomieścić! Czworo siedzi w Warszawie. Najstarszy niedawno na Wiedeńskiej „oberem“ został, młodszy jest magazynierem w fabryce, a reszta na prowincji. Nieźle się im powodzi i córkom niezgorzej. Porządnych ludzi dostały, ani słowa!...

— To dochowaliście się państwo pociechy!

— O tak, ogromna tego gromada: z nami dwójgiem będzie tymczasem 63 głów!

— Sześćdziesiąt trzy? — powtórzył z podziwem p. Tomasz.

— Tak, proszę pana, ani mniej, ani więcej. Toć najmłodszej córce przybyło niedawno czwarte, a córka najstarszego syna spodziewa się już drugiego, to będzie 64!

— To doczekaliście się już prawnucząt?

— Ano, niby tak, nie chwalący się. Moja gwałtem mi wpiera, że jest nas 67, ale to babski upór, nic więcej! Ja wiem, bo mam akuratnie wszystko zapisane. Gromada tego jest — toć samych wnuków mego imienia, Janów jest trzech, a Marji, żoninych imienniczek będzie chyba z pięć.... Ale niechno pan u-

waża, jak to bierze: cyka i cyka! To skaranie Boskie z takim braniem!

— Puśćcie jeszcze głębiej, ojczulku, tu głębia, znam to miejsce!

Starzec usłuchał, przesunął splawik i prawił dalej:

— To, proszę ja pana, gdy się połowa tylko zjechała, niby na nasze złote wesele, to był istny jarmark, a gwar, a pisk, a jazgot! Ledwo zdążyliśmy się napatrzeć, a już nagadać nie było kiedy! I kosztowało to wiele, ale cóż? Rodzina chciała, niech tam już oni teraz rządzą. Ale co to była za uciecha!

Opuścił wędkę, opierając ją o kępę tataraku, podniósł głowę, jakby zapatrzył się w jakiś obraz daleki, a sercu miły.

Po chwili znów spojrzął na p. Tomasza, sięgnął po wędkę i, zarzucając ją przed siebie, rzekł:

— A da pan wiarę, że ta wędka to roboty Janka, aż z Łomży przyjechała, dalibóg! Taki ci pętaś, dziewięć lat ma, już rybak, już kielbie tnie i płocie, jak mi starsza córka pisała. I wcale niezła wędka!

Wyjął z wody, otrząsnął i znów zarzucił, poczem spojrzął na p. Tomasza pytająco, szukając widocznie porozumienia.

— Będzie z niego rybak! — rzekł p. Tomasz z uśmiechem.

Splawik lekko poruszył się, po chwili uciekł pod wodę. Rybak podciął i wyciągnął z impetem sporego okonka,

— A to widać szczęśliwa wędka będzie! Bo to,

widzi pan, dzisiaj pierwszy raz ją założyłem, bo mi jakoś żal było... A nuż się zerwie!

P. Tomasz wyjął papierośnicę i podsunął starcowi.

— Dziękuję panu, dziękuję, nie pałacy.

— Proszę, — nastawał p. Tomasz. — Na rybkach nie zawadzi!

— O, ja wiem, przy wędce miło zaciągnąć się, szczególnie rano, po niewyspaniu. A i wieczorem też, aby komary człowieka nie zjadły. Palilem i ja długi czas. Będzie temu niedawno, ale zawsze kawałek już czasu, ze dwadzieścia lat temu, siedzę ja sobie na rybkach, nie przymierzając, jak teraz, i różne myśli człowiekowi przychodzą do głowy, jak to na rybkach, gdy już nikt człowiekowi nad głową nie trajkocze. Myślę ja sobie, wiele to funtów chleba, a cukru, wiele par butów, a ubrań możnaby kupić za to, co z dymem idzie przez jeden rok, żeby choć trzy ruble miesięcznie na tytoń wydawać. No i wie, drogi pan, co mi wypadło? Przestałem palić, choć ciężko było okrutnie, a już na rybkach najgorzej! Teraz czasami od wielkiego święta pociągnie się cygarko, jeżeli syn lub zięć poczęstują.

— A może i teraz? Mam i cygaro!

— Dziękuję, dziękuję, nie trzeba? — i widocznie chcąc zmienić temat rozmowy, ciągnął dalej:

— O tak, niezła nas była gromada i chwala Bogu! Wychować to wszystko było niełatwo, ale dożyć aż to wszystko wyrosło; choć nie mieć na oczach, ale

pomyśleć, że to wszystko moje — to ogromna uciecha!

— Zapewne — rzekł ze smutkiem p. Tomasz.

— O tak, proszę pana, to wielka łaska Boska, to jakby człowiek to słońko złote w sercu swem nosił!

Ogarnął jasnym spojrzeniem toń jeziora, spojrzął na p. Tomasza pogodnymi oczyma i powrócił niemi do swych spławików.

— Czytałem ja, proszę pana, w jakiejś gazecie, jak to jakiś uczonek Niemiec naigrywał się i drwinkował, że naród polski mnoży się, jak króliki, powiada, że nie trzeba mu dawać żadnej wolności, bo w dobrobycie jeszcze by więcej nas się namnożyło! A ja sobie myślę: głupis ty z swoim gadaniem! Jak ludno, to i więcej rąk do pracy! Prawda, i więcej gąb do jedzenia, ale czy to naszej Polski na to nie stać?!

— Choć nas rabują, okradają, wysysają krew, jak pijawki! — dorzucił p. Tomasz.

— Święta racja, święta racja! A my swoje robimy, żyjemy i chwalić Boga przybywa nas! I jest nas, nie przymierzając, jak tego mrowia w jeziorze! Niechno pan spojrzy! A jedno takie stadko najmniejsze, odrobina w tem mrowiu — to niby jak cała moja famielja, moje dzieci i wnuki! No nie? Myślę ja tak sobie czasami, gdy spoglądam, jak się ten drobiazg wśród traw uwija!...

Pociągnął wędka po wodzie.

— O, jak to znów bierze! Dolibóg, drobnica! Ona i na głębię trafi. No, weźmiesz, czy nie weź-

miesz? Nie chcesz, to niechaj, a robaka mi nie psuj, bo mnie już oczy bolą od ciągłego zakładania! No, adyc się nie bój, weź!

Nachylił się, podciął i wyciągnął pusty haczyk.

— To skaranie Boskie!

P. Tomasz spojrział na zegarek: druga dochodziła. O piątej miał być w mieście.

— Ojczulku, a może razem ruszymy? Mnie już czas wracać!

Starzec spojrział na słońko.

— Posiedzę, panie, dla mnie jeszcze za wczesnie i upał... I przed moją nie byłoby się czem pochwalić. Może trafi się jeszcze jaka głupia!

— To bywajcie, ojczulku, a może kiedy wybierzemy się razem na rybki?

— Owszem, z miłą chęcią — odrzekł, ściskając podaną dłoń, — Szczęśliwej panu drogi!...

P. Tomasz ruszył naprzód, zarzucając na jedno ramię torbę, na drugie wędziska. Zatrzymał się nagle o kilkanaście kroków, spokojem niezmaconej pogody i najcichszego zmierzchu życia ujęty — jeszcze raz ogarnął spojrzeniem widzianą teraz w profilu postać starca, na tle lazuru, złotych blasków jeziora i zlekka rozchwianych trzcina...

WEŁNIANKA.

Śliczna to rzeczka — Wełnianka! Już od drogi ją widać — srebrną wstęgą lśniącą wśród zielonych łąk. Wypływa z ciemnej głębi widnokresu, z jakichś pono jezior wśród czarnego boru. Wyrzywa się z mroków leśnych; płynie wartka i szumna, słoneczną przestrzenią rozradowana; jasna, jak uśmiech szczęśliwego dziecka, jak nić srebrna odżywczej, niespożytej nadziei tego smutnego, sponiewieranego niedolą szmata ziemi naszej...

Dwa, trzy sążnie szeroka, wody ma obfitość, równo z brzegiem, z głową chłop się schowa, a trafia się gęsto, co i gruntu trudno dostać, no, no!

A toń ma przejrzystą, jak kryształ najczystszy; dnem piasek żółciuchny, miejscami — glina.

Wychyłisz się cichutko z za krzaka, spojrzysz w głębie, a tam wszelkiego rybiego jestestwa mrowie! Nikt tam się za niem nie ugania, mając innych wód większych, wiele dusza zapragnie. Zwyczajnie, jak nad Bugiem!

Gdzie płycej, trawami nakształt warkoczy zarosła, przy brzegach kępami tataraku, roświtą, a trzciny ani pałki nie widać.

Płynie sobie tak swobodnie, zlekka jeno przeginając się wśród łęgów, szczebiotliwa, nadobna; słuchasz i słuchasz, a tu zagaduje cię raz wraz nieustanną i powrotną, i radosną, i tęskliwą piosnką miłą, jakby z duszy ludzkiej szła — o tej doli i niedoli — i o trudzie i o znoju — o weselu i o łzach — i o smutku i kochaniu....

Oj dana, oj dana!...

Z mokrych łąk wypływa na suchsze błonia podmiejskie, gdzie tworzy liczne małe wodospady, pełne szumu i piany bieluchnej, fryzowanej, jak wełna, stąd Wełnianką zwana. Dalej płynie znów równem, wartkiem korytem, aby dopaść Strychanki, co jest stryculcem Buga: niech jeno Bug się ruszy choć krzyneń, wnet przybiera na wiosnę, na Świętojanę — rzeką się staje niezgorszą!

Wiosną całe te łęgi wodą zalane, pełne krzyku ptastwa przelotnego. W mokre lata woda z nich nie schodzi i ginie bujna, nie koszona trawa, w suchsze — kopce pachnące wynoszą na drągach, brnąc po kolana w wodzie.

Takich rzeczek, wstęp srebrzystych, tyle prawie w naszym kraju, co gościńców.

Niemi płynie Boża myśl! Bije od nich blaskiem radość dni słonecznych. Niemi płyną wszystkie łyzy niestrudzonej ziemi — do macierzy — Wisły!

Dopiero po paru tygodniach suszy letniej Wełnianka staje się dostępniejszą.

Po stoku złotego rżyska schodziło się na łąkę, niby dywan puszysty, uginający się zlekka pod sto-

pami. Tu i owdzie przez ostre trawy strzeliste prze-
świtywała woda. Skokami jeleniami posuwał się p.
Tomasz naprzód po kępach, sterczących jak wiechy.
Wymijał szeroko rozlane płachcie wody lub przeby-
wał je wbród. Prawie z pod nóg zrywały się gęsto
dubelty i zapadały niedaleko w łąkę. Dopiero przy
samym brzegu grunt wąskim pasem stawał się nieco
twardszy.

P. Tomasz musnął na powitanie radosnem spoj-
rzeniem srebrzystą toń, rozmotał wędkę, zmierzył
raz, drugi głębokość i puścił pod prąd.

Piórko płynęło szparko, to czepiając się lepie-
chu, kryło się pod wodą wolno i biernie, zatapiane
przez fale; zlekka podciągane ku kępom traw przy
brzegu, zatrzymywało się na chwilę... I nagle znika-
ło, jakby samo uciekało pod wodę... Wzięła!

Ryba gęsto brała. P. Tomasz też chlastał raz
koło razu, wyrzucając spore płocie, jазie. Zbierał na
brzegu po kilka i kładł do siatki.

Szedł tak brzegiem, ogarniając od czasu do cza-
su pogodnemi oczyma całe otoczenie: wstęgę sre-
brzystą — aż po daleki, ciemny las, przed sobą, za
rzeką borek dębowy, na jego skraju dwa domki bia-
łe; na lewo widziany w oddali długi szereg strzech;
w górze — obłoki, zawieszzone w błękicie — białe
rumaki o zwichrzonych grzywach, ogonach — stada
fantastycznych ptaków — drzewa, puchem łabędzim
okryte...

Czasami, klęcząc, wychylał się z za krzaka, aby
przypatrzeć się życiu wodnemu: płocie stadami prze-

plywały zwolna wśród traw, czasami pierzchnęła gromadka sporych kleni lub jazi, może spłoszonych przez szczupaka.

I znów powracał do wędki, wsłuchany w cichy, wymowny szmer wartkiego prądu.

— Świat jest cudem radosnym, gdy na niego patrzymy oczyma dziecka, aby widzieć i czuć go w swem jestestwie. I ten szczęśliwy, kto oczy dziecka choć chwilami ma na świat otwarte — myślał p. Tomasz.

Dobrze mu jest: troska nie trapi, żadnego innego pragnienia w sercu nie czuje — prócz chęci do życia: by świat szeroki łąk, wód, borów, pól oczyma własnymi oglądać, żyć jego słoneczną radością, mocą matki-przyrody krzepnąć w zachwycie dla życia, stawać się w sobie prostszym, głębszym, jaśniejszym...

Idzie sobie brzegiem zielonym, w szmer wody wsłuchany i szept szuwarów; obchodzi wszystkie zakręty, ogląda bełty: gdzie głębiej pod krzakiem, pod kępą tataraku — zarzuci wędkę, próbuje — podetnie płótkę, okonka, albo i nic!... I pójdzie dalej!... Idzie tak w słońcu, w błękicie, pozdrawia nadzieją chaty bielone, wieńcem na wzgórkach obsiadłe, i sadów korony... Mija wioski i gaje, wciąż daleko, aż do Wisły!

A stamtąd może i dalej!...

Jak niegdyś mały Tomek — przed egzaminem z geografji...

Na chwilę poczuł się tym samym małym Tomkiem.

— Tu by go puścić, tu użyłby chłopczyna!

I odetchnął z głębokiem zadowoleniem, że Tomkowi nie grożą już żadne egzaminy! I wzdrygnął się cały na ich wspomnienie.

— I ciebie, Tomku, cud życia wiódł Marzeniem broniłeś się przeciwko bezmyślnej katuszy! A przecież treść twych marzeń dziecięcych świadczy, że ty mogłeś umieć geografję. Tyś jednak nad nią płakał!

I ujrzał p. Tomasz w wyobraźni nie bez lęku i odrazy postać, dobrze mu znaną, oglądaną zbliska przez długi szereg lat, — postać człowieka w mundurze nauczycielskim, o którym przecież wiadano, że jest żonaty, ma dzieci, trzyma uczniów na stacji, lubi grywać w bilard i winta, wyjeżdża na letnie mieszkanie, a którzy przez długie lata obcowania z klasą, aż do przesyty karmił ją nudą uroczystą, skrzypiącym głosem wydawał nieprzebraną obfitość słów, zdań; nudę urozmaicał strachem, skrzypiąc swym głosem, jak szubienica na wietrze, gdy badał ofiarę przy tablicy.

P. Tomasz wzdrygnął się powtórnie, jakby odpędzając zmorę — ten obraz urzędowego skostnienia i zdziczenia tej „duszy uniwersyteckiej“, pierwszorzędnej siły pedagogicznej w N.

I z zalem i z współczuciem pomyślał p. Tomasz o tych małych Tomkach i Stasiach, którzy wszak nie za winy, lecz „dla nabycia władzy“ katuszom tym podlegają...

Zarzucił wędkę pod prąd, szedł wolno brzegiem.

— Tu by cię, Tomku, puścić! — pomyślał.

P. Tomasz lubi dawnego małego Tomka; często go wspomina, rozmawia z nim, bada, jak przyjaciel młodszego przyjaciela; za cenę nieobliczalnych przykrości życiowych pragnie z nim zgody, by Tomek nigdy nie wstydził się p. Tomasza, bo ufa głęboko Tomkowi; wierzy, że wyrzeczenie się Tomka byłoby zdradą samego siebie, — że zarówno mały Tomek dla p. Tomasza, jak Staś i Wacek dla p.p. Stanisławów i Wacławów — najlepszym jest wzorem szczerego, prawego życia.

Dlatego też tak często przeżywa jego uciechy, wyprawy, marzenia, troski i zawody.

— Tu, Tomku, nad Wełnianką, naciąłbyś się płoci dowoli i Stach, twój nieodłączny towarzysz, nacieszyłby się dosyta! — pomyślał p. Tomasz, wyciągając z wody sporego jazia.

I jak w kalejdoskopie ujrzał przesuwające się obrazy przeszłości.

— Tomek wycina piłką — Tomek buduje kolej — Tomek oprawia książki — zbiera marki — sporządza wędki lepsze od najdroższych ze sklepu — prowadzi przez szereg lat szczegółowy dziennik statystyczny złowionych ryb — zbiera pieśni polskie — przerabia w domu doświadczenia chemiczne według Roscoe...

— Któż ciebie Tomku, nauczył tego skupienia, które powagą oblekało twą twarz i w oczach gorzało jasnym płomieniem, ilekroć rzecz nową chciałeś poznać, lub naśladować jakiś wzór, usiłowałeś zrobić

własnymi rękoma rzecz nową, urzeczywistniającą jakąś myśl? Wszak w twych bystrych, wiele widzących oczach, w waszych skupionych zapatrzeniach, mały Tomku, Stasiu i Wacku, żyła zaródź szlachetna uwagi, wszelkiej pracy twórczej! Wszak twa nieuwaga, Tomku, nuda bezmyślna — to już zwyczaj późniejszy, nabyty wraz z cenzurką szkolną, jak kłamstwo, kręactwo!...

— I któż ciebie, Tomku, nauczył tej powagi — snuł swe rozmyślenia p.Tomasz — powagi, z jaką rozglądałeś się po świecie, pełnym obrazów, ciągłych zmian, jaką widziałeś w najdrobniejszym strzępie ogromu? Któż cię nauczył tej powagi wobec świata, bez której niema żadnej moralności, żadnej cnoty, żadnej pracy twórczej, a która najczęściej wyradza się w pozę pustych pyszałków, — w uspołecznioną lekkomyślność, płytką niewiarę we wszystko lub brutalny cynizm... Bo nawet ta „powaga“ przeciętnego doświadczenia życiowego — to już znieczulenie, skostnienie, to jakby bierność kupca na rynku towarów, którymi nie handluje, — obojętność nabywcy wobec artykułów całkiem niepotrzebnych...

— Cud radosny stającego się wciąż życia, oglądany z powagą mędrca bystremita oczyma dziecka, chroni wam duszne od samozatracenia, mały Tomku Stasiu, Wacku! A marzeniem bronicie się przeciwko bezmyślnej katuszy! I tego was nikt nie nauczył! To jest światło własne duszy, jej moc twórcza — najszlachetniejsze bogactwo i najwyższe dostojeństwo człowieka!

— I tego Tomku, nikt cię nie nauczył. Nauczano cię jednej rzeczy: cześć dla dobroci ludzkiej wpoła ci Matka i chowasz w sercu ten nakaz matczyzny, skarb najdroższy — pomimo wszelkie obieże życiowe, pomimo podłość ludzi, bo obraz Matki żyje w tobie — wiecznie świeży, najmilszy, święty!... A tego, coś strwonił w duszy Tomka, lub w sobie nie chronił i samo zmarniało, tego już nikt nie naprawi i nic nie wróci!

Jakiś głośniejszy plusk na wodzie zbudził p. Tomasza z zadumy. Spostrzegł się wówczas, że całkiem zapomniał o połowie: stał, trzymając wędzisko pionowo przy nodze, wpatrzony w wartki prąd: środkiem rzeczutki nadpływała z dali zielona gałązka dębowa, jakby wieść radosna...

Słońce już kryło się za ciemny las. Gromady nastpliwych komarów rzuciły się natrętnie na rybaka. Pluski coraz gęstsze i głośniejsze pryskały po wodzie. Z łąki krzyczały derkacze. Od moczarów chłód powiał przejmujący, wilgotny.

Krwawe czoło słońca błysnęło nad lasem i zapadło w ciemnię.

P. Tomasz poczuł w sobie całe brzemie smutku. Zabrał do siatki resztę ryb, porozrzucanych na brzegu, pomyślał o powrocie.

Wracał tą samą drogą przez grzęzawisko, zasnuł już ciężkim, siwym oparem, nasłuchując strojących się chorów... Aż zabrzmiał koncert symfoniczny rehotów — całego państwa żab, gdy pierwsze gwiazdy zaskrzyły się na fijoecie zstępującej nocy.

Wydostał się nad drogę polną.

— A Gołda — zawołał wesoło, widząc biegnącą mu na spotkanie dziewczynkę.

Zatrzymała się, powitała go uśmiechem i klasaniem w dłonie; podskakiwała radośnie, nie spuszczać oczu z siatki.

Gołda zwykle wybiega to na jedną, to na drugą drogę, skąd p. Tomasz ma wracać, i wybiera z siatki drobne rybki dla siebie.

— Widzisz Gołda, dziś się poszczęściło: wszystkie ryby twoje!

— Wszystkie moje, cała siatka?

— A cóż mi po takich drobnych, węź!

Gołda jakby uszom nie wierzyła: podniosła siatkę do góry, oglądając z podziwem jej zawartość.

— Tak dużo?! Jak Awrum zobaczy, to będzie chciał sprzedać!

— Niech sprzeda.

— No, to co ja będę miała?

— To nie daj, to twoje.

— Co ja mu mogę zrobić? On mnie zbije!

Idzie obok p. Tomasza w milczeniu, śnać obmyślając, co zrobić, aby Awrum ryb nie zagarnął.

Gołda ma lat 11, 12. Jest sierotą bez ojca. Matka nędzarka oddała ją, jako najstarszą z pięciorga swych dzieci, pachciarzowi do posług. Lecz Gołda przesiaduje najczęściej w dworskiej kuchni; tam chętnie robi, co jej każą. Zajada „trefne“, oglądając się tylko, czy kto od pachciarza nie widzi... Lubi się śmiać, figlować. We dworze jest lubiana, pachciarka

natomiast nazywa ją „ladaco“, warjatką, nie mogąc jej zapędzić do żadnej roboty. Gołda ma jasne, złota-we włosy, białą okrągłą buzię, niebieskie, śmiejące się oczy. Jest bardzo zręczna i żywa.

Zauważył p. Tomasz troskę dziewczynki i rzekł surowo:

— Ty, Gołda, powiedz pachciarzowi, że ja mu zabraniam sprzedać te ryby!

Podskoczyła z radości.

— Aj, to dobrze! On będzie się pana bał, teraz to on nie sprzeda!

Wybiegła parę kroków w podskokach i, odwracając się do p. Tomasza, przymilając się rozśmianemi oczyma, mówiła:

— A dzisiaj to dziedzic tak skrzyczał Awruma, że nafty z miasta nie przywiózł. A ja się cieszyła: widzisz, masz!

— Czegóż się cieszyć, gdy drugiemu zdarzy się coś złego?

— A czemu on mnie bije? Ja go nie objadam, mnie dają we dworze! Ja by się nie cieszyła, gdyby się kto na pana gniewał i ja by w niego kamieniem rzuciła!

Podniosła dłoń do góry, stając w wojowniczej postawie.

P. Tomasz uśmiechnął się smutnie, składając na chwilę dłoń na głowie dziewczynki.

— I tak nie trzeba, Gołdo!

Snąć nie zrozumiała tej uwagi i ciągnęła dalej:

— No, ale potem to dziedzic przestał się gnie-

wać na Awruma i sprzedał mu byczka. Ach, jaki śliczny byczek! Miał być na chowanie, a teraz nie!

Gołda opowiada te nowinki z całym przejęciem, raz wraz spoglądając mu w oczy, ścisząc głos, jakby oddawała, co ma najdroższego.

— A dzisiaj to Icek znów mnie bił, tak mocno!

— I za cóż znów?

— Ja jemu urwała haczyk od wędkę i rzuciła do wody.

— I dlaczego to zrobiłaś? Tyle razy już obiecywałaś...

— A to czemu on mnie zjadł ciastko, co ja dostała od dziedziczki?

Weszli na dziedziniec folwarczny.

Była pora wieczery. Psy, spuszczone z łańcuchów, nadbiegły łaszcząc się i węsząc.

Koncert żabi rozbrzmiewał w całej pełni.

— Ja panu dziękuję, co pan...

Stała uśmiechnięta i pokorna, onieśmielona brakiem słów.

— A odnieś mi siatkę, pamiętaj!

— Ja ją pięknie upiorę i mgiem odniosę!

Podskoczyła i żywo pobiegła w kierunku czworaków. P. Tomasz skręcił w kasztanową aleję...

Gołda na kilka lat znikła p. Tomaszowi z oczu. Mówiono, że służy w miasteczku.

Był letni poranek. P. Tomasz wychodził z pokoju domu zajezdnego, gdy z drzwi przeciwległych wybiegła w kraciastej chustce dorodna dziewczyna o białej, zarumienionej twarzy, miedzianych włosach,

zwichrzonych i dużych oczach jasnych, rozpustą zmaconych: Gołda!!

Opuściła biernie ramiona, jakby chciała się cofnąć, ukryć, zalana szkarłatem. I twarz jej wykrzywił skurcz zwierzęcej, bezbronnej krzywdy... Gwałtownym ruchem naciągnęła brudną chustkę na głowę i tak pozostała: przyparta plecami do muru, skurczona, żałośnie nędzna, bolesna...

P. Tomasz postąpił naprzód, nie chcąc przedłużać jej bezradnej męki, szybko zbiegł po schodach.

Uderzył w niego na wstępie wrzaskliwy zgiełk jarmarczny.

LIPCOWE POŁUDNIE.

Natrudził się p. Tomasz pewnego ranka niemało. Od brzasku na nogach, obarczony kilkoma wędziskami, zapędził się parę wiorst brzegiem Wieprza — wszędzie, gdzie wędkę można było puścić, próbując: w każdym zakręcie, bełcie, zatoczce. Nie w smak był tego dnia rybie i chleb, i robaki, i groch... Fatalne w życiu wędkarza: nie bierze!

Zapewne nie pierwszy to raz i nie ostatni! A jednak za każdym razem truje goryczą zawodu, boć przyczyny niepowodzenia najczęściej są dla rybaka zagadką.

„Ryba to proszona” — mówi stare przysłowie. Nie siłą się ją bierze, a fortelem, zręcznością. A gdy nie chce brać, uprosić się nie da, ani zachęcić. Ot nie bierze — i kwita! A kiedyś, niedawno brała w tem samym miejscu. Któż wie, czem to się dzieje? Któż zbadał życie, w łonie wód ukryte?...

Nie zasługa, lecz i tu szczęśliwy przypadek rozstrzyga, chyba jak w życiu całym!...

A jednak nie żałował nigdy tych ranków złotych, gdy, przedzierając się przez krzewy lub trzciny, szukał tych miejsc „najlepszych”, najmniej przez ludzi

odwiedzanych; gdy wciskał się w gąszcze, drąc na sobie ubranie, rozdrapując ręce i twarz ostremi trzciniami, sterczącymi badyłami... Wracił nazajutrz i dni następnych na upatrzone miejsce; mało co jadł, nie sypiał, zczerniały od słońca, zabłocony, czaił się, jak człowiek pierwotny, na czółnie w szuwarach, aż wreszcie trafił na moment „brania“!...

P. Tomasz przystanął, spojrzął na rzekę bałamutną: Wieprz płynął szerokim, szarym korytem, między piaskami, zmywając zwisłe tu i owdzie nad brzegami gałązki wikliny, wygiętych wierzb.

— Za dużo tu piasku, a za mało kamieni, gliny, mułu, więc i ryba nie ma się gdzie trzymać — pocieszał się p. Tomasz.

A szary Wieprz płynął cicho, stalowo połyskując, równie obojętny na sarkanie rybaka, jak cudny błękit lipcowy...

W tem miejscu dzieliła się ścieżka: na prawo biegła do bielących się zabudowań dworskich, nieco na lewo, w oddaleniu kilkuset kroków za rzeką rysowały się nad urwiskiem brunatne ruiny zamczyska, smutne ślady minionej potęgi, rozweselone słońcem, zielenią parku.

Prawie nawprost ruin, wśród łąk znajdowało się duże, stare Wieprzysko.

— Tu można jeszcze spróbować! — pomyślał p. Tomasz. Była to stawka ostatnia namiętnego gracza!

Przyśpieszył kroku, szybko zbliżając się do kotlinki. Nagle zatrzymał się, złożył wędziska na ścieżce i zaczął zbierać koniki polne: chwycił je, jak mu-

chy, gdy, skacząc mu z pod nóg, siadały na łądkach traw; wkładał je następnie do dziurkowanego pudełka.

Po stoku kotlinki zbliżył się cicho do szerokiej lśniącej toni, okolonej krzakami, zarosłej po brzegach tatarakiem, sitowiem, grzybieniem.

Wybrał wędzisko co najdłuższe, i cicho, ostrożnie śmignął przez trzcinę daleko na złocistą nieruchomą taflę. Pociągnął bez szmeru do siebie... W tym samym momencie piórko pomknęło po wodzie... Rybak podciął i, z pluskiem prując toń, po chwili wyrzucił na brzeg dużą, złotą „krasnopiórę”... Przeszedł parę kroków brzegiem i znów z za trzcin daleko zarzucił. W pewnej chwili zapatrzenia się w szmaragdy i opale wód — znów zatrzepotała duża krasnopióra i z pluskiem gniewnym wydostała się na brzeg!

I nagle... jakby spłoszony westchnieniem toni rozdartej, ucichł w szuwarach powiew i obłok bład, płynący zwolna, rzucił na wodę kwefiący blaski cień. Ujęte spiekotą trzciny, sitowia stały bez szmeru, jakby czarem marzenia natchnione.

Słońce lipcowe było u zenitu.

Stała się cisza, słonecznym żarem brzemienna, groźna, wyczekująca, w rytm serca muzyczną falą tęsknoty chłonna błękit, złoto rozlanych blasków, puch obłoków — i ruin w dali smętne sylwety... Cisza, miłośniczo pieszczona tchnieniem rozgrzanej ziemi, wonnych wód i traw...

P. Tomasz wysunął się z trzcin, złożył obok siebie wędkę, usiadł na stoku pagórka. Po ruinach bru-

natnych wodził oczyma... Na zrębie baszty strzaskanej pierzchnęła postać, utkana z słońca i puchu obłoków — cudna postać w bieli, z rękoma wyciągniętymi w dal, pieśnią natchniona... jak to było niegdyś w fantastycznej powieści — już dawno, bardzo temu dawno...

Opuścił głowę na posłanie z traw. Powieki osunęły się biernie na oczy, pięknem nasycone.

— Cudna jasności zachwytu!

Żarem południa upojony, rozprężył się cały, wszechwładztwu piękna się poddając.

Otulił się mgławicą zapachu, ciepła, szmerów melodyjnych.

— Jasnym obłokiem spłyni mi w duszę! — szeptał.

— Jak niegdyś widziana — w bieli — wysmukła, wonna, jak konwalja czysta — cudem rozkoszy promienna, szczęścia muśnięciem pierzchliwem — zawsze mi pamiętna.

— Pójdź!

— Błękitem swych oczu, najśłodszą życia pieśszcota rozjaśnij mi serce!

— Zanurzę się w gęstwi twych włosów i natchnę cię żarem mego południa!

— Pójdź!

— Spalony męką, spiekotą udręki miłosnej, samotnej dumy o tobie —

— Tu wśród traw cichych, w oparach wonnych, upojnych, w namiocie z błękitu i słońca — święcę gody miłości!....

— Dziką muzyką serca czuję twe kwiaty na
piersi, czole i ustach, jasny zachwycie!

— Twe kwiaty i cudne przeguby!

— To ty!

— I łyzy, i pocałunki, i każdy rąbek twej sukni —
próg tajemnicy żywego piękna — to ty!

— I chwila — wieczność niepodzielnego posia-
dania ciebie, najśłodszy kwiecie życia — to ty!

— I okrucieństwo bez granic miłosnej udręki —
to ty, jedyna, wiecznie ta sama!

— I wracasz zawsze na zew mojej krwi!

Rozwarł szeroko oczy: twarz świeżością poran-
ku owiana, urokiem rozmarzonej przyrody wiosennej
tchnąca, łąką kwietną wonna — nachyla się nad nim.

Oczy duże, jasne, błękitne, szeroko rozwarte,
jak zapatrzone w siebie marzenie — zawisły nad je-
go męki otchłaniają....

STARY MŁYN.

Po urwistym stoku, wśród sadów, śmiejących się kwieciami jabłoni, zbiegała droga kotlinki, terkotem kół młyńskich rozgadanej.

Odgłos ten wabi i przynagła kroki.

— Jeszcze jeden młynek, wśród tylu widzianych — i każdy inny! pomyślał p. Tomasz, szybko zbiegając z zarzuconemi przez ramię wędziskami.

W pewnej chwili błysnęła srebrem gładka toń wśród jasnej, wiosennej zieleni.

Z sadu kwitnącego wychylił się biały domek, dalej młynek drewniany, zielonkawym mchem zarosły, szary; przy nim upust pełen szumu, pyłu opalowego i piany, zalegającej złoty, płaski brzeg.

Szczębiot ptastwa radosny w zaroślach, a nad tym — idące w błękit, miarowe, nieustanne, fraso-bliwe jak życie obowiązku, ter — ter — ter — ter — ter — ter —

P. Tomasz obiegł oczyma całe otoczenie: łąkę nad strugą, drogę, urywającą się na wzgórzach między łąkami; zwrócił spojrzenie ku toni: trzciny już puściły, chwiejąc się leciuchno zielonemi kitykami. Stok wzgó-

rza od strony, skąd przybył, bielił się, jak uśnieżony, cierniem kwitnącem.

Odszukał oczyma łódź, podbiegł, rzucił wędziska na dno, zepchnął na wodę, wskoczył, chwycił wiosło i odbił mocno od brzegu.

Zadygotała, jak ochocza tancerka, zrywając się do tańca i pomknęło chyżo, jak strzała.

Stojąc, wiosłował długim, lekkim wiosłem, rozpręzał z rozkoszą ramiona, rozglądając się po wodzie: było jej nie więcej nad 6—8 mórg, ale to już dosyć, aby oczy nacieszyć i łodzi dać pęd zawadjacki.

Śmigąła prawie bez plusku po toni lśniącej, ciemno zielonkawej, zawracała na miejscu i sunęła szybko i równo, płosząc koło trzciny, grzejące się na słońcu szczupaki.

— Zapuszczać tęgie niewody, wynajdywać co najlepsze tonie, słępicć rybne jaty, zarzucać pod trzciny niechybne drygawice, stawiać kroble na raki, he? Stać się prawdziwym, zawodowym rybakim! Czy nie byłoby to najlepszym rozwiązaniem życia? Boć nie byłoby to niewykonalne! Zerwać wreszcie z całą beznadziejną udręką życia i tem jednym umiłowaniem zapełnić przepaść pomiędzy własnem „ja”, a tak zwanem życiem realnym!... I czemuż tego nie czyni?

— Hej, złudy! — p. Tomasz całym rozmachem pchnął łódź, aż woda, kłębiąc się, zawarczała, i utknął dziobem łodzi w trawach przybrzeżnych.

Rozmotał bez pośpiechu wędki, zarzucił, poprawił.

Ryba nie brała, „jak zamówiona”.

Powrócił spojrzeniem do białego domku:

— Gdzie młyn, tam młynarka, tam niechybnie jakiś dramat miłosny!

Zaroły się w głowie te historie, gadki, zbierane wśród włóczęgi: o tym młynarzu, co żonę niewierną zabił, i sam w młynie się obwiesił. I od tej pory nocami ciągiem w opuszczonym młynie coś straszy.... O tej młynarce, co ze zbójnikiem się związała i od zbója zginęła... O tej dziewczynie — niebodze, co to z dzieckiem u piersi wypędzona, bo młody młynarz z bogaczką się ożenił, młyn z dymem puściła, hej!...

— A ty, biały domku, zalotnie przezierający z kwiecia i zieleni — jakąż kryjesz tajemnicę?...

Pusto było wokół. Z oddali dobiegało nieustanne ter — ter...

P. Tomasz powstał, jął się wiosła; ominął zalane wybrzeża; z miejsca, gdzie brzeg był twardszy, wyskoczył z łodzi i ruszył w kierunku strumienia.

Złociło się szerokimi płachciami kwiecie kaczeńca, na tle czystej, świeżej zieleni. Kępy niezabudek drżały lękliwie, potrącane stopą.

W trzcinie i sitowiu kurki wodne trzepotały się z krzykiem.

Ochoczo wziął się do wędki, zarzucał pod krzaki i trawy i ciągnął płocie, okonie, ścicha wygwizdując ulubionego czardasza. Drobnica brała! Raptem podciął: oparła się wędka; po chwili wyskoczyła z wody — bez haczyka! To szczupak ugryzł!

— A zbrodniarzu! — szepnął z wyrzutem rybak; przywiązał nowy haczyk i ruszył dalej.

Nudne było łapanie! P. Tomasz usiadł pod olchą, zaczął przegryzać chleb z czekoladą. Posilił się. Sięgnął do torby, spodziewając się znaleźć książkę: tym razem wpadła do ręki: „W Szwajcarji”.

Czytał głośno, jak dla siebie, poddając się potędze nastroju.

Złożył książkę na trawie, legł nawznak, z oczyma w błękit utkwionemi.

— Wydało cię serce — rozmyślał — miłości spragnione, o niezaspokojonej nigdy potrzebie kochania... Jakże smutny, smutniejszy od najsmutniejszych nastrojów swego poematu był Ten Jedyny, który dla świata miłości posiadał tęsknotę i wszystkie cuda wyobraźni, barwy i kwiaty, światła i cienie, obłoki, słońca i gwiazdy, wszystkie blaski i wonie, wszystko — prócz kochanki! I czemuż ta miłość samotna, fantastyczna — marzeniem oplatająca złudną zjawę życia — jest jedynie piękna?

W pewnej chwili zasłuchania w szmer traw i brzęczenie komarów spostrzegł, iż słońce zachodziło; ognista kula, wsparta o szczyt ukwieconego pagórka, cudnie go rumieniła.

Powstał powoli, zabrał torbę, wędki, powrócił do łodzi.

Sunęła bez szmeru w rytm smętnej weneckiej gondoljery. Czując się samotnym, napróżno szukał w sobie postaci, którą radby widział przy sobie.

Usiadł na burcie łodzi, wsparł czoło na dłoni.

Słońce już zaszło. Ucichły pluski na wodzie. Pierwsze gwiazdy błysnęły. Złoty księżyc wyłaniał

się powoli z za widnokregu i w ciszy rozbrzmiewał, na tle nieustanego ter — ter — ter —ter. namiętny, tryskający humorem, smyczkowy kwartet Raffa: „Młyn“.

Wiele w tym naśladownictwa i wiele twórczości? — pomyślał i spostrzegł, że w górnym okienku młyna błysnęło światło żółtawe; wśród sadu kwitnącego mignęła postać w bieli; znikła, po chwili wynurzyła się znów, wspinając się na żerdź ogrodzenia. Z mroku wychylił się cień.

Nie przestępując ogrodzenia, w otwarte ramiona ujął postać w bieli. Zadrżała w poświęcie księżycy gałąź kwitnąca jabłoni, jakby trącona śmiechem leciuchnym, czy łkaniem.

Słowik rozdzwonił się w gąszczu. Stroił się żabi chór.

Ich głowy skłoniły się do siebie. Księżyc uniósł się wzwyż, blaski srebrzyste sypiąc na aksamit wód.

Żadnego szmeru nie chwyciło ucho. Cisza mówiła zamiast słów. Gwiazd girlandy promieniły nad ich głowami firmament szczęścia. Błogosławiła ich jabłoń kwitnąca, a młyn grał im w oddali, z chórem żab zestrojony.

W pewnej chwili ciemna sylweta zarysowała się wyraźniej, jakby spotężniała: cień wspiał się na ogrodzenie, wyciągnął ramiona, przytulił mocno, szarpnął do siebie, jakby chciał porwać kochankę.

Nagle rozwarło ciszę zgrzytliwe poruszenie rygła — jak nieodparte wspomnienie brutalnej rzeczywistości.

Postać w bieli mignęła w ciemności, jak biała jętka, gdy nocą spada na toń — i znikła. Cień osunął się w mrok.

Słowik rozdzwaniał się coraz rzewniej i namiętniej.

P. Tomasz powstał, dopłynął do brzegu, wyskoczył z łodzi, zarzucił torbę, wędziska na ramię. Rozejrzył się po niebie. Z miejsca ruszył szparkim krokiem; musiał wracać: wszak i tu nie było już miejsca dla niego.

O ŚWICIE.

Cicho szemrała Wisła, migocąc żółtawemi blaskami latarek, znaczących śród mielizn drogi wodne statkom. Gwiazdy sennie mrugały. W dali majaczyły wysmukłe sylwety topoli. P. Tomasz szedł bez pośpiechu zwirowatem, to znów piaszczystem wybrzeżem, mając tylko kilka wiorst drogi, a jeszcze godzin parę do świtu.

Noc majowa czarem dyszała.

— Witaj, ach witaj, nocy!* — śpiewał.

Pieśń płynęła nad wodami, uniosła się zwyż, musnęła gwiazd girlandy, tchnieniem ostatniem ścieląc się po drogach mlecznych.

Pieśń na ustach przebrzmiała, trwała utajona w nastroju cichej nocy dostojnej, w harmonji, w nieskończoności głębin wygwiażdżonych, w tęsknocie wszechświat obejmującej....

— Witaj, ach witaj, nocy — powtórzył w duszy. W objawieniu serca wyczuł ciepłe tchnienie szczęścia i czuł je w oczach, ogarniających przestworze wyiskrzzone, w falach szemrzących i majestacie ci-

*) Bethoven.

chych topoli; w radosnym rytmie serca, w ramionach namiętne miłosne drżeniem napiętych, w jedności niepodzielnej duszy przyrody!

W jednym błysku samowiedzy przejrzał całą mękę i smutek swego życia i wyczuł, że nie z pustki, lecz z tej udręki powszechnej, z zawodów i ciosów, z wszelkich bólów istnienia, z nędzy i kalectwa, z mroku zwątpień i smutków, z przekleństw rozpacz — dźwiga się duch niezłomny, uśmiech poprzez mękę, z praźródła życia wykwita — przyrodzona, żywiolowa tęsknota do szczęścia, do radości! ..

Usiadł na dużym głazie, słuchając ciszy. Powstał, przeszedł jeszcze kilkaset kroków i skręcił na lewo połą drożyną. Biłą srebrzystą zasnuwał się wschód.

Szedł zwolna, rozchyłając zwisłe, bujne kłosa, obfitą rosą zlewające mu ręce. Słaniał się, szmerząc cichutko; powracały na dawne miejsca, niechętnie intruzowi, mącącemu ciszę.

Mgły błękitne wisiały nad łąnem.

Wydostał się z miedzy wśród zbóż na łąkę, pograżył się cały w gęsty opar. Roztrącał kolanami wysokie trawy zroszone, rozgarniał je ramionami, rzeźwiąc się wilgocią wnikliwą, niby kąpielą, wśród nocy ciepłej, jak dobroć matczyna.

Skręcił na drogę, wierzbami młodei sadzoną. Szedł wolno, wsłuchany w szmer gałęzi, poruszonych skrzydłami budzącego się ptastwa, przedziwnie wymowny, jak muśnięcie duszy echem głosów dro-

gich, przebrzmiałych, lękiem wobec rzeczy przyszłych, nieznanych. . . .

Gwiazdy bladły. Wschód rumieńcem zapłonął.

W mgłę majaczyły korony olch. Przeszedł niewielką przestrzeń naprzelaj i znalazł się nad cichą tonią, olchami okoloną. Wybrał miejsce, dające dostęp do brzegu, zapalił papierosa. Wsparty o pień olchy, czekał łaski dnia, aby rozpocząć połów.

Drzemała toń ciemna, zasnuta gęstym oparem. Spoglądała w duszę jak żywe ucieleśnienie czarnej, przepastnej udręki, odurzonej trującym, beznadziejnym złudzeniem... Jak ta dawna jego myśl w pewną noc listopadową na Plantach Krakowskich, gdy truł się zabójczym złudzeniem, że męką samotną okupi szczęście człowieka....

Przetarł oczy, sięgnął po wędziska. Ptak spłoszony pierzchnął lękliwie z gałęzi.

Opar szedł, unosił się wolno ku górze, odsłaniając nogą, przeraźliwie czarną, hebanową toń; przy brzegach gęste, szerokie liście nenufarów.

Złożył dwa wędziska z mocnemi sznurami, wypróbował haczyki, założył przynętę; połów miał być niebylejaki — jedna, dwie grube sztuki, albo nic!

Wyfrunęły dwa piórka z pod zielonych konarów i bez szmeru spadły na wodę, w dwa „okna” wśród wodorostów.

Pochylony z niecierpliwością oczekiwał jasności, gdy spostrzegł że jedno piórko zwolna posunęło się naprzód, utknęło przy liściu, przychyliło się nie-

co, znów mignęło w przeciwnym kierunku — i zwolna, ciężko zanurzyło się całe.

Przeczekał chwilę i wyczuł nagle w ramieniu silne szarpnięcie: zdobycz była pewna!

Wędzisko się wygięło, podając się gwałtownemu szarpaniu. Zabałwaniała się toń, odsłaniając raz i drugi czarno — brunatny grzbiet.

Rybak wytrzymał ataki i wolno począł ściągać zdobycz, cofając się od brzegu; po chwili wyrzucił na brzeg wspaniały okaz: ogromnego czarnego lina!

Opuścił wędkę na ziemię, podniósł głowę; wśród puchu mgły gęstej, błękitnej, zaścielającej przeciwległe wybrzeże i pola promienił się wschód, rumieniąc kłęby oparu. Samotne drzewa zakwefione staniały się, jak zjawy fantastyczne.

Tchnieniem ziemi rozrzedzone, zwolna poruszyły się mgły, pełzały leniwie, niemrawe, wspinając się na siebie, przytłaczały się wzajem — potwory sine, ogromne.

Zakołysał się w dali korowód cieniów smukłych, znikomych — duchów pokutnych, kierując się do ołtarza łaski promiennej.

Zamajaczyły w sienie dali tłumne hufce, zastępy i znikły jak senne marzenie u wrót wstającego dnia.

Rozpełzłe szmaty mgły, złotemi strzałami gorzone, pierzchają.

Zielony łan skrzy się brylantami.

Korony grusz, w mgłę jeszcze spowite, toną w błękicie — jakby ukwiecone.

Rozpływa się w jaśni mglisty kwef — radosny
cud się ziszcza: na jutrznianym, złotym progu wstaje
słońce krwawe!....

USTRONIE.

Wąska drożyna wiła się wśród zielonych pagórków, porośłych leszczyną, głogiem, kaliną. Bielity się na wyniosłościach młodych brzoźek pnie. Od rannego deszczu srebrzyły się strugi wody w kałużach, w kolejach wyjeżdżonej drogi. Przydrożne krzewy szczebiot ptastwa rozweselał. Wzrok, biegający za lotem ptaka, zatapiał się w błękitcie, w pogodzie, zachwyceniu.

Nie dłużyła się ta podróż wśród zielonych wąwozów, boć to nie była, nigdy od troski niewolna, droga obowiązku, ani gościniec biegów do celu, pełnych pokus i zawodów, ani pragnień dróżka, kolcami niepokoju najeżona.

P. Tomasz szedł bez pośpiechu, żywo rozglądając się na wszystkie strony; przerzucał wędziska dla rozrywki z ramienia na ramię.

Kręta drożyna wśród zielonych, rozszczebiotanych wąwozów błogą pogodą duszę ujmie. Mocą błękitu i ciszy wykwiła w duchu szczęście spokoju.

Na lewo urywał się wąwóz, odsłaniając pola, obramowane w dali zagajem. Stok pagórków po le-

wej stronie świerkami zarośnięty, zbiegał ku szerokiej drodze piaszczystej.

Dzień był cichy, ciepły — doskonały na karpie!

Z kępy drzew wynurzyły się szare strzechy zabudowań i białe ściany dworka.

Skreślił na prawo, okolił drogę przy folwarku, przez wąwóz, zarośla, wydostał się na drugą stronę stawu.

Odnalazł przy pieńku, obok zrąbanej topoli znajome miejsce. Zarośnięty olchami brzeg stawu niewszędzie dawał dostęp do wody.

Rozmotał wędki.

Na zielonem przeciwległym wybrzeżu bieleły się ściany dworka. Ganek, winem pokryty, frontem do wody zwrócony, był pusty: dobre oko mogłoby tam dojrzeć znajomą postać! Czernił się z dala szmat ziemi, rozdeptany przez zwierzęta, pędzone do wody. Brzegi suto zarastał grzybień, sitowie. Na prawo, gdzie staw się zwężał, gęste trzciny zalegały brzeg, a dalej — zielona przestrzeń, niby łączka puszysta — **grzyb**, niedostępny dla stopy ludzkiej.

Toń jasna śmiała się blaskami.

P. Tomasz zarzucił wędkę. Błądził spojrzeniem po toni, zatrzymując je na zielonym ganku i wracał, gdy w pewnej chwili spław zanurzył się zwolna. Wytrzymał, podciął! Zakotłowała się woda, wyprężył się sznur, jak struna.... Wędka wyskoczyła z wody — potężny karp zerwał się z haczyka.

Rzucił wędzisko o ziemię:

— Pech! Już nic z połowu!

Ryba tu zwykle brała zrzadka, niechętnie.

Zapalił papierosa, usiadł na pniu, spojrzął na zegarek:

— Możeby wrócić i zdążyć na najbliższy pociąg?
Albo przenieść się na inny staw?

Zapatrzył się w blaski, w błękit bijące. Na srebrnej, zwierciadlanej toni, w spiekocie południa drzemią nenufarów szerokie liście. Białe gwiazdy kwiatów w słonecznym puchu jaśniają witają przeczysty niebios lazur. . . .

Nad zielonym liściem nenufara dwie świtezianki modre w słońcu igrają.

Nad wodą pierzcha rój gęsty muszek srebrzystych, szmer ledwie uchwytny, muzyczny, wydając, rytmicznie z pluskiem zestrojony.

Szmer — niby dźwięk skrzypiec n. injaturowych — skrzydłami srebrnymi na złotych strunach słońca koncert grany: menuet z Divertissement N 1 Mozarta..

Dwie świtezianki w rytm menueta wdziecznie płasają. W słońcu czarodziejskiem mieniają się w kształt pary roztańczonej. . . .

Wstęgą szczęścia, upojenia —

Snuj się, życia śnie!

W płasie wdzięcznym —

Lotem w błękit,

Skrą zachwytu —

Pięknem młodość święć!

Gracji pełna, zachwycona,

a lękliwa,

marząca — wśród smętnych przestanków,
zadumana wśród beztroski tańca? ! . . .

Pryśnie złuda, minie czar —
życie, szczęście — chwila —
skra, w locie gasnąca!

Dźwięki skrzypiec ścichły. . . . I dwie świtezianki modre, słonecznym tanem upojone, zawisły chwiejnie w oddaleniu na różowym kwiecie poświęty.

Podniósł głowę, rozstając się z pięknem.

Powrócił do wędki, zarzucił niedbale, bawiąc się wspomnieniem jakiegoś menueta, gdy usłyszał szmer. Drgnął cały, poznając szelest kroków, — jak zwykle, gdy ciszę mu mąciły.

Szła z głową zlekka opuszczoną. Chwilami kryły ją krzewy i tylko dwa końce szala, zarzuconego na ramiona, jak białe skrzydła motyle, migąły wśród zieleni.

Opuścił wędkę na ziemię. Podbiegła żywo do niego.

Powitali się jak dobrzy znajomi.

— Poznałam pana z daleka! Rzadki gość!

— Tak, coraz mi trudniej wyrwać się. Cieszę się, że panią widzę.

— Jakże połów?

— Ach, panno Lucy, zerwał mi się z haczyka ogromny, potężny karp! — odrzekł, przesadnym ozyczeniem pokrywając zakłopotanie.

— Niech się pan nie martwi! Przyjdzie drugi. Ich tu nie brak. W przeszły piątek złowiono jedno: ważył 22 funty!

— Galanty!

— Miał pan wyjechać?

— Tak, ale inaczej się stało. A pani skąd wie o tem?

— Słyszałam — odpowiedziała spokojnie, siadając na zrąbanej topoli.

— Nie będę panu przeszkadzała?

— Cóż znów, panno Lucy! Będziemy razem czekali na tego karpia.

Zarzucił wędkę.

— Ale czy to bardzo długo?

— Rybak, panno Lucy, nie wie ani chwili, ani godziny. . . .

— Ech, pan chyba dla udręki własnymi myślami uprawia to czekanie?

— Myli się pani, ale i mniejsza o to. Proszę mi powiedzieć, jak się pani czuje, co porabia? — mówił, odwracając głowę i spoglądając przyjaźnie.

— Panie Tomaszu, pan się o to pyta? Czy może się co zmienić w mojem życiu? Za mąż nie wychodzę, nie zamierzam. Pan się o to pyta? To chyba jedyna zmiana, jaka może nastąpić.

— To może nastąpić bez konieczności zmiany duchowej, a napływ nowej treści może się dokonać zupełnie niezależnie od tego rodzaju zmiany warunków, czy nie?

— To możliwe. Otóż chyba nic się nie zmieniło. . . . Mam dosyć czasu, aby myśleć i wie pan, uświadomiłam sobie jedno: nie wiem, po co przeżyłam swoje lata, po co żyję.

— Panno Lucy, to bardzo trudne pytanie, bodaj najtrudniejsze. Odpowiedź na nie — w nas samych, ale ta dla każdego człowieka jedyna, własna, nie leży w nas nigdy gotowa: trzeba ją wykuć w znoju i wyrzeźbić w zachwyceniu.

— W zachwyceniu?

— Tak, panno Lucy!

Spojrzeni sobie w oczy, jak ludzie sobie bliscy, z oddali rozpoznający się wzajem.

— Wydaje mi się absurdem taka egzystencja! Czy po to było mnie kształcić, abym lepiej zdawała sobie sprawę z swej bezradności?? Uczyć muzyki i kazać grać na okropnym palcotłuku? Przyzwyczać do warunków kulturalnego życia i skazać na nudę i samotność wśród tych wód i wąwozów?

Oczy jej pały wyzywającym buntem.

— Czy nie mam racji?

— Zapewne.

— Pan może nie da wiary, że nawet piękno całego otoczenia wśród ciągłej samotności, stało się źródłem mojej udręki.

— Edgar Poe mówi, że tylko w samotności podziwiać można przyrodę. I ja wiem, że tak jest.

— To może pan! Bierze pan udział w życiu, w tylu sprawach recytuje bezpośrednio pan sam. Pan tyle przeżył!

— Tyle przeżyłem? A skąd pani tak sądzi?

Zatrzymał na niej długie, spokojne spojrzenie.

— Wiem, bo słyszałam. Spotkałam człowieka, który był niedyskretny i dużo mi mówił o panu.

Zresztą, jak to powiedzieć, sama postać mówi za siebie.

— No i cóż mówi, panno Lucy?

Zawahała się.

— Co mówi, powiedzieć, pan pyta?

— Tak, proszę.

— O wielkiem znużeniu i smutku.

— I cóż więcej?

— Tylko w oczach ma pan błyski dziwne, i to każe przypuszczać, że żyje w panu jakiś płomień, który nie da się stłumić.

Opuściła głowę na piersi. Zamilkła.

Po długiej chwili mówiła:

— Widziałam pana w N. zeszłej zimy w jeden wieczór śnieżny, Spieszył się pan, nie poznał mnie...

— Zdarza mi się to często. Ot roztargnienie.

— A wie pan, wtedy?

— No co... wtedy? Proszę powiedzieć! — odwrócił głowę, tknięty wnikliwym akcentem załamującego się głosu.

— Nic — odrzekła cicho, patrząc nieruchomo w lśniącą toń.

Zarzucił wędkę między liście nenufarów.

— Czemu pan omija nasz dom?

P. Tomasz przygryzł usta: wszak nie mógł powiedzieć, iż w ostatnich czasach jedynie dlatego, aby nie tracić czasu na obiady, podwieczorki, kolacje...

— I dzisiaj pan nie wstąpił.

— Panno Lucy, proszę mi wierzyć, to tylko dziwactwo z mej strony, nic więcej.

— Pan przyjechał rannym pociągiem?

— Tak.

— I dotąd bez obiadu? Wszak już z pięć godzin spędził tu pan nad stawem?

Spojrzał na zegarek i odparł wesoło:

— Już trzy, panno Lucy!

Położył wędkę na ziemi, podszedł, usładł obok niej.

Uśmiechnęła się, nie odwracając oczu, biernie kładących się na toni.

— Ot dziwactwo, panno Lucy, nic więcej! Pania to śmiesz?

— Trochę. I cóż pan ma z tej włóczęgi?

— Co? Trochę ciszy i pogody w duszy.

— Chwile.

— Tak, chwile, ale ich ślad trwa we mnie przez długie dni i wtedy tylko, gdy ginie, zatracam siebie.

— A wie pan, że pan jest znakomitym rybakiem! Byłam tej wiosny u krewnych w Lubelskiem: znałam tam p. Tomasza Orędzkiego i podobno równie dobrze na Kujawach, na Wołyniu!

— Tak mniemam, że jestem w kraju jednym z lepszych rybaków — wędkarzy.

— To takie zabawne!

— Co?

— To pańskie zamiłowanie! I nigdy się panu nie znudziło?

— Nigdy. Nawet wtedy, gdy spędzałem na łodzi po 16 — 18 godzin na dobę.

— Przyglądałam się nieraz rybakom: skurczeni,

z brodami na kolanach, wpatrzeni godzinami w jeden punkcik na wodzie — mocno są śmieszni!

— To ma być mój portret? zapytał ze śmiechem
Spojrzeli sobie w oczy śmiało.

— Niezupełnie. Na łodzi wygląda pan, jak prawdziwy rybak, bo z ruchów widać, że wodę pan zna. . . . Z brzegu łowiąc, pan zwykle stoi, prawda? Otóż zdaje mi się, że nawet wśród połowu oczyma ogarnia pan cały obraz, prawda?

— I mnie się tak zdaje, panno Lucy.

— I należy panu przyznać, umie się pan ubrać stosownie do swego zawodu, stylowo. . . . I ten czarny rozwiany motyl pod brodą vous va très bien, Monsieur!

— Merci!

Ciepłym przejmowała go niewymuszona szczerść tego dziewczęcia, mówiącego mu rzeczy proste i bliskie.

Ujął jej rękę, uściskał i wypuścił po chwili.

Zgarnęła pasmo popielatych włosów, które wiatr zwionął nad jej czołem.

Po chwili mówiła cicho:

— Czy nigdy nie przychodziło panu na myśl: gdyby tak osiąść nad wodami, w jakimś pięknym ustroniu, stać się prawdziwym rybakiem i dać pełną folgę swemu zamiłowaniu? Co?

— Tak, może niegdyś. . . To jest cała umiejętność, którą należałoby wpierw osiąść; to wymagałoby własnego terenu, a ja, panno Lucy, operuję ciągle na cudzych wodach lub niczych.

A? śnać słowo zamarło jej na ustach; opuściła głowę na piersi, jakby cała kryjąc się w sobie.

Nagle, jakgdyby błyskawicą oświecony, podniósł żywo głowę: pochyliła zapłonione czoło, zamilkła.

— Tak — snuł w sobie wątek myśli, ogarniając ciepłym spojrzeniem całą jej śliczną postać.

— Skrócić udrękę samotności, ukoić cię umiłowaniem.... Wziąć twe wiano, tych włók kilka i stawów kilkanaście, uchronić od rychłej ruiny tę resztę, niechybną ofiarę niedbalstwa i wyjątkowej niezradności starca — gaduły....

Ogarnął ją całą spojrzeniem dobrem, łagodnym i patrzył długo z niewymowną wdzięcznością, z zachwytem.

Podniosła głowę. Spojrzała mu w oczy, pytająco, z lękiem serdecznym.

— Chodźmy stąd! powstała i poprawiła sukienkę, strzepując z niej drobne listki.

Zwinął szybko wędkę i schował w krzakach pobliskich.

Szli groblą, minęli parę zarośniętych stawów, pełnych rehotu i krzyku dzikiego ptastwa.

Szła naprzód z głową lekko pochyłą. Wąska ścieżyna między olszynkami, zbacząc na prawo, zbiegała w wąwóz, jasną zielenią wysłany. Zwolniła kroku, zrównała się z towarzyszem i, nie patrząc na niego, mówiła:

— Tak, dzisiaj poznałam, że byłam w błędzie... .

Złe pana sądziłam!

Żywo spojrzeli sobie w oczy.

— Tak, od zeszłego roku. Pamięta pan wieczór, gdy burza spędziła pana z jeziora i musiał pan zatrzymać się u nas na noc?

— Tak, oczarowała mnie pani swoją pogodą, szczerością, . . .

— Potem, gdy mnie pan stale unikał, omijał nasz dom, pomyślałam, że pan prowadzi ze mną niecną grę.

— Panno Lucy!

— Tak, dzisiaj, mam panu wszystko powiedzieć! Posądzałam, że i ów wieczór był także w tym samym celu **zrobiony**, . . .

— Krzywdziła mnie pani!

— To by mnie przekonało! Dziś sama przejrzałam: Pan jest **taki!** Zresztą i tego wieczora nie wyznał mi pan! . . . zaśmiała się krótko, ironją pokrywając utajony żal.

— Tak, unikałem pani — przez pamięć tego wieczora. Nie chciałem, Lucy, wierzyć! . . . Sciszył głos, opuszczając głowę na piersi. — Byłem pewny, że to minęło! Lucy, tu tak pięknie, że gdy po roku wróciłem w te miejsca. . . .

— Zapomniał pan o mnie?

— O wszystkim, co należy do sfery stosunków ludzkich.

Stali na wąskiej ścieżynie wśród krzewów gęstych, oczyma jakby się odnajdując, badając, pełni żalu i utajonego zychwytu.

— Dziś przejrzałam: pan mi nie kłamał. A jed-

nak ja pamiętam, panie Tomaszu! Pan sam mówił o tych chwilach, których ślad trwa i gdy w duszy zanika. . . .

— Jestem winien wobec pani, ulegając zachwyceniu. . . .

Postąpiła żywo naprzód i, składając ręce na jego ramionach:

— Dlatego też... szeptała, tuląc się do niego, szukając jego ust.

— Lucy, mojej drogi życia już nic zmienić nie może — szeptał.

Złożyła mu dłoń na ustach, jakby zabraniając mówić. Razwarła oczy czyste, błękitne, pełne męki niemownej, błagalnej.

Zatonął w ich głębi całą mocą zachwytu.

Sfrunęła z błękitu wizja łąki kwietnej, puszystej, szmerami upojnymi rozkołysanej — białych roztulających się kielichów liljowych i róż, mdlejących w rozkosznem zawstydzieniu

. . . . Tak chciałam. . . . ty mój — szeptała, patrząc mu w duszę jasnymi oczyma, jak cudna toń czysta po burzy wiosenej. . .

— Tak, chciałam, ja chciałam, rozumiesz, Tomie? To moje! szeptała, zgarniając mu włosy z czoła, wtulając jego głowę w pąki swego piękna.

Lekko wysunęła się z jego ramion.

Powstała, płonąć zawstydzieniem.

— A teraz. . . . radosna odejdę, choć, wiem, że już nie wrócisz. Podała mu usta do pocałunku, ujmując go za dłonie mocno, serdecznie.

Wyrwała się z objęcia, odbiegła kilka kroków, zatrzymała się, odwróciła głowę, błyskając brylantami cichej łzy. . . .

Osunął się na ziemię, goniąc tęsknotą cichnące w gąszczu szmery jej stóp, wtulił czoło w ślad jej głowy, odcisnięty na mchu. . . .

Sercem ogarnął ziemię, wdzięcznością syna za jej dar hojny, najdroższy.

NAD SKRWĄ.

Rozchylił ramieniem zielony gąszcz krzewów, wynurzył głowę na świat słonecznego zachwytu: w głębokim wąwozie, bujnie majową zielenią wystanym, wesoło parskała Skrwa, tocząc bystry prąd po rafach; pieniać się, z szumem i pluskiem rozpryskiwała się o kamienne zapory, tworząc wiry, zawroty, odmęty; srebrzystymi warkoczami wyrывała się z raf, spływała dalej równem, cichem korytem i ginęła w zielonej cichej głębi wąwozu...

Z krwią snąc obfitą niegdyś spływałaś—stąd na wieczne czasy Skrwa cię nazwano. Może nieraz jeszcze wrażą krwią się zabarwisz!...

— Dziś — jasna, zielenią wiosenną umajona, błękitem i słońcem nawkroś przejęta — jesteś jak radość!

P. Tomacz zarzucił wędkę raz i drugi w spieniony odmęt, wyciągnął sporego kleniaka... Opuścił wędkę, błękitem w przestrzeń wabiony.

Za rzeką, w odległości kroków kilkuset, na pagórku zielonym, szary, wiejski kościółek krzyżem złocistym wystrzelał w błękit...

Na stokach wzgórza gromady chłopstwa rozsiadłe — gwoli pogwarce sąsiedzkiej.

Zagadały na zielonej murawie żywemi barwami niebieskie, czerwone spódnice i chustki na głowach.

Zabrzmiał lękliwie głos sygnaturki, jak krzyk spłoszonego ptaka. . . . I ścichł.

Ludek poruszył się z wolna.

I stała się cisza.

Cisza uroczysta, podniosłością nie mająca nic w świecie równego... Cisza strzech i opłotków, niw i łąk, wód i borów, ugorów i pastwisk, bitych gościńców i dróg piaszczystych, smętnemi wierzbami sadzonych, i drożyn zapadłych przez łęgi, moczary — nie zmacona żadnym odgłosem pracy — cisza całej Polski — zbożnego spoczynku po dniu znojnym płodzącego lata. . . . Cisza święta, niedzielna! . . .

...Gdy cichnie ptak polny, gdy zdźbło trawy przydrożne, kłos z pochyloną głową, kwiat dzikiej róży, maku, bławatek i zwisłe gałęzie brzozy — skupieniem ujęte, zaczarowane cudem cichej modlitwy. . . .

Gdy rozrzewnienie łzy z oczu wyciska — wdzięczności za życie. . . . Gdy serce tęsknotą miłosną przenika minione, najdalsze pokolenia ziemi — świątyni rozmodlonej, by wyczuć jej treść najgłębszą i przytulić do piersi drżącej. . . . I szept błądzi po ustach:

Święć się po wsze czasy, ciszy święty dniu —

Po skwarnym trudzie i znoju.

Rodzącego lata!

Święć się, ciszo rozmodlona, łąków, łąk i wód! . . .

Gdy od łąk i zbóż kwitnących i borów żywicz-

nych biją w niebiosa trybularze wonne i w błękicie gra ledwie uchwytna muzyka szeptów i szmerów, skrzydłami srebrnymi na strunach złotych słońca grana — symfonia Polski rozmodlonej. . . .

Nagle. . . . jak ogłuszające uderzenie obuchem! Zgraja głosów, niby z innego świata, rozwiązała, a pyszna. . . Łoskot, przeciągły chrapliwy, jęk. . .

Czyja ręka rzuciła je w ciszę, by ją zdeptać, spowiewać?

Tony fałszywe, niesforne, bolesne butą bezsensu i pustki — kłóca się wzajem z wrzaskliwymi głosami ludzkimi; echami jarmarcznych krzyków, nawoływań!

A z otwartych wrót narozścież bucha fala duchoty — potu ciał ludzkich, ziół więdnących.

Westchnęła rzeka, zaszemrały gałęzie i trawy, powiewem żywym ruszone.

Czarna chmura, zwolna tocząc się po przestworzu, ściła z krzyża blask złocisty, jasny nurt zmroczyła, cieniem posępnym jak kirem zakweliła wzgórza umajone.

Zawisa ciężko jak groźba, piorunowym gniewem brzemienna — czarne skrzydła — jak kopułę nad ziemią rozpostarła — krwawym zygzakiem błysnęła — gromem radosnym, jak wyzwajający się bunt — zgiełkowi ludzkiemu ciszę nakazała!

Pierzchnął spłoszony czarny ptak. . . .

NA TAMACH WIŚLANYCH.

Statek puł szare wody, mijając żółte latarki, rozsiane po powierzchni — ławice piaskowe, zielone brzegi, wysmukłe sylwety topoli nadwiślańskich. Ciepły wieczór wczesnej jesieni szarą przedzą przejrzystą zasnuł niebiosa i ziemię.

Ławice piasku i topole — drzew olbrzymy! — pomyślał p. Tomasz, stojąc na pokładzie, — wichrom się opierając, burzom i gromom, — w błękit dźwigając dumne swe głowy — wiecznie górują nad piasku ławicą — samotne, wyniosłe — podobnie jak myśl samotna Jedynego!

Dziób statku wykręcił się ku lewemu urwistemu brzegowi. Statek zatrzymał się, ciężko dysząc. Przerzucono kładkę, p. Tomasz wraz z kilkoma podróźniami wybiegł na ląd.

Obejrzał znajome miejsca: tamy, tak zwane „główki“, robione z palików, faszyny, których cały szereg oplatał wysoki brzeg.

Należało, nie tracąc czasu, wybrać „główkę“ według upodobania i nie dać się ubiec innym; przygotować wszystko przed nocą: wędki, latarkę elektryczną, siatkę, pudełka...

Ruszył ścieżką, nie oglądając się na towarzyszy. „Główka” nieduża, o dobrym bełcie, zaciszna, czarną głębią zachęcająco przemówiła do rybaka: zatrzymał się i natychmiast wziął się do roboty.

Zapowiadała się noc ciemna, chmurna, A pólów wyszukany: węgorzy, pewniej — sumów, ze względu na porę jesienną ; łowienie „na grunt” — z dzwonekami!

Po chwili wysunęły się nad wodą trzy długie wędziska, zadygotały trzy miedziane dzwoneczki, tercjami brzące, przywiązane do szpiców; plusnęły ciężarki ołowiane, spadając na wodę; zakołysały się wędziska, wbijane między gałęzie, zadzwieczyły trzy dzwonki, przy czym najmniejszy o najwyższej tercji, najruchliwszy, rozdzwonił się długą kaskadów dźwięków, w słodkiem morendo cichnących...

Mrok stał się coraz gęstszy, chłonąc brzegi, sylwety topoli, niebios.

Z dali błyskały żółtawym blaskiem rozsiane tam i sam latarki.

Na wody legła cisza ciężka, posępna, mącona rzadka psów szczekaniem hen, w dali, pluskiem przelotnym, szmerem cichym, jak westchnienie żalne, fali sennej, omdlałej, od brzegu odtrąconej.

W zasłuchaniu chwytano ucho szmer leciuchny, rytmiczny fali wiślanej, grającej na wyprężonych sznurach wędek.

Cudem zapatrzenia zakłęta — czarna głęb bezdenna wyłaniała z siebie obraz pełen blasków sło-

necznych na falach modrych Wisły rozchybotanej, pełnej flisaczych nawoływań...

Świetlana zjawa zapadła w mrok — jak złuda nieuchwytna marzonego szczęścia...

Czasami rybak składał niecierpliwą dłoń na jednym z wędzisk: drzenie wyprężonego sznura udzielało się palcom, ramieniu, przenikało całą istotę, budząc radosne czucie przynależności do tej rzeki — macierzy, jakby cały prąd jej wód przez serce przepływał...

Chwilami drzenie stawało się żywsze, sznur wypręzał się, opierając się wirowi; zadygotał czubek wędziska, zadrgał dzwonen: to ryba pletwą ruszyła sznur...

Zrzadka błyskały na wybrzeżu elektryczne laski i gasły. Zabrzmiały kilkakroć dzwonki w różnych odległościach. Plusk i trzepotanie zmąciły ciszę. Widać ryba zaczynała brać: czujność była nakazana!

P. Tomasz przycałił się w sobie i czuwał.

Ta noc chmurna, posępna, pełna szmerów, szepotów, tchnęła mową tajemną.

I poczuł się samotnym na całym obszarze życia, jedynym, ■ nikim z niczem nie związanym — prócz tej głębi nocy, całą ją w siebie biorąc.

Zapatrzył się w otchłań niebios i wód. I sięgał wzrokiem wewnętrznym do duszy i rzucał w mroczną przestrzeń gwiazdy — oczy promienne — myśli — kwiaty — kwiaty gorejące, krwawe....

Kwiaty — czary — zjawy pierzchliwe, ciemnym

granatem sycone — przyziemne, jakby pełzające po sobie, tłumy kwiatów, róż pachnących, unoszące się na chwilę i co moment zapadające w mrok....

Kwiaty — potworki — na grubych łądygach — o liściach szerokich, srebrem nakrapianych, o krwawych pręgach—kwiaty—potwory—kielichy, kwiaty jak głowy z wichrzonemi włosami, kwiaty—gorgonie głowy—upojone, trujące, wśród girland trupów zmiętych, zsiniałych drobnych kwiatów przyziemnych....

Inne — rozchylające liście jak usta spragnione, wsysające prężne główki storczyków. Róże — paki w splotach tulipanów, kochanków sennyh....

Kwiaty—potwory nakształt ogromnych piwonji, ślaniające się na cienkich, krótkich łądyżkach, rozpryskające się w mroku jak puste kule szklane, — jak pycha i próżność...

I kwiaty — motyle barwne, lotne jak kaprys, jak szczęścia musnięcie pierzchliwe, kwiaty — spojrzenia — uśmiechy, kwiaty — motyle, w locie rytmicznym, zachwytem zcałowujące z siebie piękno...

Ginęły w mroku jak duszki błędne...

Ujrzał kwiaty — cudotwórki — na smukłych łądygach — unoszące głowy — korony złociste, kształty coraz piękniejsze, doskonalsze, wystrzelające w górę jak rakiety... Kwiaty — gwiazdy promienne, wyłaniające się z mroku nocy—zorce poranne — z mgieł opalowych tęsknoty — jak pierwsze tchnienie słoneczne boskości...

I gasły w purpurach krwawych zachodu...

Spojrzał wnikliwie w nurt rzeki.

W przewalających się głębokich nurtach, na mulistym dnie życia biały kwiat, promieniejący jasnością — lilja o cudnych kształtach boginki... Olbrzymi potwór rybi kosmatemi pletwami oplótł ją w pół, paszczą szeroką, bezzębną, wessany w jej piersi...

Przeżył w jednym momencie bunt, i rozpacz, i żal echowy lat młodzieńczych, i smutek, co wraz z życiem rósł, krzyk krzywdy — za zbrodnię bezwstydną, bezkarną, codzienną, rozpierającą się przy biesiadnych stołach, wśród bełtadu i nonsensu życia — zbrodnia!

Spojrzał w twarz boginki: w jej oczach była jasność przeczysta, na ustach błądził uśmiech: z męki wyzwalający się triumf niespożytego piękna!...

Nagle zadrżał cały, otrząsnął się, przetarł oczy. A jednak nie spał. Wokół noc trwała. Na wybrzeżu błyskały latarki. W lewej dłoni trzymał wygasłe cygaro. Zapalił je i począł nasłuchiwać!

Wyciągnął wędki: przynęta była zjedzona, poprawił, zarzucił.

Czekał niedługo. Zabrzmiał dzwonek: rybak podciął i wyrzucił sporego suma. Włożył do siatki. opuścił wędkę na wodę.

W pewnej chwili szarpnięcie było tak gwałtowne, że dzwonek odrazu, zdawało się, zabulgotał w wodzie. Ożywił się rybak, wyciągając tęgiego węgorza. Niełatwo dał się wziąć i wcisnąć do siatki!

Zadzwończyły jeszcze kilkakroć wędki na zmianę
I znów nastała cisza.

P. Tomasz poczuł lekki dreszcz, senność go nachodziła, gdy ujrzał na jednej z „główek“ rozbłyskujące języki ogniska, w drgającym jego świetle nikłą sylwetkę.

— Panie doktorze, herbata gotowa! — huknął znajomy głos.

Rybak zwinął wędki naprędce i zbliżył się do ogniska. Z mroku wyłaniały się sylwety jak cienie. Dygocącemi z zimna rękoma wydobywano z torb kubki metalowe i raczono się buchającym parą napojem. Niejeden dzwonił zębami.

Ciepłe ognisko zachęciło do pogwarki: temu ani razu nie zadzwoniło, „więc zaklął“, tamtemu „dzwoniło“, ale słabo, inny się chwali, że z dziesięć razy; inny — dwa tęgie sznury zerwał na rybie! A jak tam było, już nikt nie sprawdzi! Ogółem był połów niezgorszy.

Rozmowy urywały się. Ten i ów, rzuciwszy pod siebie palto, próbował drzemać przy dogasającym ognisku.

Tymczasem noc zrzędała, odsłaniając zarysy przedmiotów — na tle szaro-brudnem niebios i wód. Wstawał dzień dżdżysty, wypełzał siną bielą z mroków widnokresu. Jak zmora czaił się matowym połyskiem wód, zasnuwał świat jednostajną szarzyzną beznadziejnego smutku. Czarną troską chmur zawisł nad znużonem czołem.

Zaczął pruszyć deszcz.

— Dość połowu na dziś! — ktoś krzyknął!

Rybacy poczuli się szybko zwijać. Zarzuciwszy

tobołki, wędziska na plecy, biegli gęsiego, kierując się do miejsca zamówionego noclegu.

Zaskrzypiała furtka małego domostwa, zgrzytęły wrota otwieranej stodółki.

Rzeczy ułożono po kątach i każdy, jak mógł najprędzej, dopadł upatrzonego miejsca na suto zasłanej na klepisku słomie, torbę lub tobołek pod głowę wcisnął, zawinął się w palto, łaknąc zasłużonego snu...

Koło południa rozpędził wiatr chmury, przedarło się słońce, racząc rybaków wszystkimi urokami jesieni...

Wieczór się zbliżał. Pomyślano o powrocie. Łódź czekała już przy brzegu. Stary rybak, Niedbała przyciągnął ją osiem wiorst pod prąd aby następnie z całym towarzystwem wrócić do miasta. Stary był, mocno głuchy, połowów na Wiśle zaniechał; dostarczał wędkarzom żywców, rosienników, jętek, przewoził; obdarzano go za to, karmiono, nierazko pojono. Nieraz też Niedbała paradował w spodniach „prokuratora” i czapce z gwiazdką „pana naczelnika”.

Siedział już u steru, ćmiąc papierosa, spluwając z flegmą na wodę.

Łódź była długa, wygodna, na kilkanaście osób.

Każdy z towarzystwa zaczął znosić do łodzi wędziska, torbę z rybami, tobołki, koszyki. Wszyscy zajęli miejsca.

— Gotowe! — ktoś krzyknął.

Niedbała powstał, łódź odwiązał od krzaka, za-

wiosłował, spychając ją wprost na prąd. Wiosło za sobą opuścił, kierując niem jak sterem.

Liczne było towarzystwo: lekarz powiatowy, blagier i mydłek, zawołany rybak i myśliwy, niezmordowanie objeżdżający swój powiat — z fuzją lub wędką; kupiec „kolonjalny“, praktyk „wędkarstwa“ znakomity, oceniający każdą złowioną rybę na wagę, łasy na rybę i zazdrosny o miejsca połowu; znakiem krzyża połów rozpoczynał; aptekarz — rybak „na przyczepkę“, zwykle najadał się i wysypiał nad wodą, a ryby kupował, gdzie się dało; był zasuszony, maleńki, o twarzy chińczyka, urzędnik akcyzy, krótkowidz, łowiący tylko na grunt, milczący, rzadka tylko uśmiechający się smętnie, gdy mowa była o rybach; był staruszek, członek sądu okręgowego, niezmordowany włóczęga, zwykle jak wielbłąd objuczony zapasami, któremi karmił całe towarzystwo; pogodny gaduła, świetny teoretyk, zawsze wracający bez ryb, bo „ryba nie brała“, jak twierdził zwykle — bez goryczy zawodu; był nauczyciel — łacinnik, stary kawaler, odludek; jak głosili złośliwi, wędkę jedynie traktujący poważnie — i swą gitarę; był wreszcie Janek, kominiarz, ospowaty drab o pocziwych jasnych oczach dziecka, włóczęga, nie mogący się utrzymać przy żadnym zawodzie, dopuszczany „do towarzystwa“ dla swych wysokich zalet: rzadkiego doświadczenia w dziedzinie wędkarstwa i ujmującej uczynności...

Łódź sunęła śród szmeru i plusków rytmicznych, raz wraz pierzchających, kierowana wprawną dłonią Niedbały.

Słońce zapadło za ziemi próg. Zmierzch złoty słał się na wody.

Płynęli śród stożków białych, czerwonych, znaczących główne koryto.

Mijali chyżo ławy piaskowe, zielenią łoży obramowane, żwirowate płaskie wybrzeża, pełne raf szumnych, spienionych, czarne, urwiste brzegi, w zakrętach swych pławiące długie warkocze wikliny, korzenie podmytych topoli, sadów, powalone pnie wierzb.

Na fijolecie niebios zaiskrzyły się pierwsze gwiazdy.

Zamilkły rozmowy. Pochyliły się czoła — jakby w zadumie, czy znużeniem ujęte.

Od ładu, z bielonej chaty, mrugającej nikłym światłem żółtawem — skrzypcowa gra leciała po rosie...

Leciała z piersią zdyszana i sercem bijącym, śmiechem się zachłystując, swawolna, rozochocona, w podrygach i podskokach różnych, czubami grusz zadumanych potrząchując....

Zbiegła aż do fali wiślanej, wtór sobie dobierając z jej cichych plusków rytmicznych — ścichła, coraz dalsza, ginęła smętnem westchnieniem...

Aż z ładu znów zakwiliły skrzypce, rozśpiewały się zalotnie, wabiąco, i drobiąc, przyśpieszając, zawrotnego obertasa ucięły!

Cichły, by śpiewnej harmonice miejsce ustąpić, lub dziarskim organkom.

I hen z chat, światłami migających, wrywały

się grania, dopędzały łódź, odprowadzały szczebiotem beztroskim, to znów hołubcem siarczystym, zastępując jej drogę, jakby szukały zwady, zaczepki...

Grania zawrotne, zapamiętałe — muzyka wciąż ta sama — hen — na wielkim szmacie ziemi!

Aż łódź w takt skoczny jęła podrygiwać! I drzewa nadbrzeżne jęły z miedz się zrywać, w pary ustawiać i ruszyły w tan!

I gwiazdy, mrugając jedna na drugą, sypnęły z niebios skrami złocistemi hołubców anielskich!...

I szło granie po przestworzu, przy cichym wtórze fali wiślanej — roztańczyły się tego wieczora niebiososa, i ziemia, i wody — hej!...

P. Tomasz podniósł głowę. Jak ostre sztylety raziły go światła:

— To miasto!

I głos, załamujący się od uczuć sprzecznych naporu, usłyszał w sobie:

— Umiłowana zjawo zachwytu!... I brzemię narzucone — nad siły!... Ech. ty życie moje!...

ŁUKOWA.

Ostrożnie stąpając, jak zwykł czynić rybak, gdy zbliża się do miejsca połowu, wysunął się z gęstych zarośli i stanął przy znajomym wywrocie dębu. Otarł z czoła krople rosy, strząśnięte z gałązek.

Jezioro, będące, jak powszechnie mniemano, dawnym łożyskiem Buga, łukiem przecinało łąki wilgotne i las dębowy — stąd Łukową zwane.

— Było cicho i szaro. Nad wodą pełzał gęsty, siny opar, kwefiący przeciwległy brzeg. Budziło się na toni życie ranne. Pluski drobne pryskały i nad ciemną powierzchnią błysnęła srebrna łuska rybki, ściąganej przez napastnika. Na wygiętej łodydze bujał się zwinny trzciniak.

P. Tomasz otworzył blaszankę, garść grochu, rozsypał szerokim kręgiem po wodzie.

Rozwinął szybko wędki, nasadził przynętę, wbił końce wędzisk w grzaski brzeg.

Opar zrzędł, odsłaniając powoli ogromne liście grzybienia i trzciny wysmukłe przy drugim brzegu.

Rybak zapalił papierosa, spoglądając kolejno na spławie swych wędek.

— Błogosławiona bądź, cicha godzina letniego świtu!

— Błogosławiona bądź, cicha letnia wodo, w mgły spowita — jak oczy kochanki, ocknione z marzeń miłosnych!

— Błogosławiona bądź cicha, odludna samotni człowieka! — szeptał wpatrzony w płoniącą się zorzę.

Usiadł na pieńku, wsparł brodę na dłoni, spojrzeniem toń ogarnął. Nieruchoma, jak heban czarna, konarami starych dębów osłonią — przemawiała głębią rzeczy niewypowiedzianych, tajemnych.

Rozprysło się nagle lustro wód, pluskami zmącone, szerokie kręgi zagrały i toczyły się ku brzegom coraz szersze, dalsze, niklejsze...

Drgnął lekko spław najbliższy, zadygotał, stanął pionowo.

Pan Tomasz ujął rękojeść wędziska. Spław zanurzył się nieco. Rybak pochylił się naprzód. Jeszcze czubek piórka widnieje nad wodą... Znikł, marszcząc leciuchno toń. Pan Tomasz jeszcze kilka sekund wyczekał... i całym rozmachem podciął! Powstał, lekko pociągnął, próbując oporu. Poruszyły się liście lilji wodnych, drgnęła toń. Ściągnięte brwi, usta zaciśnięte i szare błyszczące oczy rybaka świadczyły, że trafił na grubszą sztukę. Wsparł koniec wędziska o ziemię i równo, nie szarpiąc, powoli ciągnął zdobycz na wyprężonej nici. Wynurzył się

wreszcie ogromny łeb. Pan Tomasz zręcznie podsunął pod rybę siatkę na drążku i wyrzucił na brzeg ogromnego leszcza.

Poruszone liście grzybienia, z zalem opuszczając głowy, napłynęły bez szmeru na swe miejsce.

Usiadł na pniu, zapalił papierosa. Umiłowaniem ogarnął całe otoczenie.

Wstawał złoty ranek. Rosa obsychała, błyszcząc coraz rzadszemi kroplami na krzewach i trawach. Z pobliskich zarośli sfrunął trzciniak, zakołysał się lekko na końcu wędziska, poruszając żywo łebkiem i uleciał. W gąszczu przybrzeżnym zatrzepotały się kurki wodne z krzykiem swoistym. Śród skręconych korzeni, wietrząc wąsikami, myszka skradła się do grochu; chwyciła ziarno, podtrzymując je łapką, jadła z apetytem; odrzuciła łupinkę, chwyciła drugie. Z traw, od wody wysunęła się żaba zielona; gramoliła się niezgrabnie, śnać skromniejsza w wymaganiach, zbierała okruszyny zgniecionych ziarek, łykała je zabawnie.

Znów rozrzucił kilka grochów po wodzie. Niedługo czekał; splaw ruchem ciężkim, powolnym zatonał. Pan Tomasz, ścisnąwszy oburącz bambus, podciął z całej siły. Sznur wyprężył się — jest!... Rybak usta zaciął, czując niezwykły opór, wzdłuż rąk i ramion przebiegło drzenie żywe, rozkoszne, znane tylko rybakowi...

Na wygiętem wędzisku starał się jaknajdłużej zdobyć wytrzymać, aby ją zmęczyć, nie szarpiąc. Oczyma szukał podręcznej siatki. Drgnęła toń, po-

krywając się drobnemi bańkami. Odetchnął z ulgą. Nagle.... wyskoczyła wędka z wody — cała! Na jej końcu tańczył złośliwie w powietrzu — pusty haczyk!

Pan Tomasz z wściekłością rzucił wędkę o ziemię!

— Masz: najlepsze, reklamowane angielskie haczyki!

Obejrzał dokładnie: haczyk pękł przy ramiączku!

Pół na dzisiaj skończony!

— Taka jedna skaleczona zaraz innym rozgada, to już żadna nie weźmie, wiadomo!

Po wodzie drobne pluski pierzchały. Słońce coraz mocniej przygrzewało. Szeroką falą, przepojoną blaskiem, wnikał w duszę rozkoszny, ciepły oddech jeziora — zmieszane zapachy wody, ziemi, traw.

Modre i zielonkawe świtezianki uganiały się za muszkami.

Zaszeleściły krzaki: p. Tomasz obejrzał się i poznał znajomą postać starego Żyda, Całki. Ukłonił się i, zwyczajem rybaka, nie pytając o pół, przyglądał z widoczną lubością rozstawionym wędkom. Zwykle rozmowa toczyła się na jeden temat:

— A wiele to kosztuje? Sama wędka rubla!! O jej, — powtarzał, kiwając głową.

Całka nosił zwykle leszczynowe wędziska, powyginane od ciężaru wyciąganych ryb, wędki ze sznura, zakończone ogromnemi hakami na drutach; ubrany w wytłuszczony kożuszek, w nieodłącznej,

osadzonej głęboko na uszach, baraniej czapie, z pod której sterczały kosmyki siwych włosów. Czoło starcze, zorane, policzki mięsiste, pocięte czerwonymi żyłkami, nos gruby o szerokich nozdrzach i broda uroczyta, partyjarchalna, spadająca na piersi, barwy niewyraźnej — brudnawo szarej.... Z pod krzaczystych siwych brwi spoglądały oczy niebieskie, spokojne, dobre, zapalające się tylko wtedy, gdy mowa o rybach, o wędkach... Był pono malarzem pokojowym. Od wczesnej wiosny do twardej jesieni włóczył się przeważnie z wędkami. Mawiano też w okolicy:

— Kto nie złapie, ale Całka zawsze ma ryby!
A Całka dodawał:

— Na nas dwoje wystarczy; co Bóg da, z wędkami się przyniesie!

W zimie dziergał sieci rybakom.

— Jakże tam? — spytał p. Tomasz od niechcienia.

— Oj kiepsko, panie! Susza, rosienników*) nie ma, bieda!

— Całą noc się nachodził, z kopę nazbierał, aż kości bolą?

— Przecież nienapróżno! odrzekł p. Tomasz, wskazując wzrokiem spory worek ryb u stóp starca.

— Drobnica, to nie to, co tu jest!

Roziskrzonymi oczyma ogarnął jezioro.

— Tu, proszę pana, na moje sumienie, jest ryba!

*) Dżdżownic.

Jaka ryba! 15 f. 20 f. — pud! Ja sam takie brał! A teraz nie!

Uśmiechnął się dobrodusznie, nasuwając czapkę na czoło.

Nieraz spotykał p. Tomasz Całkę, drepczącego całemi nocami po błoniu z łuczywem w jednym ręku, w drugim dźwiگاł blaszankę.

Zbierał całemi garncami dżdżownice i sypał na przynętę w upatrzone miejsca. Całka sypał najwięcej — mawiano, ale też brał ryby, no, no!

— Pan dobrodziej na groch?

— Tak.

— Aj, to śliczne łapanie, tylko kosztuje i kto nie ma trafnej ręki, nie weźmie nic!

Po długim wymownym wstępie, chwając rybackie przybory p. Tomasza, Całka wynurzył się wreszcie z wielkiego kłopotu: brak mu drobnych haczyków. Uwalniając się od ciężaru cudzej zazdrości, p. Tomasz sięgnął po torbę, wyjął z przedziałki „najlepszych” spory haczyk i podał go Całce.

Zaśmiały się oczy starca. Obejrzał ostrze pod słońce.

— Aj dobry, choć pud ciągnąć, wytrzyma!

Podjął z ziemi worek z rybami i, kłaniając się, znikł na ścieżce w gąszczu.

Pan Tomasz wyciągnął wędkę, dwie z nich oparł o gałęzie, trzecią zarzucił między liście grzybienia. Wymył ręce, z torby wyjął kawałek chleba i począł się posilać, sypiąc raz wraz okruszyny na wodę.

Godzina połowu minęła.

Z dąbrowy wabiły głosy ptactwa: wilgi smętne wołanie, szczegot sroki, ciurkanie dzięcioła, słowicze lamenty — zmieszanych szczebiotów chór....

. „A rozliczni ptacy wkoło.

Ozywają się wesoło“...

Wsparty o pień pobliski słuchał.

Krótką noc letnią przed wyruszeniem na połów spędził, jak zwykle, nad książką.

Odurzony bezsennością, ulegał czarowi letniego ciepła, lazuru, zieleni, zapachów wnikliwych, upojnych — pograżał się w półśnie...

W złotej smudze światła, wdzierającej z otwartej przestrzeni — kobieca postać z bieli. Jedną ręką ujęła suknię, drugą sięgała po zieloną gałązkę, zastępującą jej drogę... Czujna, spokojna — patrzyła w duszę wszystko widzącymi oczyma.

— Przyszłaś odwiedzić mnie w mojej samotni, zapytać o życie moje, gdy nikt już nie zna celu i kresu samotnych, splątanych moich dróg?

Szarpnął się cały... Widzenie znikło. Przetarł oczy, rozejrzał się błędnie po całym otoczeniu. Na trzcinie kołysał się trzciniak, kręcąc zdziwionym łebkiem...

Pan Tomasz począł zwijać wędki, gdy przez zarośla przesunęła się znajoma postać. Wzdrygnął się. Ilekroć spotykał tego człowieka w najrozmaitszych miejscach nad wodami, doświadczał zimnego strachu, połączonego z odrazą.

Był to niemowa, zaciekły rybak, niemym zwany. Bosy, obdarty, o twarzy chudej, kańczastej, spa-

lonej, porośniętej szczecinowatym włosem; oczy miał skośne, przekrwione, usta wąskie, sine, wielkie, odstające uszy i ogromne, miedziane ręce. Zgarbiony pod ciężarem grubych wędzisk, przekradał się zwykle przez gąszcze jak spłoszony zwierz. Nocami zbierał dżdżownice, dnie całe pono spędzał nad wodą, łowiąc z powodzeniem ryby lub zaszyty w zarosła, pilnował miejsca, gdzie rybę nęcił. A chłocy wiejscy ostrzegali się wzajem:

— Nie chodź tam, gdzie „niemy“ łapie, bo cię co wciągnie do wody! Chłopak jeden chodził, chodził... Niemy się złościł, płakał... Aż ci raz chłopak poszedł i nie wrócił! Coś go wciągnęło!

Wszak i Celinka mówiła niegdyś o takim okropnym kudłatym łbie i wielkich łapach, wynurzających się z wody — aby cię wciągnąć! Tym potworem mógł być tylko — „niemy“!

Pan Tomasz zarzucił torbę na plecy, wędziska na ramię i ścieżką wijącą się wśród nie skoszonych łąk, podążył w stronę bielących się w dali chat.

RUCIEN.

Dniało. Koguty piał rozgłośnie. Cicha szarość stała na dworze, gdy p. Tomasz, świeżością poranku orzeźwiony po nocy niedospanej, zbiegł po schodkach ganku, minął czworaki i steczką między grzędami warzyw, lśniących od rosy, dosięgnął brzegu jeziora. Odczepił łódź, zepchnął na wodę.

Kilkowłókowe jezioro, w gęsty, siny opar spowite, pod niebem niewyraźnym, błękitno-szarem, okolone w dali czarnym pasem boru — powitało rybaka ciszą senną, smętkiem gwiazd gasnących.

Łódź mknęła szybko, żłobiąc czarną toń, ciągnąc za sobą smugi, niby czarne, połyskujące warkocze, rozplywające się po powierzchni, w miarę jak łódź uciekała od brzegu.

Rybak rzucił wiosło. Powstał. Odetchnął pełną piersią, ogarnął oczyma dalekie brzegi zamglone, szeroką toń, błękitniejące niebiosa: poczuł się jak na swoim, niby baczny gospodarz, gdy łan swój lustruje, azali pora "wziąć się do kosy lub sierpa, a niebo pogodą błogosławi zbożnym jego chęciom....

Ranek był cichy, ciepły.

P. Tomasz przygotował dwie wędki, powrócił do wiosła, kierując się ku prawemu brzegowi.

Minął jedną jatę i drugą, obiedwie bliżej brzegu położone; wysunął się do dalszej. Bez szmeru wiosło opuścił, przyciągnął się do wystającego nad wodą kołka, przywiązał do niego czub łódki: cicho przywarowała jak wierny, posłuszny pies.

Spojrzał w toń: czarna — nieskazitelnie gładka kryła w głębinie tajemnicę zawodu rybaka.

Przestrzeń niewielka, 8 — 10 metrów kwadratowych, kilkoma kołkami w dno wbijanemi oznaczona, tworzy jatę, gojnym inaczej zwana. Twardą jesienią chróstu rzuca się na dno, między kółki: tarniny, głogu, jałowca, suchych gałęzi dębowych, gruszkowych. Splatając się z wodorostami, zarastają ilet, tworzą z czasem istne gniazdo rybie, miejsce wycieru płoci, okoni, postój rabusiów — szczupaków, łasych na ikrę i drobnicę rybią.

Połów na jatach zwykle niezawodny, należy jednak do trudniejszych — opuszcza się wędkę wprost między gałęzie, ukryte w głębi; zaczepia się też je raz wraz i zrywa niemało.

P. Tomasz zarzucił wędkę, ostrożnie puszczał, próbując ciężarkiem wolnego przejścia między gałęziami; potym — drugą, po chwili obadwa spławiki stanęły sztorcem.

Niedługo czekał rybak. Zaczęło się charakterystyczne „branie” spław zadrgał lekko, marszcząc toń, poczem ruchem równym, powolnym zanurzył

się cały, jakby tonął. Rybak podciął: zatrzepotał spory okoń. Chwycił za drugą wędkę: to samo!

Podrywał tak na zmianę to jedną wędkę, to drugą, wyrzucając większe i mniejsze okonie: do funta!

Było w tym braniu gwałtownem, natarczywem, niezawodnem coś fatalnego: jak gdyby te jestestwa wodne po to bytowały, aby dożyć tej chwili: opuszczenia w nurt wędki — jednym porywem, streszczającym długich lat oczekiwanie, rzucić się na przedmiot pożądania — i zginąć!

I tu zdradliwość morderczego narzędzia, niewinnej plecionki z przynętą, kryjącą haczyk, występowała w całej swej jaskrawości.

W pewnej chwili wyciągnął jedną wędkę, nie mogąc nadażyć podcinać na dwie. Pociągnął drugą: zatrzymała się twardo na miejscu. „Pójdzie“ „wędka!“ — pomyślał markotny. Przeczekał chwil parę parę: spław nagle schował się pod wodę.

— Aha, pocziwiec — okoń sam wędkę odczepił!

Rybak podciął — i nie napróżno!

Znużyło wreszcie p. Tomasza to jednostajne zajęcie, a i trzepot koło łódki dawał znać, że siatka niezgorzej się napełniła.

Słońce było wysoko, prażyło dokuczliwie, blask od wody oslepiął, odurzał, sprowadzając sennność.

P. Tomasz rzucił wędkę na dno łodzi, zakąsił naprędce, wyciągnął się wygodnie, odwracając się od słońca.

Zapatrzył się w przestrzeń: w błękit dawnych,

niezapomnianych oczu — „niebios młodości“ w obłoki — kwiaty — drzewa, chimery — obłoki białe, zwolna płynące po przestworzu.

Cud życia — kształt zachwytu, odrodzony w nowych, doskonalszych formach....

..... P. Tomasz usiadł, przetarł oczy, zgarniając z powiek resztki snu... Tak potężny wziął okoń, że łódkę za sobą po jeziorze wodził — bajeczny sen!

Spojrzał na lewo, skąd przybył. Na szerokim wybrzeżu, wśród starodrzewu ciemnił się blok, pałac w stylu ciężkim, pozującym na monumentalność. I uśmiechnął się na wspomnienia opowieści, niedawno słyszanej — bardzo pouczającej historii!

Był sobie w majątku p. Jan Pępkowski, gorzelany, dorodny młokos, szyku zadający wśród córek oficjalistów sztywnemi cholewami i obcisłym ubraniem. W pałacu mieszkała dziedziczka, bogaczka, podwójnem kalectwem dotknięta, maleńka osóбка ułomna, żyjąca w otoczeniu paru służących i damy do towarzystwa. I jakoś się zdarzyło, że młody gorzelany zaczął bywać w pałacu, coraz częściej odwiedzał dziedziczkę — ku zdumieniu jednych, ku zgorszeniu innych. Aż zniknęli dnia pewnego. I wieść się piorunem rozeszła: dziedziczka wyszła za Pępkowskiego! Pępkowski będzie dziedzicem! I choć rodzina bogaczki wielki gwałt podniosła, aby pod pozorem jej niepoczytalności unieważnić małżeństwo i wydrzeć majątek z rąk „goja“! ... Na nic się wszystko przydało, tak solidnie Pępkowski wszystko „obstawił“ — jak mur!

Wrócili nowożeńcy z zagranicy. Rozjeżdżają

po milionowym majątku parą pięknych, karych arabów, przed czworakami dają wspaniałomyślnie służbie folwarcznej ręce do ucałowania. Ona — ledwie widoczna z pod fartucha wolantu, on — wygodnie rozparty, isticie po pańsku znudzony.

Młody dziedzic, wbrew dawnym zwyczajom, zabronił oficjalistom używać przechadzki po parku, aby żaden intruz nie mącił młodej parze miłosnych nastrojów.

Wkrótce Pępkowski zacznie się pisać **Pempkowski**, będzie grać drogo w pokera i dobierać utrzymani śród gwiazd sceny polskiej, dziedziczka da tysiące na kościół i stanie się kolatorką! I załynie na Kujawach — Pempkowskich stara rodzina ziemiańska!

Sic itur ad fortunam!

Opowieść pouczająca dla zbankrutowanych synalków ziemiańskich!

P. Tomasz roześmiał się głośno, wesoło. Odwiązał łódź, pchnął z miejsca ochoczo. Pruła toń z chichotem, śmiechowi jego wtórując.

Wiatr nadbiegł, zmacił, zmarszczył wody, aż zachybotła się, rozweseliła swawolą toń cała, chichot figlarny, pryskający z pod wiosła, roznosząc hen, aż do kamiennych schodów terasy, zbiegającej do jeziora.

P. Tomasz zbliżał się do brzegu, gdy śród dostojnej alei modrzewiowej parku mignęła para karych arabów i wolant, niosący jaśnie państwa Pępkowskich!

ZIMOWY POŁÓW.

P. Tomasz skręcił z szosy na boczną drogę.

Błękitna jasność zappełniała gościniec wśród lasu młodych sosen, zdobnych w korony ze śniegu. Powietrze było przeczyste, surowe; zachęcało do ruchów szybkich. Z wieczora spadł suchy śnieg; przez noc ścięty zlekka mrozem, skrzył się brylantami i skrzypiał niemile, mącąc ciszę lasu.

— Lubą jest każda ponowa! — pomyślał p. Tomasz, spojrzeniem ogarniając śnieżną biel drogi, w głębi lasu. — Ziemię pustą, zrabowaną, zrudziałą — oponą białą zaściela, okrywa jej łachman jesienny i brud powszedni zszarzenia! I czyż jest obraz surowszej, uroczystszej powagi życia, większej obojętności na wszelkie pozory, czyż jest świętsza nieśkalaność — nad tę szerz białą, cichą, gdy świt różami ją rozpromieni i mgłą opalową zasnuje się kres — tam, gdzie niebios lazur zlewa się z śnieżną dalą? Oby jednak na całym tym obszarze nie było człowieka!...

Wynurzył się z lasu. Z krzaków, prawie z pod

nóg pomknął zając spłoszony, sadząc wielkimi skokami: strach ma wielkie oczy!

Stał na krawędzi wielkiej, równej polany: na brzegu jeziora, śniegiem pokrytego; świadczyła o nim równa powierzchnia i kępy trzciny rdzawych po bokach, sterczące jak resztki czupryny na ogromnej łąsinie. Sikorki płocze zwinnie sfruwały z gałązek młodych sosen, żywo ruszając kitkami ogonów, sypiąc puch śnieżny z pod brzuszków.

Pusto było i odludnie.

P. Tomasz wstąpił na lód. Chrupkie, wydęte wiatrem trzciny, roztrącane stopą, z trzaskiem swoistym padały na całun śniegowy. Wiatr je porrywał i miótł po trafli zamarzłej.

O parę kroków za trzcina zatrzymał się, postawił blaszanek z karaskami na lodzie, ściągnął rękawice, z pod krótkiego kożuszka wyciągnął małą siekierkę, wybrał wprawmem okiem miejsca najlepsze i począł rąbać lód: gruby, z wierzchu matowy, szklisty w głębszych warstwach, pryskał z pod ostrza igłami ostremi, skrzył się brylantami, wydając oddźwięk metaliczny, rozgłośny, stopniowo coraz głośniejszy, aż zagulgotała wreszcie woda, bluznęła wesoło, zalewając cały otwór. Rybak wyrównał brzegi, oczyścił z lodu, rozmotał wędkę z krótkiego kija, założył karaska i puścił w przerębel: żwawy żywiec błysnął złotawą łuską i zapadł w ciemną głąb. Robota szła szparko: w ciągu kilkunastu minut wyrąbał jeszcze kilka otworów, w półkole, pod trzcina, odległych wzajem o kroków kilkanaście; wędy za-

puścił, krótkie kije, zastępujące wędziska, składając nad przerębiami.

Zakaślił, parę łyków czarnej kawy pociągnął z termosu.

Stanął na środku jeziora. Zimowe słońce dobiegało południa.

Biel nieskalana, czystość powietrza przenikały duszę przedziwną jasnością, poczuciem wewnętrznej swobody.

Rozgrzał się „po kuczersku”.

— Gdyby wplatać w ciągłość codziennych prac i wysiłków te złote, najcenniejsze nici? Czemuż dla nich istotnie miejsca niema? Czemuż w zetknięciu z tem, co się życiem realnem zwać zwykło, kurczy się duch, zamyka w sobie, odgradza obojętnością, szyderstwem — i skarb jasności i swobody kryje w najgłębszych tajnikach jestestwa, promieniując w czynach, spełnianych ukradkiem, po za sferą obowiązków i zasług, — w uczynkach najlepszych, z nakazu wewnętrznego wyrosłych, a zgoła nikomu jakby niepotrzebnych? ...

Jasna biel zimy krzepiła w nim jasność wewnętrzną. Ta równina ogromna, jednostajna wzywała do koniecznych przystosowań duchowych: obojętności względem wszystkiego, co nie przetapia się na treść własną duszy.

— Błogosławiona bądź, zimo śnieżna, jasności duchowej królowo! — wyszeptał w sobie. — Wsparły na samotności, treść własną z siebie samego nauczyłem się czerpać! Krzesać umiłowania z żywych

blysków-skier oczu dziecięcych, pytaniem samorzutnem mierzących się z całym ogromem świata !

— W motywie muzycznym, przeżywać jasność i swobodę ducha!...

Mróz znagłał do ruchu.

Podbiegł do przerębli, obejrzał wędy; na jednej żywiec był zerwany, założył świeżego, zapuścił: wziął znów, prawie z ręki, ściągając cały sznur z nad przerębli. Rybak podciął i wyrzucił na lód niewielkiego szczupaka.

Tymczasem niebo jęło zasnuwać się szmatami szaro-sinemi; powiał wiatr silny, zatrzęsł trzciniami, popędził złamane ich miotełki...

Ziąb przeszedł po kościach. Rybak pociągnął parę łyków kawy i począł chodzić wzdłuż brzegu miarowym, żołnierskim krokiem.

Szare chmury rozpełzły się szeroko po niebiosach. Brzeg przeciwległy zasnęła mgła; wiatr ją szarpał i zwiewał.

Z daleka dojrzał, że skrył się jeden ze splawików, dobiegł, szarpnął, wyciągnął pustą wędę! Założył w okamgnieniu świeżego żywca, puścił, niedługo czekał: tym razem szarpnięcie było tak gwałtowne, że ulegając gorączce zawodowej, podciął: szczupak był już na wędzie, ale bronił się zawzięcie, targając sznurem. Po długiej chwili wynurzyła się z przerębli rozwartą wielką puszcza...

P. Tomasz zachęcił się. Obiegał żywo przeręble; raz wraz brały. Zmieniał żywce, puszczał, podcinał, czując się doskonale.

Aż wiatr zimowy, surowy przypomniał, że noc idzie, a droga daleka... Na białą równinę zstępował szary zmierzch, jak cień melancholji na czoło jasne.

Jeszcze jeden spław skrył się pod wodę i jeszcze jedna zdobycz zatrzepotała się na lodzie.

Począł zwijać wędkę, gdy pierwsze płatki zimne musnęły mu czoło rozgrzane. Wędy wraz z rybami włożył do torby płóciennej, toporek zawiesił na rzemieniu przy boku.

Chyżo przebiegł lód, dopadł lasu. Z młodej sosny pierzchnęły sikory szare, nikłe; mignęły wśród śnieżycy jak cienie lotne, duszki błędne, pokutne. . . .

Las stał nieruchomy, skupiony w sobie — czujny druh, ciszą współczujący radosnej samotności człowieka.

Mrok stał się coraz gęstszy.

Cichą drogę leśną zasnuła przedzą srebrzystą śnieżycą.

SZARY DZIEŃ

Pan Tomasz zwolnił kroku, śledząc oczyma połyskujące między pniami rzędnych sosen srebrne wody jeziora Czarne.

Zrazu, jak ostrza bagnatów, błyskały w dali, rozszerzając się niby wstęgi srebrne, zawieszono wśród drzew; lśniły jak słupy strzeliste, zamigotały lustrami ruchomemi... Aż wreszcie jaśnia buchnęły świetlne podwoje, otwierające się na pełną toń...

Głębokie, grzęzawiskami, błotami niegdyś oddzielone od pól ornych, gościńców, pod straż oddane zwartym szeregom olbrzymów wiekowych, bezpieczne od burz i wiatrów — drzemało w mrokach wiecznych, strach nawodząc czarną topielą swych wód, jak heban lśniących.

I szły po okolicy klechdy o strachach — dziwach jeziora Czarne...

O białej dziewicy w mirtowym wianku na rozwianych włosach, co pieśni rozpaczne zawodzi w noc księżycowe...

O księdzu, wychudłym jak kościotrup, co to błą-

dzi o zmierzchu i żebrze o osetkę masła, parę jaj i mleka kwaterkę....

O tym karasiu, wielkim jak misa, co z wody wyskakuje i wabi baby, chróst zbierające: co która do niego, to on do wody; baba zawraca do lasu, on znów chlust z wody na brzeg; ona znów do niego, a jego już niema.

Nie brak tam dziwów nad jeziorem Czarnem!

Z dawnych rzeczy nic tam już nie zostało — prócz ciemnej toni jeziora Czarnego!

P. Tomasz szedł zwolna, wsłuchany w ciszę leśną!

Staął nad piaszczystem wybrzeżu, u stóp sosny.

Jeziro lśniło srebrem po środku, po bokach laskiem obramowane, połyskiwało jak heban. Smukłe, gęste trzciny stały bez szmeru. Dwa nury w oddali płynęły zwolna. Jeden z nich, jak spławik wędki, nagle skrył się pod wodą. Białawo — szare, nieruchome chmury zwiśły nisko nad tonią, skrzydłami ciemniejszymi opierając się o czuby sosen.

Ciszę, ciepłem nasyconą, mąciły pluski drobne, figlarne — po wodzie...

P. Tomasz podszedł do brzegu, sypnął z woreczka parę garści grochu.

Usiadł pod sosną.

Szarym smutkiem zawlokły się niebiosy. Smutek czał się w mrocznej głębi boru za jeziorem. Sosny topiły nikłe cienie w topieli gładkiej, nieruchomej, zamarłej w zadumie.

W tajemnej ciszy dokonywała się agonja.

To było, jak wtedy, w ów dzień szary wiosenny, gdy stojąc na werandzie domu zdrowia, dokąd przyjechał odwiedzić przyjaciela. . . .

W niezmaconej ciężkiej ciszy parku — zamierały serca znużone; szamotały się rozpaczliwie oddechy krótkie, ostatnie, gasły w żrenicach ostatnie błyski, skrył, konało życie w wiosennem zachwyceciu. . . .

Gdzieś, daleko być może umierał owej chwili człowiek najbliższy, którego już nie zastał w lecznicy. . . .

Zdała zabrzmiał dzwonek cmentarny. Zadrgał, zadygotał lękliwie, bezładnym żalem załkał i jak ptak rany, przeraźliwie długim, przeszywającym ciszą nawskroś — ciosem śmiertelnym zapadł w mroczną boru otchłań.

Zapadły oczy w głąb. Pochyliła się głowa. Wypelzły z mroków duszy obrazy. . . .

Żarzące się świece. Tam — w głębi — w czarnem, lśniącym pudle — tuż — przed oczyma — i jednocześnie dalekie, odsuwające się w nieskończoną dal, nieuchwytnie — coś, co się stało, czemu się jednak nie wierzy, bo to jeszcze jest. To trwa. Na ostrzu szarpiącym, bezlitosnem zawisa męka ludzka.

Podeszli z tyłu jak łotry przekupione. To oni! Już! . . .

Puścić! Jakaś mocna ręka krępuje mu ramiona. Zabrali!

A potem — kamienie — tyle kamieni — większe,

mniejsze, płaskie, ostre, szare, czarne. Każdy mówi za siebie: patrz na mnie, idź! idź! Stań na mnie, tędy droga — nieskończona, kamienista droga! ...

Zadygotał dzwonek.

Wzrok skamieniał: czarny dół czeka. Zmroczyły się oczy — jakby grudą zimną przysypane. Wsunęto trumnę.

Czerwone cegły czekają.

Lepione cementem zrastają się.

Zrywa się w duszy moc: napięta struna, szarpana ciosami kielni, — pręży się, drga. — Szamoce się męka bezbronna. Uderza ból w serce żywe, wstrzępy je rozrywa!

Jeszcze skrawek widać!

Rozłupują cegły, pasują! Jeszcze skrawek!

Proch, robak miazdżony. ... Przytula się dusza do czarnej szczeliny, bezgłośnie składa litanje — prośby bezrozumne, zaklęcia obłądne!

Zabrali!

A to trwa: nieskalany ton przeżycia, niespożyta czucia moc — mimo tylu lat! W snach i zadumach bolesnych — groza obłądna, — rana nie zablizniona, krzywda nie przedawniona, wyrwa w duszy, czarna otchłań mogilnej pustki i chłodu, mrocząca długą, szarą smugą wszystkie chwile ludzkie, życia nieodłączony cień, zebrany wzrokiem skamieniałym — tam, u grobu, — urywający się u wejścia do własnej mogiły!

Głowę opuścił na ziemię, czołem przyłgął do

zimnego piasku, ramionami rozkrzyżowanemi, żalem bezradnym, dziecięcym objął ziemię cichą, szeptał:

— Matko moja!

Usłyszał szelest kroków, po chwili głos za sobą:

— Cóż to, drzemka?

Odwrócił się i poznał pocziwca, kolegę, lekarza wojskowego.

— Zdrzemnąłem się trochę, czekając na porę połowu — odpowiedział spokojnie, powstając; przywitał się, przybierając wyraz zwykły dobrodusznej obojętności. Spojrzał na zegarek.

— A teraz już czas! Bierzmy się do roboty!

— Oddawna już wybierałem się odwiedzić tu kolegę. Ale tu doprawdy przepięknie! — mówił gość, rozglądając się i rozwijając wędkę.

— Ja też już nieraz spodziewałem się tutaj kolegi.

— Niesporo było, choć za wędką przepadam! Wy to najlepiej wiecie — odparł gość, zapalając cygaro.

— Połów zapowiada się dobrze; wieczór ciepły, cichy, leszcze i liny powinny brać.

— Wyśmienicie! Lin z wody — parada!

— Tylko cisza!

— A znęcone?

— Tak. Tu sypane i tam dalej. Spróbujemy tam nasamprzód — odrzekł p. Tomasz, postępując naprzód.

Zatrzymał się po kilku chwilach i, wskazując wędziskiem:

— Zarzucać będziecie tam, aż pod trzciny! Zlekka podciągnąć, postawić splawik na pochyło, łowić będziemy na grunt, dwa łokcie gruntu, niewięcej!

Założyli wybrane ziarnka grochu. Dwa piórka prawie jednocześnie spadły na czarną, lśniącą toń.

— To zadziwiające — mówił gość półgłosem, — że tak późno zaczynają tu brać. Przecież to noc już idzie!

— Już ja je wypróbowałem: przed świtem albo o tej porze biorą, w ciągu dnia ani ruszy żadna! A dobry ma kolega wzrok?

— Niezgorszy.

— Wycieczka nie będzie próżna. Jeszcze mamy kilkanaście minut przed mrokiem — to wystarczy!

Czarna toń tchnęła tajemnicą głębi. Za wodą, przez koronę drzew konały ostatnie błyski purpury zachodu. Brzeg przeciwległy tonał już w mroku. Drzewa, trzciny stały bez szmeru — jak zaklęte zjawy melancholji.

Nad borem błysnął sierp księżycy.

W pewnej chwili p. Tomasz nachylił się, wpatrzony w toń — podciął i ostrożnie dociągnął do brzegu dużego leszcza.

— Pułkowniku, podciąć, bierze! — zawołał przytłumionym głosem, postrzegłszy, iż piórko wędki towarzysza wolno zatoneło, podczas gdy ten przyglądał się wyciąganiu leszcza z wody.

— Jest! — krzyknął, wyciągając grubą sztukę.

— To parada — jak takie ryby biorą! To rozumiem — to prawdziwa rozkosz! Toż ja stary rybak

— 32 lata wędkę nie wypuszczam! — monologował rozradowany, zdejmując rybę z haczyka.

— A ja już 37 — dorzucił żartobliwie p. Tomasz.

— Wkrótce jubileusz!

— A tak! zaśmiali się ścicha, przyjaźnie.

.P Tomasz rzucił kilka grochów na wodę.

Nachyleni wypatrywali z natężeniem.

Pułkownik podciął i pochwalił się wielkim, czarnym linem.

— Jak pięknie wziął! Odrazu go poczułem! To przyznam się, że już dawno takich ryb nie łowiłem!

Roznamiętnił się: zrzucił czapkę, zdjął kurtkę, zarzucił znów, stanął wyprostowany — jak na paradzie!

„Ciągnęli” tak obadwaj na zmianę — to liny, to leszcze.

Tymczasem gwiazdy błysnęły, mrok zapadał coraz głębszy, — wreszcie dwa piórka nikle jak gdyby się rozplynęły. . . .

Pochyleni, to kładąc się na brzuchach, wciąż jednak czuwali.

Wreszcie pułkownik, dwa razy podcinając, dwa razy chybił, p. Tomasz spuścił z haczyka sporą rybę, zapóźno podcinając.

Rybacy stanęli bezradni.

— Ryba bierze, spławika nie widać — co robić? Brzeg nie nadaje się do łowienia na grunt, bez spławia!

— Otóż i nieszczęście! szepnął pułkownik. — Wiecie, kolego, co by tu zrobić? Elektryczne lamp-

ki założyć przy spławikach, a wędki jako przewodniki?

— To możliwe, ale to już chyba nie dzisiaj?

— Ja koniecznie to zrobię! Na brzegu ustawi się baterję! Przecież tak odchodzić nie można: ryba bierze, a wziąć jej nie można! — powtarzał z irytacją.

Pora była wracać. Zwinęli wędki. Pułkownik ubrał się. Wyciągnęli z wody pełne trzepotu siatki.

Stanęli na ścieżce, prowadzącej w las, gdy pułkownik ujął za dłoń p. Tomasza, uścisnął ją mocno i rzekł ścicha:

— Serdecznie obowiązany, kolega jest dzisiaj moim dobrodziejem — taki połów! 30 zgorą lat się znamy, co? Ja też zawsze uważałem was za nadzwyczajnego rybaka!

P. Tomasz uśmiechnął się, nie szczędząc uścisku druhowi, czując w swem ręku zimną, twardą dłoń kościotrupa; na wyniosłym szkielecie kiwała się dobrodusznie w poświęcie księżycy czaszka trupia, o wysokiem czole i wydatnych szczękach — oryginalna czaszka pułkowinka!

PO LATACH...

— Otóż i Jezioro Białe!

— Witaj mi, toni jasna!

Stojąc na wybrzeżu, ogarniał oczyma obszar wód w obramowaniu trzciny bujnych, kępy sosen na odległych wzgórzach piaszczystych. —

Wypatrywał długo, uważnie, jakby w tym obrazie, realnie po raz pierwszy widzianym, odnajdywał odbicia dalekich, a żywych do głębi wspomnień.

— Spełniłem obietnicę: odszukałem cię wreszcie, Jezioro Białe, — spóźniony pielgrzym! — szeptał, wodząc oczyma po szarym, cichym dniu jesiennym.

— Odnalazłem cię wreszcie!

Ocknął się z zadumy; należało wydać zlecenie woźnicy, przedstawić się właścicielowi.

Wyboistą drożyną, wśród szpaleru bzu zawrócić w kierunku dworu. Biały domek murowany, ganek, dzikiem winem zarosły, czerwienią zabarwionem, na szerokim gazonie para cieląt, na kołkach sieci rozwieszane; na lewo, tuż przed oficyną świeżo po-

stawiona gospodarska obora; za gazonem nawprost dworka, wśród kępy brzoź — kościółek drewniany, stary, opuszczony: całość świadczyła o zupełnem zaniedbaniu.

P. Tomasz rzutem oka obejrzał zbliżającego się od oficyny gospodarza: był to chłop koło pięćdziesiątki, średniego wzrostu, kościsty; wykrzywione, obwisłe, zagnojone buciska, szerokie spodnie z samodziału, spadające na cholewy, barchanowa kamizela — wcale nie patrzyły na dziedzica! Twarz ostra, czerwonymi żyłkami pokryta i oczy jak szparki pod krzaczastemi brwiami, nadawały jej wyraz przebiegłości, szelmstwa.

— To pan, panie Szymczak?

— Jużci, że ja.

— Pan pozwoli, że ja tu na ryby przyjechałem?

Spojrzał na konie przy bryczce, nie dając odpowiedzi.

— To pańskie? Galante szkapy!

— Nie, wynajęte.

— To pan pewnie z miasta? I chciało się to panu taki świat drogi?

— Jak kto co lubi.

— Prawie, że pan racyją mo! — odparł i zerknął na rozmówcę przenikliwie.

P. Tomasz poczęstował cygarem. Błysnęły małe oczki lubością, sięgnął po jedno, odgryzł koniec, zapalił, resztę zapałki podał gościowi.

— Pozwoli pan, że ja konie każę wyprząc, pewnie będą miały gdzie postać?

— A bo nie? W takim gospodarstwie nie byłoby gdzie koni postawić? Zara na parobka krzyknę.

— No i jakże, panie Szymczak, powodzi się panu w nowej siedzibie?

— Nowa, nienowa, dziesięć roków siedzę tu już na swoim.

— Znać to, — pomyślał p. Tomasz, rzucając przelotne spojrzenie na ślady zniszczenia: rysy na murach, opadający tynk, powybijane okna, gazon zapuszczony.

— To już dziesięć lat minęło, jak z tych stron wyniosła się dziedziczka?

— A będzie — odrzekł, pykając z cygarka i gęsto s plu wając przed siebie.

— A dziedzic?

— Dziedzicowi się zmarło, zara, to będzie pewnie z piętnaście roków... Ta zawsze panisko było kiepskie, niewiele ta i śmierć miała z nim zachodu.

O tej żałobie wiedział p. Tomasz z ostatniego jej listu. Reszty dowiedział się niedawno w okolicy: chłop lichwiarz, krętacz, skorzystał z kłopotów pieniężnych wdowy. Pożyczał, aż wreszcie zmusił ją do sprzedaży majątku; większą część puścił na parcele, dziedziczkę wykwiłował, za kilkanaście tysięcy zakupując dwór z całym urządzeniem, (prócz pianina!), zabudowania, jezioro i kilka włók ziemi!

— Miałbym chęć zwiedzić dwór, czy można, panie Szymczak?

— Czemu nie, kiedy ochota. Ta niewiela się zmieniło od owej pory.

I znów zerknął badawczo na rozmówcę.

— To pan pewnikiem znał dziedziców, może pan krewniak?

— Nie — odpowiedział twardo. — Ani krewnym nie jestem.

Gospodarz ruszył naprzód, prowadząc gościa za sobą. Na wstępie — wyszczerbione schodki gan-ku, odrapane, rysami pokryte kamienne słupy; obszerny przedsionek zatęchły, znać dawno nie wie-trzony; na lewo — spory salonik; posadzka brudna, skrzypiąca, w oknach krzywo zawieszono firanki, szare, pajęczyną zasnu-tych; po kątach garnitur staro-świeckich mebli. Dalej szereg mniejszych pokojów bez firanek z resztkami umeblowania; tu łóżko, tam stół pod ścianą, połamana etażerka; na ścianach wy-blakłe obrazy: przegląd wojsk polskich na Placu Saskim, Kraszewski, królowa Jadwiga, Kościuszko...

Zewsząd wiało pustką i czał się po kątach ci-chy żal rzeczy dawnych, minionych, ginących w o-puszczeniu.

— A gdzie pokój... panny Wandy? — zapytał nagle p. Tomasz, rzucając niespokojne spojrzenie na drzwi.

Chłop spojrział po szelmowsku, jakby coś odga-dywał, rozpostarł ręce w pozornem zakłopotaniu.

— Akuratnie to panu nie powiem, boć to kawał już czasu... Ano, zaraz to — te — nie, to ten po-kój był dziedziczki — rzekł, otwierając jedne drzwi i zamknął je z powrotem; zawrócił i, skrobiąc się po głowie:

— Aha, prawie, że to ten był pokój panny Wandy — otworzył drugie drzwi.

P. Tomasz wszedł pierwszy do małego, białego pokoju; puste ściany ze zwisającymi tam i sam szmatami tapety: w rogu mały, zręcznej roboty, okrągły, mahoniowy stolik! . . .

Nagle, jakby snem hipnotycznym ujęty, podszedł, ujął stolik obiervediema rękoma, uniósł do góry, obejrzał na wszystkie strony, próbował mocy wierzchniego blatu; obejrzał wszystkie desenia, ślady zniszczenia, jakby czegoś szukał; postawił na dawnym miejscu.

— To widać pan znał naszą panienkę?

— P. Tomasz opanował się, zetknąwszy się z podejrzliwym spojrzeniem gospodarza.

— Tak, bardzo dawno temu, odpowiedział spokojnie.

— Galanta była panienka; trzy ich w domu było, ale to ta jedna — śliczności!

P. Tomasz gniewnie spojrzał na rozmówcę, urażony wyrazem lubości jego twarzy.

Przeszedł szereg pokoiów, poprzedzany przez gospodarza; zatrzymał się przy drzwiach, przy których jeszcze nie byli. Szymczak otworzył je kluczem, przestąpili próg ciemnego pokoju. Błysnęła zapalka, uchylono okiennicy: buchnęła jasność, rozwidniając typowy pokój stołowy; rzeźbiony dębowy kredens, duży stół, dwanaście ciężkich krzeseł, stolik pod samowar. Brak tylko było portretów przodków na ścianach!

Gospodarz raz wraz lustrował gościa, sondując jego wrażenia. Nagle, jakby coś sobie przypomniał, podszedł do kredensu, wyciągając z kieszeni pęk kluczyków; otworzył niezdarnie jedną z szuflad, wyjął dużą wybrudzoną kopertę i podał p. Tomaszowi.

— To niby mojego syna, co się w szkołach uczył. Kupe grosza zjadł chłopak! — dufnie spojrzał na gościa.

— A gdzie ten syn? — zapytał p. Tomasz, przeglądając świadectwo z ukończenia czterech klas.

— Ano nie chciał się uczyć.

— Jakże nie chciał, a tu ma takie dobre stopnie? — odparł p. Tomasz.

— Ano nie chciał i kwita! — powtórzył z uporem.

To było kłamstwo: chłopak chciał kończyć polską szkołę, stary gwałtem chciał go zapędzić do szkoły rosyjskiej; ojciec się uparł, chłopak wziął na kiel i śladem starszego brata wywędrował do Ameryki.

— Pewnie się pan dosyć naoglądał mojej chałupy? — zapytał po chwili, patrząc gościowi badawczo w oczy.

— O tak, wystarczy.

— A tam już niema co chodzić, to już moje gniazdo! — mówiąc to, otworzył drzwi, prowadzące do kredensu i kuchni, skąd buchnęły zmieszane wonie kwasu chlebowego, kapusty, gotowanych kartofli — cały rodzimy zaduch niechlujnej, chłopskiej izby.

P. Tomasz podziękował za oprowadzkę i znów znalazł się na ganku.

— Panu pewnie łódka potrzebna ?

— Radbym. . . .

— To te niech pan bierze, co w przystani, bo wody nie daje.

— Bóg zapłać, panie Szymczak, już ja sobie dam radę, a wieczorem się zobaczymy.

— Na mnie też czas, młócić dziś będziemy!

P. Tomasz poczuł ulgę rozstania. Rozejrzał się po gazonie, konie już były wyprężone. Podszedł do bryczki, zabrał swą torbę, wędzisko. Zawrócił, okrążył dworek. Szedł zarośniętą chwastami krętą dróżką wśród jabłoni, uginających się pod ciężarem owocu. Przed budą, krytą słomą, przy stosie jabłek sadownik w chałacie, w licznej grupie kędzierzawych bachorków powitał grzecznie p. Tomasza. Przebiegł jeszcze kilka przecinających się ścieżek i znalazł się w szerokiej alei grabowej.

Zanurzył się w jej ciszy uroczystej. Odżył głębią serca, jakgdyby nagle odnalazł całego siebie: wszystko, co było zewnątrz, dziś, wczoraj, przez lata całe — znikło, przepadło, prócz tej cichej alei grabowej. . . .

W błyskawicznym ruchu wyobraźni ujrzał historję grabowej alei, przeżył jej wzrastanie w sobie — coroczne pęknięcie listków, rozgwały ptasie wiosenne, poszumy rozrastających się z roku na rok konarów, jesienne modlitewne szmery opadającego listowia. . . .

Rozjaśniła się dusza wewnętrznem widzeniem rzeczy dawnych, minionych — je j obecności, zabaw dziecięcych, błysków oczu, ucieczek z domu, kryjówek, przechadzek samotnych, smutków dziewczęcych, śmiechów, tryskających radością, zadumy lat dojrzałości — i żalu rozstania...

Błyski jej oczu i łzy, drgnienia jej ust i piersi tchnienie — wzięła w siebie, jak święta skarbnica, ta aleja grabowa....

— Wzrastałaś, pojona jej miłością, i w jej sercu miłość swem pięknem krzepiac.... Ona żyje w tobie, jak ty żyjesz w niej, bo tchnieniem miłości uwiecznia się obecność ducha w każdym kształcie życia....

— Kocham cię przez wszystkie dni twego życia, ubiegłego, obecnego, przyszłego i odnajduję cię w każdej rzeczy pięknej tchnieniem twem uświęconej! Bo jesteś cała we mnie i całą cię czuje w tej alei grabowej....

Idąc powoli, zatrzymał się i słuchał tchnień — szmerów, spływających na czoło, jak czuła pieszczota, jak utwierdzenie zmysłowe, wyczutej prawdy serca.

Przeszedł całą aleję, zawrócił na lewo, znalazł się wśród krzewów nad jeziorem. Odszukał łódkę, wybrał najmniejszą, najlżejszą, chwycił wiosło i odepchnął się od brzegu.

Spojrzał w nurt.

— W dni słoneczne ta szerz wodna musi być nieskończenie czysta, przejrzysta, prawdziwie seledy-

nowa — pomyślał. I ogarniając oczyma wybrzeża — płaskie, połyskujące złocistym piaskiem, wyszeptał:

— W słońcu jakże to wszystko jest jasne — Jezioro Białe!

Płynął szybko, kierując się do zielonej kępy wśród obszaru wód: wyspa przestrzeni niewiększej nad sto przętów, zarosła krzakami, młodą olszyną, otoczona trzcini bujnych, gęstych lasem, stała bez szmeru.

P. Tomasz przepchnął łódkę przez trzcinę i wyskoczył na brzeg.

Owionął go chłód wilgotny. Przez gęste trawy wydostał się na małą polankę. Nie znać tu było nigdzie świeżych śladów stopy ludzkiej. Rozgarniając trawy, odnalazł tu i owdzie gruz, resztki jakiejś dawnej budowli.

— Zapewne niejedno podanie wiąże się z tą tajemniczą wyspą. . . .

— I tu byłeś także! — wyszeptał w sobie, chwytając spojrzeniem sfruującego z trzciny małego ptaszka.

— Jak tu pięknie, w tej zielonej ciszy, wśród zielonkawych wód!

— Uroczo! — usłyszał w sobie głos żywy, dźwięczny. . . Obejrzał się: gałązka kaliny o krwawych jagodach, zadrzała lekko, żal serdeczny budząc w całym otoczeniu. . . I szarość wokół stała się jakby gęstsza. . .

P. Tomasz powrócił do łodzi, otoczył wyspę od strony zachodniej, zaszył się w trzcinie, rozmotął wędkę, zarzucił.

Zapraǳnął pociechy, cudu, zaklęcia, aby móc ten szary, jesienny świat smutku przeobrazić w południe słoneczne i marzenie o niej — ucieleśnić w żywym kształcie piękna, młodości, tchnieniem rozmiłowanego serca z promieni słonecznych wysnuć jej postać. . . I widzieć ją przed sobą tu, na swej łodzi. . .

Zaszumiały nagle trzciny, ostrym, napastliwym powiewem ruszone, pochyliły się kornie ku toni.

Zauważył wówczas, że piórko raptownie skryło się pod wodę: podciął i na wygiętym wędzisku wyrzucił na dno łodzi dużą wzdrgęę, „krasnopiórę“. O zielonkawych oczach, ślicznych czerwonych skrzelałach i grubej złocistej łusce wyglądała jak „złota rybka“ z bajki. Przyglądając się rozpaczliwym ruchom zdobyczy, żałował, że już minęły czasy „złoty rybki“ — królewien zaklętych, co w ziamian za wolność odzyskaną biedaka szczęśliwcem czyniły. . .

— Bo miałbym jedną tylko prośbę . . .

— Ale choć nic mi przyrzec nie możesz, złota rybko, nie będąc zaklętą królowną, bo te już dawno w naszych wodach zginęły — ja ci jednak wrócę wolność! . . .

Ostrożnie zdjął z haczyka, nachylił się, zanurzył dłoń wraz z rybą, jednym ruchem wyrwała się z niewoli i zapadła w głąb.

Usiadł na burcie łodzi.

— Czy mam siebie, własne życie oskarżać, że stało się tak, jak jest? . . . Że samotny, bezradną udręką złamany, w chwilach najwyższych zachwytyłów sa-

motnych — szukam cię, maro bezpowrotna, w drzewach i szmerach, w locie ptaka!

— Otom sam — po latach, wracam do ciebie, otom sam!

Żal nim targnął, nie ten płaski, jałowy, że stało się tak, a nie inaczej, lecz wyrrywający się z tylekroć przemyślanych wszystkich duchowych konieczności własnego życia — żal prosty, serdeczny, że to już minęło, nie wróci nigdy, wrócić nie może, — że nic nad to do grobu z sobą nie weźmie. . . .

Jak ujęcie zbójecką dłonią za gardło, śmiertelny ucisk, brak tchu, błyskawicowe fizyczne uczucie zgromy śmierci, zapadania w nicość z pełnią świadomości, celu i treści całego życia. . . Wycucie w sobie powolnego, związanego z życiem i odbywającego się równolegle z niem, w najgłębszych nurtach i tajemnicach życia — procesu ciągłego zamierania, rozkładu. . . . Wycucie trupa w żywym organizmie. . .

— Wspomnienie — powracający motyw niedo-granej melodji, mogiła życia — tak pyszne kwiaty złudzenia rodzące, zmora bezpowrotności, głuchy łoskot zapadającego wieka trumny, zmieszany z pieśnią jesieni — z łkaniem wiatru, szumem liści zwiedłych, odgłosem z nad ugorów ptastwa na odlocie.

— Hej, ty życie, czemuż w niezłomnym twym porządku tyle okrucieństwa? . . .

Powstał: wsparty na wiośle, wpił się oczyma w niemą, szarą dal.

Wiatr wzmagął się; trzesąc szumnemi trzciniami,

targając krzewy nadbrzeżne, bałwanil coraz gwałtowniej powierzchnię. Szła burza.

P. Tomasz odepchnął łódź od brzegu i począł wiosłować. Wiatr dał z przeciwnej strony, porywając czółno. Chmury skłębiły się, ciemno — granatowe zwisły nisko, posępne, złowrogie. Ulegając falom, można było bez trudu wydostać się na brzeg, zostawić łódź w trzcinach i pieszo wrócić do dworu. Wyczucie w bezwzględny zimny wietrze żywego, złośliwego przeciwnika zagrzewało do walki.

Mocno wsparł się na szeroko rozstawionych nogach, próbując siły swych ramion; skrzypnęło wiosło i wątle czółno z wolna poczęło podrygiwać po grzbietach fal. Zrzucił z siebie kurtkę i zaczął pracować z całym natężeniem.

Minął wyspę i przesmyk pomiędzy nią a brzegiem, znalazł się na pełni rozbujanego jeziora. Fale, rosnąc, z pluskiem nacierały na burty łodzi, zalewając je strumieniami. Chwytał za wiosło i wychlustywał z dna wodę, z czego przeciwnik skwapliwie korzystał, spędzając wątlą łupinę w przeciwnym kierunku.

Mrok coraz gęstszy słał się po wodach. Deszcz wisiał. Wściekły upór wzrastał w miarę zwiększającego się niebezpieczeństwa. Wiosłował wciąż, starając się zepchnąć nieco czółno ku lewemu brzegowi. Pracował wytrwale, ociekając potem.

— A jednak cię zmożę, łotrze! — szeptał przez zacisnięte ze złości zęby.

Wiosłował z zapamiętaniem, w zwycięskim zma-

ganiu się z burzą czerpiąc słodysz odwetu za ból ludzki bezbronny. . .

Złoty zygzak przeciął nagle oponę chmur; w jego blasku dojrzał, że przestrzeń od dworu już niewieksza nad kilkaset kroków.

Pierwsze grube krople spadły na czoło i plecy. Miotane czółno, chłostane bluzgami, napełniło się wodą; znów uciekł się do użytku szufli.

Tymczasem deszcz lunął gęsty, kroplisty, zalewając cały świat mrokiem, mgłą.

Na chwilę wiosło opuścił, kleszczami zimnego pytania ujęty:

— A gdyby? Jedyne sposobność. . . Czy nie najlepsza?

Pierzchnęła błyskawica, uchylając jakby rąbek zaświata: obraz świetlany — nad zielonem wybrzeżem srebrnej toni skrawek!

Wbił wiosło w falę, wiosłując gwałtownie ku lewemu brzegowi. Potężnymi ramionami bronił się przemocy, piersią, buntem żywym dyszącą, rozpie-rał mrok, podawał beztrwożne czoło wiatrowi — wiosłował niestrudzenie, spychając wciąż w jednym kierunku swe czółno, do połowy napełnione wodą, niezmqczoną skrą zachwyty — sród odmqtu — wtórując blaskom gromów. . .

Nagle czółno utkwilo jakby w jakiejś matni. Sięgnął dłonią w pustkę raz drugi, nachylił się i chwycił warkocz trzciny; czepiając się ich rękoma, przyciągnął się do brzegu.

W świetle błyskawicy rozpoznał, że jest w ogro-

dzie. Chwycił swój bagaż z dna łodzi, wyskoczył, wciągnął łódź na brzeg, dobiegł do dworu.

W oficynie błysnęło światło. Podbiegł, ujął za klamkę i przestąpił próg obszernej, dusznej kuchni.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — powitał go struchlały głos kobiecy.

— A to się panu rybaczka kiepsko udała, ha! — usłyszał znajomy głos gospodarza.

— Małeńko, a my już chcieli po pana na jezioro pojechać. Toć strach, jak się rozigrało! Ale pan wi- dać zwyczajny — dodał, przyglądając się przyby- szowi.

— Niech ręka Boska broni! — jęknęła gospo- dyni.

— A toć wybrał se pan najłichsze czółno!

Brudne dzieciśka obstąpiły kołem gościa, szero- ko gęby rozdziawiając.

P. Tomasz rzucił w kąć torbę, wędzisko, kurtkę wyżał, zawiesił nad kominem.

Gospodyni dorzuciła drewek.

Sięgnął do walizki na ławie, wydobył świecę, przeszedł do kredensu, zaczął się przebierać. Prze- moczone ubranie, bieliznę odesłał przez chłopca. U- siadł na zydlu, wyciągnął nogi z zadowoleniem.

— Nie masz na mękę lepszego środka nad fi- zyczny trud!

Čmiąc papierosa, wypoczywał z przymkniętymi powiekami, o niczem nie myśląc. Przez drzwi do- biegały urywane wyrazy pogwarki.

— Jak to panom z miasta chce się tyle zdrowia po próżnicy marnować. Bogać tam!

Z miłego stanu drzemania bez świadomości, jak długo trwało, zbudziło p. Tomasza skrzypnięcie drzwi: przyniesiono wysuszone części garderoby. Ubrał się szybko i powrócił do kuchni.

Zaproszony do kolacji, zajął miejsce przy stole, przed talerzem barszczu; zajadając, po kartofle sięgał do wspólnej michy.

Burza cichła.

Wyszedł przed dom: dał wiatr silny, chłodny, zmieszany z grubemi kroplami deszczu. Powrócił do kuchni; zabierając się do odjazdu, kazał konie zaprzęgać. Woźnica, otarłszy rękawem usta, niechętnie podniósł się z ławy przy kominie.

P. Tomasz sownie zapłacił „za gościnę”, dzieciom rozdał resztę cukierków.

Nagle przystanął na środku izby, bezradny, jakby czegoś szukał, przyglądając się bacznie gospodarzowi, gdy ten kręcił papierosa przy kominie. Musiał koniecznie to załatwić; nie wiedział, jak zacząć, jak przystąpić do tej najtrudniejszej sprawy całego dnia. Wreszcie, jakby zdecydowany, przeszedł się po izbie, poczęstował gospodarza cygarem i, siłąc się na naturalność głosu:

— Panie Szymczak, niech mi pan sprzeda ten mały stolik! — wyrzucił z siebie jednym tchem.

Błysnęły bystre ślepia.

— To ten okrągły? Prawie nie mam go do sprze-

dania, ale jak wola pańska i udał się panu, mogę tę łaskę zrobić. . .

— Niechno pan każe go przynieść.

Patrzyli na siebie przenikliwie przez długą chwilę: kupiec i nabywca; obadwaj sobie niechętni, jakby pragnąc wzajem siebie oszukać, uśmiechem dobrodusznym kryjąc swe uczucia.

Wniesiono stolik.

— Galanty! rzekł właściciel. — Okrutnie mi się udał i akuratnie nie mam ochoty go ustąpić!

— Wiele mam zapłacić?

— Da pan 50 papierków, to zgoda!

Szelma puścił z siebie kłęb dymu, jakby chciał w nim ukryć swój wstyd, czy zakłopotanie: stolik był wart piątą część proponowanej ceny.

P. Tomasz rzucił w kąć niedopalone cygaro, zapłacił, począł ubierać się do drogi.

Uchylił drzwi na dwór: konie już czekały.

— Bóg zapłać za gościńe! — rzekł, przestępując próg.

— Niech pan Bóg prowadził — usłyszał kobiecy głos.

Wyrostek wyniósł stolik, nakryty rogożą. P. Tomasz umieścił swój bagaż, wskoczył na bryczkę. Otulił się burką, kazał jechać.

Drobny deszcz mżył, zmieszany z ostrym wiatrem.

NA KĘPIE.

— A kto tam? krzyknął, zbudzony brzękiem szyby; usiadł na posłaniu.

— Paneczku, niechno paneczek idą!

P. Tomasz podszedł do okna: poznał znajomego wyrostka; otworzył okno.

— A co tam?

— Niechno paneczek dadzą swoją wodę! Teli mi się urwał, karp, sznur zerwał i poszedł!

Rozpostarła nad ziemią noc jesienna skrzydła zimne, wilgotne.

— No — no!

— Paneczku, niechno mi pożyczą swej wędę, już ja paneczkowi rosienników nazbieram i zanadę był, sznur, zerwał i poszedł! — rozповідаł; przestępując z nogi na nogę, to zerkał na zerwaną wędkę, której koniec wisiał na tyczce, to odmierzał w pół swego wędziska długość ryby:

*) wybrane miejsce, gdzie się ńęci rybę.

— Teli był, paneczku, i poszedł!

P. Tomasz obejrzał zerwany sznur; był niezgorzszy: z pół puda powinien był wytrzymać.

— Pożyczę ci, Jóźku, wędki, ale pójdę z tobą?

— No no, aby migiem!

P. Tomasz migiem się ubrał, podał dwie wędki, parę garści grochu wsypał do woreczka, wyskoczył przez okno.

Puścił się pędem. Józiek znagłał do biegu. Do Buga było z wiorstę.

Dniało. Mgły ranne szerokimi płachciami pokryły łąkę; zlekka falowały, rzednąc.

Zanurzyli się w gęsty opar; przebiegli szmat łęgu nadbużańskiego, roztrącając zdyszaniem piersiami bujne trawy zroszone.

— Paneczku, już im nic nie rzucać! Trzy dni psimkrwiom sypałem! Aby cicho! — mamrotał.

— Gdzie nęciłeś? — zapytał p. Tomasz.

— Paneczku, na cichem, jak na karpie, za tą wielgą „buchta”. Jeszcze ino mig!

Skręcili w kierunku krzewów. Józiek odwrócił się z tajemniczym gestem, opuścił się na kolana i zaczął pełzać, wlokąc wędzisko za sobą. P. Tomasz zrobił to samo. Jak mysz polna wsunął się w krzaki. Prawie bez szmeru przedarli się przez zieloną, pełną rosy gąstw. Skrzące oczy musnęły ciemną, cichą toń.

Cudnie tam było: zwisające gałęzie leszczyny tworzyły altanę, wysłaną kobiercem traw; poniżej urwiska — mroczna, zadrzemana głąb. Wszelki głos w tej ciszy był zamachem na świętość! ...

Rozmotali wędki, założyli po ziarnku grochu. Leżąc na brzuchach, prawie jednocześnie zarzucili: plu nęły ciężarki, spadając na wodę; spłynęły zwolna, wyprężając sznury.

Rybacy mocno oburącz objęli wędziska.

Czekali...

— Jest! — krzyknął przeraźliwie Józiek, zrywając się na równe nogi. Pręt leszczynowy wygiął się wóół: ryba już była podcięta!

— Nie szarp, wolno! — zakomenderował p. Tomasz. Wyciągnął z kieszeni pęk sznurka, przywiązał koniec do Józikowego wędziska.

— Puść na wodę! — dał rozkaz.

Wędzisko spadło i momentalnie zginęło w głębi, po kilku chwilach wypłynęło, hen na konwycie rzeki, znów się skryło.

Trwało to dość długo. Jakże długo — dla rybaków, roziskrzonymi oczyma wpatrzonych w ruchy wędziska.

W pewnej chwili pręt wypłynął biernie, zatrzymał się na miejscu. Lęk zmroczył oczy:

— Czyżby go już nie było? ...

P. Tomasz zlekka pociągnął: uspokoił się. Znów pociągnął: zmęczona ryba dała się prowadzić.

— Paneczku, jak ją brać? Siatki niema! Tu si karadna głębia i stromo!

— Idź za mną! — rzekł p. Tomasz i począł przedzierać się przez krzaki, ciągnąc za sobą zdobycz. Wydostał się z krzaków: tu brzeg był płaski.

— Rozbieraj się! — krzyknął.

Józiek zrozumiał, o co chodzi.

Na wyprężonym sznurze, „na płytce” prze-walał się karp, bałwaniąc wodę, kotłując. Józiek jak wydra rzucił się do wody, dopadł zdobyczy objął ramionami, ścisnął i, piejąc z radości, wywalił na brzeg po kilku chwilach karpia: miał pewnie z 15 funtów!

— Paneczku, żeby mi sznur nie pękł, byłyby takie dwa, jak babcię Kocham!

Józiek wygwizdywał, potrząchając zdobyczą.

Kilkowłokowy szmat ziemi, oblany wodami: jeziorom, Strychaną i Bużyskiem, dopływami Buga, i Bugiem — tworzył kępę najwspanialszych nadbużańskich łąk.

P. Tomasz używał w całej pełni, spędzając na łodzi po 10 — 12 godzin na dobę. Zamieszkał na tem pustkowiu w lichej chałupie, której połowę zajmował połowy, Jakób z rodziną, mruk, jakich mało, chłop krępy, mocno już szpakowaty, o wielkich nastroszonych brwiach, osłaniających oczy małe, jasne, przyciemnione, jakby cięgiem drzemające.

Umiał zawsze wytropić p. Tomasza.

W pokornej postawie starego sługi rozkładał ramiona:

— I chce się to panu — tak rano! Ani wywczasu, ani posiłku!

Zresztą całkiem mu się w głowie pomieścić nie mogło, że p. Tomasz lubi złowić rybę, ale jej nie je.

— Toć i parobek tak się nie napracuje! I warto tyle mitręgi — dla głupiej ryby!

— Na dzika, Jakóbie, to co innego ?

— Choćby — jednej chwili ?! ... odcinał się stary.

Małe oczki, jakby z drzemki ocknione, rozszerzały się i migotały zimnym, wnikliwym połyskiem. Jakób nabierał rezonu i rozповідаł chętnie, powtarzając się, aby go tylko słuchano... Jak to na ten przykład ze swoim panem nie raz i nie dwa, całe tygodnie nocami czekali na dzika. Bez ruchu — całe godziny — ani pary z ust — ani zapalki zapalić, by dymu trochę puścić, — a sen aż ślepią żre i po kościach ciężkość się rozłazi — żeby jeno głowę do chojaka przytknąć, jużby cię zmogło !...

Wybrali się w jedną noc. Dziki na kartofle wychodziły. Aż tu chmurzyć się zaczyna. Nie minęło i pacierza i zrobiła się noc czarna jak smoła. Stanęli o kilkadziesiąt kroków od siebie. Czekają. Ciemno, choć oko wykol. Żaden nie śmie się ruszyć, zawołać. A żal odejść. Aż tu naraz słyhać — już idą, wałą — ziemia oddaje — pędzą — całe stado! Aż mdlić zaczyna: jaki tu strzał na taką „ćmokę“ ?! Słyhać: zażgrmiało! A te idą, już pokwikuja — dopadły — grzebią racicami — do rycia się biorą! A serce młotem wali, a czarno, niech ręka Boska! ... Znów zażgrmiało. ścichło, a te, jak miły Bóg, żrą jak prosiaki z koryta !

Złożyłem się, zdawszy się na łaskę Boską! Czekam — już i nogi drygać zaczynają — czekam! Aż tu nagle błysnęło — w okamgnieniu — jasno jak w biały dzień — tyle, co mig!

— Wziąłem na cel i wypaliłem! Zadudniało, jakby żrebaki po polu rozpuścił, — Jakóbie! — krzyknął

mój pan. Podbiegłim, omackiem my go znaleźli — został na miejscu! Niezgorszy był warchlak!

— To łaska Boska — ten błysk w okamgnieniu! I mój pan, choć to myśliwy z dziada, pradziada, gadał, że o takim strzale nie słyszał! Miałem też i ja za owego dzika: dziedzic mi krowę podarował. No — no! !....

Takto opowiadał stary Jakób, gdy chciano go słuchać!

P. Tomasz od paru dni wybiegał nad Bug o zachodzie pilnować, czy jętka nie idzie. Pogoda się ustaliła, święty Jan za pasem, lada dzień należało się jej spodziewać.

Jakąś przeszkodą w domu zatrzymany, opuścił dzień jeden, aż tu nazajutrz gruchnęła wieść wśród rybaków: jętka idzie!

Lot jętki trwa zwykle trzy dni, drugiego dnia najrojnniejszy bywa.

Wybrał się też tego samego dnia.

Brzeg był stromy, gęsto krzewami zarosły, zaciszny, nad wielką „buchta”.

Słońce zachodziło. Sędziwy, dostojny Bug toczył swe wody ciemne głębokie, ledwie uchwytnym szmerem muskając brzegi; potężny tworząc zakręt, rozlewał się pozornie nieruchomą tonią rozległej zatoki, chłonącej wiry, odmęty. Płynął Bug dostojny — jak myśl pracowita, co życie głębokoległem korytem żłobi, westchnieniem tęsknoty ulata nad widomy kształt — i zapatrzona w siebie, ważąc w sobie dróg prze-

bytych treść i najdalsze swe cele, na jedną chwilę w obliczu wieczności — zapada w otchłań przepastnej zadumy

Słońce zaszło, ścieląc po ziemi i wodach najcichszy złoty zmierzch.

Oto z krzewów nadbrzeżnych zerwało się kilkanaście białych owadów, uniosły się nad wodą, kilka wzlotów falistych zrobiły i spadły na toń! Jętka ruszyła!

Oto gałązki krzewów, traw pokrywają się drobnymi, białymi owadami i na wodę ulatują całe ich roje.

Z białej, przezroczystej koszulki wysuwa się powoli łebek, nóżki, skrzydełka białe, matowe, utkane z najcudniejszej przędzy, prostują się, szykują do lotu. . . . I jętka gotowa! Zrywa się, kołuje, muskając skrzydełkami swe towarzyszki. . . . Spadają na wodę — po parę — dziesiątkami — krociami — chmarami. . . .

Roje wciąż się zwiększają. Cisną się do oczu, do ust. Kołują, wirują, wydając szmery — gędbę muśnięć anielskich. . . Lotne duszki, istoty motyle, których życie — chwila — w locie zachwytu — muśnięcie skrzydeł miłosne. . . .

Ruch budzi się na wodzie. Słysząc coraz częściej głośniejsze i cichsze cmoknięcia i koła większe i mniejsze pierzchają po toni: ryba zaczęła żerować.

Powierzchnia pokrywa się jakby kwiatów strzępionych białymi płatkami i coraz gęściej rozbrzmiewają odgłosy żerowiska.

Mrok kładł się na wody. Z oddali dobiegały krzyki, nawoływania, błysnęły hen czerwone języki ogniska: to ludzie ze wsi chwytają jętkę, aby po wysuszeniu robić z niej przynętę dla ryb.

Jętka wciąż szła na podobieństwo śnieżycy, wśród plusków pierzchliwych, nie milknących odgłosów żerowiska — pod cichym, gwiazdnym płaszczem nocy....

Dzień mrużył oko krwawe, igrając gasnącemi blaskami na zapstrzonej szylfie.

P. Tomasz podniósł z nad książki oczy znużone. Sięgnął po opartą o ścianę wiolonczelę, strącił z czarnego gryfu kilka akordów. Rozłzmięły przeciągłym jękiem cichnącym; złożył dłoń na czulej dece, tłumiąc drgania, do serca mu biegnące, jakby westchnienie żywej piersi ludzkiej.

Otworzył okno. Wokół wszystko już spało. Ciepło szemrząc, płynęła rzeka. Z łąk odlatywały pogwizdy żółwia, kwilenie czapli.

Gdyby w tem oknie, otwierającym się na prośtwór nocy lipcowej, bezkres blasków gwiazdnych, dróg mlecznych, najpiękniejszy ze światów, osnuty przędzą marzeń o szczęściu człowieka, utkany z błysków gwiazd spadających, chwil radosnego stawiania się duszy, tchnień — przeczuć....

Gdyby w tem cichem oknie czujnej samotności — każała się kobieta — siostra — kochanka — piękna — piękniejsza od wszystkich kochanek — marzonych, widzianych, wielbionych, tych najwierniejszych i

w smutku żałoby więdnących jak kwiaty, od tych zdradzonych i tych za zdradę jawnie lub podstępnie mordowanych — ta najpiękniejsza — obca, nieznanoma, co w jednym chwycie duszy stałaby się najbliższą...

Gdyby zjawiała się jak żywe objawienie tej nocy cichej. . . Czyż znów żądałaby słów? Może prosiłaby, aby dla niej zagrał, może pytała o książkę, czy długo „zabawi“ w tej okolicy, jak mu się kraj podoba, co myśli o osobach z sąsiedztwa? Czyż musiałby znów sięgnąć po paszport i legitymacje?! Czy nie wyczułaby bez słów trzepotu serca — rannego ptaka, zrywającego się po schron do jej dłoni białych? Cóżby jej powiedział? Pytany o cokolwiek, czy nie pozostałby niemy — jak wobec tajemnicy tej cichej nocy lipcowej?

— Gdyby zjawiała się ta kobieta? . . . Wszak najlichszą miłośnicą stać już na „ekscentryczną“ niewiastę.

Usłyszał pod oknem cichy szelest. Rozwarł szeroko oczy.

Biernie opuścił dłonie na kolana.

Stała w oknie, sparłszy ręce o futrynę okna. . . . Jasny, promienny kwiat, rzucony na czarny aksamit nocy. . . .

Jaśnią tej postaci przejęty, odżył głębią radosnego zachwycenia.

Spoglądały mu w duszę, z twarzy skończenie pięknej, oczy szare, przedziwnie jasne, wszystko widzące, przedzierały się przez gąstwą spleatany wspom-

nień, przez strzępy obrazów, węzowiska kalectw, upadków, sromoty, chwasty żalów, zawodów, głupstwa i kłamstwa, — wnikały w serce, mówiły:

— Otom przyszła, bo tęsknisz. Jakżeś już stary, choć twarz twoja jeszcze młoda! Nie ufasz kształtom w jawie dnia jasnego. Wierzysz, że marzeniem o pięknie duszę zbogacasz, a zatracasz ją przez obecność tych pięknych kobiet, z których niejedna do twej cichej samotni radaby trafić! Więc przyszłam, bo tęsknisz!

Podniosła białą dłoń, wskazując na czoło. Znikła.

P. Tomasz przetarł czoło. Podeszedł do okna. Wychylił się, rozprężył ramiona.

— Witaj, nocy, witaj, cicha! — wyszeptał w sobie.

Wpatrzył się w wygwieżdzone niebiosy. Zgarnął ze skroni mgławicę marzeń, drogi mleczne dalekich, rozproszonych światów. Wsłuchał się w ciszę.

— Nie częścią czegós — całością, jedyną, niepodzielną jestem! Całe ty moje, we mnie jesteś, mną, bo całe stajesz się we mnie, przez własny mój trud! Ciebie odkrywam, życie, zdobywając siebie! W każdym żywym drgnięciu rwącego potoka zjawisk, w rozprężeniu mych ramion, w promieniu, błysku, w skrze, przyskającej z kowadła mej doli, w cieniu, co pada w mroki niepamięci, i w każdym tchnieniu, szmerze, poszumie, w trzepocie serca, chyżego, radosnego ptaka — wciąż nowe, narastające we mnie mocą ciągłego stawania się, mocą prężenia mych pieśni, wsłuchania

się i wpatrzenia w siebie — we wszechświat życia mej duszy. . . I wciąż to samo zwycięskie, nieodparte, znoszące każdą moją obecność, każdą moją chwilę, rzucając ją w nurt przeszłości, gdy myśl swoją na niej zatrzymam, nie dające się wcisnąć w kleszcze żadnego pojęcia, poza wszelkimi możliwymi ujęciami kryjące coś niezgłębionego, nieuchwytnego, a tak proste w każdym momencie mojego wysiłku, mego czynnego stawania się.

— Gdyby znaleźć słowo — dźwięk do wyrażenia głębi i piękna — tak, jak prostym jest akt życia !

— Gdyby wypromieniować z duszy ten cud czucia — wysławić cichą, bliską rozmowę z gwiazdami, tęsknoty po drogach mlecznych i zapach kwiatów, trzepot serca — śpiew radosnego zachwycenia; wydźwignąć tchnienia, szmery łęgów, poszumy trzciny rozchwianych, pierzchliwie pluski po wodach! . . .

W skrach zapatrzenia sypnął z gwiazd deszcz złocisty, mieniając się w struny, na czarnym gryfie nocy rozpięte! Wyciągnął dłonie. . . I nagle targnął się, opuścił ciężko głowę. Chwiejnym krokiem przeszedł w mroczny róg izby i, nie rozbierając się, padł na posłanie. Zasnął.

Obudziło go gwałtowne uderzenie w szybę. Usiadł na posłaniu. Dniało. Podszedł do okna.

— Czego tam? Dwuch ludzi stało w proszącej postawie.

— Panie doktorze, do chorego przyszliśmy prosić. Jaśnie wielmożny panie doktorze, — tylko zaraz — dziecko chore, całkiem źle!

— Ja tu nie leczę, macie doktora w miasteczku. Mówiłem już nieraz — odparł krótko p. Tomasz.

— Na moje sumienie, wyjechał, wczoraj wyjechał do Warszawy. Panie doktorze, my zapłacimy, zaraz, choćby na stół!

Zaczerwienione oczy, ściągnięte rysy, trzęsące się brody świadczyły o wielkiej trosce.

P. Tomasz zarzucił płaszcz, wyskoczył przez okno. Kilkaset kroków było do rzeki. Kilka ruchów wiosła i znalazł się na przeciwnym brzegu. Po stromym wybrzeżu doszedł do miasteczka, poprzedzany przez jęczącego rodzica.

Wszedł do wskazanego pierwszego z brzegu domostwa. W mrocznej cuchnącej izbie znajdowało się osób kilkanaście. P. Tomasz zrobił energiczny ruch, by izbę natychmiast opróżniono. Pozwolił zostać rodzicom.

Przy łóżku zastał Szłomę, starego felczera. Kiwał głową w zadumie, rozkładał ręce. P. Tomasz wiedział, czego ma się spodziewać: w miasteczku panował dyfteryt.

Spojrzał na chorego. W brudnych nad wszelki wyraz betach leżał pół nagi sześćioletni chłopczyna z poskręcaneimi wychudłemi kończynami dolnemi i górnemi, oblepiony muchami; całe ich placki pokrywały nagie ramiona, usta, policzki.

Oburzenie targnęło piersią lekarza. Czarne oczy dziecka, nieruchomo ustawione na pułap, żaliły się bezbrzeżną, niemowną skargą.

P. Tomasz ujął za puls, był słaby, rzadki, urywa-

ny. Następował skon. Czując na sobie wyczekujące spojrzenia rodziców, zapytał o lekarstwo. Podano mu buteleczkę i pędzel, zrobiony z waty i drewnianka; był brudny jak podłoga izby, tej samej barwy ziemistej był płyn w buteleczce, zabrudzony widocznie tym samym ohydny pędzlem. Stłumił napad gniewu. Nachylił się nad dzieckiem, trzymając za puls.

Serce przestawało działać. Nagle chłopczyna wykonał kilka gwałtownych ruchów głową i skonął jak kurczę.

Szloma zrobił gest znaczący. W tej samej chwili uderzył w ściany izby krzyk ostry, przeraźliwy. Okrzyk: „sztorben“ rozbrzmiał rozpaczą.

Drzwi rozwarły się narozścież i ta sama, wydaloną przed chwilą gromada, wwalila się z piskiem, wyciem, szlochami, targaniem włosów. Tłum szybko rósł, wrzask się potęgował.

P. Tomasz przedarł się przez ciżbę. Stał na progu; z łoskotem i trzaskiem otwierano okiennice i drzwi sąsiednich domostw, skąd wybiegały rozczochrane, zaspane kobiety, dzieci pół nagie, wyrostki. Wszyscy kierowali się do domu, skąd szły lamenty.

P. Tomasz postąpił parę kroków naprzód, zimnym lękiem przejęty.

Wrzaski wzmagaly się, zlewajac się w jeden chaos głosów obłądnych, strasznych w swej zwierzęcej gwałtowności, nieokiełznanej egzaltacji, w bezwstydzie wobec tajemnicy zgasłych przed chwilą powiek, wyszarpujący trzewia zgrozą strachu, wylętego

w głębinach instynktu życia, — a tak obcy poczuciu żałobnej boleści. . . .

P. Tomasz zbiegł szybko do rzeki, chwycił wiosło, odepchnął łódź od brzegu. Lamenty i wrzaski natrętne biegły za nim po wodzie.

Spojrzał w górę. Wychyliło się słońce czerwone, wielkie. W powodzi krwawych blasków stały białe domostwa jak w łunie pożarnej.

Zdawało się, że płoną wśród potępieńczej orgji ludzkiej nędzy. . .

W oczach p. Tomasza błysnął radosny, dziki zachwyty.

NAD POREM

Zaciągnęła się wczesna jesień słotna. Szły szarugi okrutne, jak troski bezbrzeżne, przerywając ludziom orkę, wykopki. Świat spowiła jedna wielka; załzawiona szarzyzna, chłonna wsie, drogi rozmokłe, pola zczerniałe, stada osowiałe, bezgłośnie, na ścierniskach i nikłe, jak cienie, sylwety ludzkie, rzadka snujące się tu i owdzie. . . .

Brnął rybak wśród drobnego deszczu. Szedł zwolna, ponure spojrzenia stał w siną dal, zgarbiony, pochylony, jakby na sobie dźwigał ciężar chmur ołowianych, nisko zwisłych, pełznących z niewiadomych dali — jak zmory niedoli — całe brzemię ludzkiego znękania.

Gnała go pustka, wiejąca z ludzkich spraw i słów, z cichej pracowni i sal rozgwarzonych, triumfów i zawodów człowieka, — całego odmetu zapasów — wyścigów do mety — o kęs, strzep — o użycie, pozór.

— Azali w tem niebie szarem, obejmującym ziemię ołowianą kopułą — tkwi ta tajemnica, kusząca ludzkość do życia? . . .

Deszcz przestał padać.

Gramoląc się w błocie, przebrnął biegnącą pod

górze drożynę, a stamtąd przez wąski wąwóz opuścił się w dolinę, którą przecinał Por.

Drewniany młyn, cały zapłakany, terkotał ścicha, głucho.

W szarzyźnie zamajaczył na wzgórzu las komińów — pogorzeliśko — świeży ślad wojny.

Zaczął się piąć po stromej, całkiem rozmokłej drożynie. Po obydwu jej stronach żółciły się ściany rozpoczętych budowli: niektóre już na wykończeniu, słupami dymu strzelały, inne już pod dachami, inne zaledwie wpół roboty — przed zimą nie miały już być gotowe; w obejściach — starodrzewu zwały, kupy bielących się wiórów, wielkie kozły z ułożonemi poziomo pniami, z których błyskały wielkie zęby pił trackich — wśród ożogów jabłoni i grusz. Tam i sam rzucały się w oczy wśród głązu wyrwy, zielskiem zarastające — ślady pocisków szrapnelowych.

I odżyły obrazy, grozą wstrząsające.

Ranek... Gwałtowne tętenty... Dano rozkaz — won!

Wioskę opuścić w ciągu 2-ch godzin! „Nasi” cofają się! Tędy „pójdzie” pozycja! Ani słowa! Zabieraj, co możesz! I za linję!

Zakotłowało się, zawrzało! Wypadają z chat: nawoływania, płacz kobiety, lamenty, piski i wrzaski dzieci, przeraźliwie ostre gwizdy, nie cichnące tętenty, krzyk ptactwa domowego, wiązanego i rzucanego na wozy, kwik dobijanej nierogacizny, rżenie koni, chrzęst pośpiesznie wyciąganych i zaprzęganych wozów... Co najzmyślniejszy i najprzezorniejszy — dół

kopie głęboki, znosi uprząż, buty, kozuch, zawala ziemią, ubija; inny wóz grzebie, na części rozebrany. . . .

Ruszyły wozy, naładowane dziatwą, dobytkiem, ciągnąc uwiązane, ogłupiałe krowiny. Za niemi, przed niemi — kozackie gwizdy, tętenty. . . .

Wszystko ucichło.

I nadeszły one dni srogiego zmagania się z losem: pędzenie naoslep, noclegi po drogach, nasłuchiwanie, oglądanie się wstecz — łowienie tej chwili mroku nocnego śród zamętu po zawalonych uciekinierami drogach, aby zboczyć na najbliższą połą drożynę, wyrwać się z tego odmętu niedoli i rozpaczy, zapaść się pod ziemię, przeczekać i odnaleźć śród nieznanych, obcych stron — tę drogę własną, najkrótszą. . .

I szły one dni męczeńskiej włóczęgi: ukrywanie się po jarach, odludziach, błędzenie nocami po pustkowiach, aby jeno jak najdalej od strzałów. . .

Wreszcie znajomy kraj, okoliczne drogi! Powrót: kominów las, ożogi sadów, pustka i cisza. Uleciał spłoszony ptak.

Ledwie się rozejrzał po wielkiem cmentarzysku — nowa klęska! Nawała uzbrojonych rabusiów: zabierają wszystko, co w oczy wpadnie: krowy, konie, wozy, uprząż, kozuchy, płótno, buty! „German“ nie prosi! To ocalało, co w ziemi zmyślność chłopska ukryła!

Przeszła chmara niszcząca, zostawiając pustkę i na twarzach z niedoli zszarzałych piętno zapamiętałej krzywdy — utajoną żądzę odwetu. . .

Ucichły tętenty i odgłosy wojny.

Przywiązał krowinę do ożoga, troski bezmiar ogarniając: z ruin i zgłiszcz własnymi rękoma ma dźwignąć ojcowiznę!

I dźwigał ją też, sypiąc ziemianki, kupując, kradnąc budulec, jak się udało!

I w tej zwierzęcej iście zmyślności szukania dróg powrotu na własny zagón, w tej niespożytej energii dźwignania z ruin ojcowizny — widział p. Tomasz rękojmię niepodległości swego narodu! Jak wiele jednak rzetelnej potrzeba oświaty i mądrości tych, którzy rządzić tu będą, aby ten lud zechciał i miał odwagę stać się niepodległym narodem!

— E, Jakóbie, bywajcie! — krzyknął, rozpoznając znajomą postać przed niską chatynką.

Podali sobie ręce.

— A to kiepsko pan trafił, okrutna szaruga — rzekł Jakób, wprowadzając gościa do izby.

Na wstępie uderzył ciężki zaduch, ziejący z wnętrza. Powitała p. Tomasza matka Jakóba, krzątająca się koło komina.

Należało przedewszystkiem pomyśleć o wysuszeniu ubrania, aby nie spać w mokrem.

Po niskich ścianach izby pełzały słabe odbłaski łuczywa; po rogach dwa łóżka, zbite z desek, zasłane słomą; gramoliło się tam kilkoro drobiazgu; stolik pod oknem, stołek, ława pod ścianą, malowana szafka bez szyb z garnkami, cebrzyk do wody — wymowny obraz ubóstwa.

Jakób należał do całkowicie zniszczonych przez

wojnę: zabrano mu 4 konie, uratował tylko krowę i jałówkę, kryjąc je po jarach. Z ocalałej obórki sklecił na prędcie izbę z sienką, w której umieścił starych rodziców. Obok stawiał nową chałupę.

Nadciągnął niebawem ze dworu stary Gdula i Jakóbowca ze skobkiem mleka, opędzając się od białego w czarne łaty kota. Dorzuciła garść wiórów, aby mleko „zwarzyć“ dla gościa.

Wyciągnął p. Tomasz ze swej torby prowianty: zaczął się poczęstunek. Zgrzytnął rygiel: trzech sąsiadów, powitawszy „pochwalonym“ zajęło miejsca na ławie. Zrobiło się ciasno, jak na weselu. Paczka dobrego tytoniu z bibułką, obiegająca ręce, rozwiązała gęby. Wszczęła się pogwarka stateczna, gospodińska, gdzie każdy mógł się wygadać i był wysłuchany.

Zaczęło się od budulca: Sikora już zwiózł, Woźniak zwozi; ten i ów chwali się, że kupił 5, 6 sztuk, a zwiózł 9, 10. . . Barylski już w nowej chałupie na zimę osiadzie; nie dziwota: nie brak mu rąk do roboty, sam w ciesielstwie praktykant i przed wojną był już bogi z. . . A inni, pewnie nie zdążą!

Pckiwali głowami z frasunka:

— Jaka to zimę Bóg da?

— Cosik o nowej mobilizacji koni gadają! Bodaj ich śniegota! . . .

— A w przeszły jarmark już płacono 50 — 60 setek za szkapę, co dawniej nie danoby i 30 papierków!

— A paniętasz ociec, — odezwiała się stara Gdulicha — jak Skowron ze dwa roki przed wojną

gwałtem chciał sprzedać za 17 papierków kobyłkę ze źrebięciem.

Stary Gdula poprawił, że wprawdzie kobyłka była galanta, ale Skowron żądał za nią 19, nie 17 papierków i to było nie 2 lata przed wojną, ale akuratnie 5 roków, a może i więcej!

Wszczęła się sprzeczka: swarliwa niewiasta nie ustępowała, przypominając sobie całą litanję towarzyszących faktów i szczegółów.

— Dyć nie swarście się! krzyknął Jakób.

— Co to gadać, jak było!

— Konie zabierają, krowy, ino patrzeć, jak na psy mobilizację zrobią! — rzekła drwiąco Jakóbową.

— Już była w Lublinie, sam widziałem, jak pędzono całe sfory naszych Burków i Kruczków — odezwał się p. Tomasz.

— Bodaj ich ślepota!

Zachichotali i splunęli przed się.

— Biorą, co się da, a „palenia” nawet dać nie mogą i dziesięć groszy papieros!

— Kuronami płacą!

— A boć to pieniądz — te kurony, — wtrąciła Jakóbową — dziady!

— Oj, wierutne dziady! potwierdził z pogardą Gdula i splunął.

— Na ręce ino patrzą, a nic się z nich niema!

— To jedna łaska Boska, że awstryjcowi łatwiej się wykręcić: dać mu trochę na boku, to już wszystkiego nie zabierze!

— Z Germanem gorsza sprawa, ślepota!

— Ba!

Przeszła rozmowa na strzały: skąd i kiedy było słychać, przyczem opinie okazały się tak dalece sprzecznymi co do miejsca i znaczenia działań wojennych, że p. Tomasz z trudem je sprostował.

Zagadano też o Polsce.

— Ma być, niechby ta już była! — zawyrokował stary Gdula.

— O wojsku gadają, a niema go! — dorzucił sąsiad.

— Jakoś ciężko klei się ta nasza Polska! — dodał drugi.

Za wojskiem wypowiedział się Błaszczyk, jako że młodzi, ciągiem w domu siedząc, okrutnie się po wioskach łotrują!...

Stara Gdulicha westchnęła głęboko jak na kazaniu, wytarła nos fartuchem i zagderała, zapędzając dzieci do pacierza. Dzieciska zwlokły się leniwie z łóżek i, kiwając się pociesznie, cosik zamamrotały.

Przerwana na chwilę pogwarka, znów się ożywiła: zagadano o cenach na ostatnim jarmarku, o drożyznie.

— Mają chłopcy pieniądze! oświadczył Gdula.

— A bo nie — potwierdzono z zawiścią, jakby to nie o nich samych była mowa.

— Niejeden jak wyjmie kabzę na jarmarku, to ma funt albo i dwa samych setek carskich!

— To ten, co miał za Ruska i teraz ma, a biedoty więcej, niż było! — rzekł Błaszczyk głośno, cisnął resztkę papierosa i splunął.

— Bogać tam!

W półmroku, dymem nasiąkniętym, poczęły się kleić oczy. Pierwszy powstał stary Gdula, ruszyli za nim gospodarze.

P. Tomasz sięgnął po torbę, kożuszek, wysunął się wraz z innemi, pożegnał się krótko na przyzbie.

Deszcz przestał padać. Przez rzednące chmury błyskały gwiazdy.

Dobiegł krytej wiatrem stodółki, po drabinie dostał się w zapole, przyzwyczajony do takich noclegów, wdążył się w siano, łaknąc snu.

Człapiąc w szarzyźnie jesiennego ranka po rozmokłej drodze, p. Tomasz dobrnął do brzegu rzeki, zatrzymał się w miejscu, gdzie z dna prześwitywał żółtawy piasek i zaczął „ciąć“ kiełbie, opuszczając złowione do blaszanki z wodą; zgłodniałe bractwo brało z zapamiętaniem, naciął też ich p. Tomasz w kwadrans ze trzy mendle!

Zwinął wędkę. Przekąsił naprędce. Zarzucił wędziska na ramię, z blaszanką w drugim ręku ruszył w dół rzeki, kierując się do tych dołów największych, gdzie bełty co najtęższe i trzciny co najgęstsze...

Cicho było, szaro, smętnie, jak w państwie cieniów, mar zwodnych, lotnych.

Łąka mgłą bladą zakwefiona, wydłużała się hen, w siną dal, w bezkres beznadziei niebios i ziemi — gdzie jęk ginie bez echa, łązy perłą się na liściach, jesienią zwarzonych...

Nie bez lęku niemownego szedł p. Tomasz, rozglądając się po szarej powierzchni rzeki.

W oddali na toni wielkiego dołu zamajaczyły dwie ciemne plamy — wydry! Przystanął, instyktownie szukając flinty. . . . Dwie głowy kosmate skryły się pod wodą, szerokie kręgi zostawiając po sobie.

Rozmotał wędkę na długim, grubem wędzisku, założył na grzbiet rażnego kielbia, — aby rozpocząć połów — najmiłszy ze wszystkich rodzajów wędkarstwa — połów zbója wodnego — szczupaka!

Zarzucił cicho w bełt, podciągnął do brzegu, poczekał, znów posunął po wodzie, wabiąc zbója, przyczajonego na zdobycz w trawach przybrzeżnych. Przeszedł na inne miejsce, znów manipulując wędką, kusząc srebrzącym się żywcem drapieżcę, wabiąc go z lasu trzciny.

Nagle. . . łupnął, wyginając wędzisko! — spławia ani śladu, wyprężył się sznur! Rybak podciął oburącz, bez trudu wyrzucił na brzeg sporego szczupaka.

Szedł dalej i wszędzie, gdzie bełt, zatoka, dół — rzucał pod trzciny, trawy, nachylony, drżąc chwilami, płoszony szmerem trzciny, odchylonej ramieniem, trawy, poruszonej stopą, każdym odgłosem swej samotności w pustkowiu — wypatrywał roziskrzonemi oczyma.

Połów to jedyny: nie czeka się na zdobycz, ale się jej szuka, jak zająca w polu! Mitręga dla myśliwego, gdy pies mu nie pomoże! Rybak sam musi wysłepić, gdzie się zbój ukrywa, wymacać go wędką, jak mówią wędkarze! Trafi na niego, już go ma! Puścił

p. Tomasz w dół co najlepszy, głęboki, szeroką ~~łazę~~ rozlany. Łup w wędkę — wziął! Zerwał kielbiam! Puścił świeżego — zerwał znów! Rybak się niecierpliwi, nowego żywca zakłada. Szarpnął, aż sznur zawarczał. Wytrzyma wędzisko? . . . Niema strachu: sznurem owiązane aż do rękojeści. Podciął, aż drugi zatrzęszał! Pozwagał się ze zbójem chwil sporo, dociągnął powoli do brzegu tęgiego szczupaka.

Trafia się też na wodach, że weźmie raz, drugi, trzeci, wyje wszystkie żywce z blaszanki, i podciąć się nie da! Wielki ladaco, jak w boru wilk łak, co go się kula nie ima! Niejeden już rybak nad takim dołem dni całe przesłęczał, sznurów narwał, żywców napsuł, nazwagał się ze szczupakiem — wodniki m, jak z koniem — i napróżno! Gadają, że niektórzy, co głupszy, da się wkońcu ująć, ale może i nie!

P. Tomasz znów ruszył przed siebie, nęcąc z pod trzciny szczupaki, jak kota myszą, puszcza ją z pułapki.

Zmęczył się dźwiganiem ciężkiego drążka, usiadł na wysokim brzegu, rozejrzył się. Rzeźki wiar, rwąc szare szmaty chmur, odsłaniał błękit szeroko. Pogoda się kształciła, jak mówią rybacy.

Zakąsił, pociągnął kawy z termosu, zapalił cygaro, wypoczął setnie. Taki dzień — to wista!

Tymczasem wyzłocił się cudny dzień jesienny, gędbą trzciny zwichrzonych rozkołysany.

P. Tomasz zdjął kożuszek, wyciągnął się na nim wygodnie, mając nad głową zwisające nisko o gałązki kaliny, przez kanwę listków splecionych patrzył w błękit. Przymknął oczy, słońcem nasycenie.

Rozmarzył się stary rybak: sięgnął w siebie wzrokiem ciekawym — napatrzyć się życia w łonie wód głębokich....

W ciemni obsiadłych nisko nad wodą gałęzi, — wśród płataniny przegniłych korzeni, badyli — stada okoni. Raz wraz wrywa się któryś z gromady, ciężko i niezgrabnie zapędza się ku świetlanej powierzchni za drobnicą — jak rozsypaną garścią owsa...

Śród zielonej gęstwi wodorostów uwija się mrowie drobiazgu — to płotki, wzdreği. Niepewne to chwili życia — ofiary zbojów wodnych — wciąż w ruchu: raz wraz rozpryskują się jak strzałki złote, srebrzyste, kryjąc się przed napastnikami; zapadają w głąb, to strzelają ku powierzchni, wyskakują z toni, jak „kaczki” rzucone ręką po wodzie. Oto jedna w popłochu wyskoczyła na szeroki liść nenufara, trzepoce się... Może tu już uszła pogoni? Drobnny plusk i, staczając się liścia, wpada w rozwartą paszczę żarłoka!

Pod samym wierzchem niezliczone mrowie drobnicy ugania się za muszkami, drobnymi kółkami marszcząc toń — to srebrne okleje, polskie sardynki... Przeganiają się wzajem, pierzchają płocze — istna zabawa dziecięca. A tęgi szczupak, zbój wodny, jak wartownik, stoi nieruchomy, wygrzewa się na słońcu wśród wodorostów splełanych. Czai się, upatruje — ślepiami okrutnymi, czarnymi; spostrzegł: mała rybka płąsa, kołuje na miejscu, to zapada w głąb, to ucieka w górę, usiłując zerwać się z uwięzi, tak ponętnie ły-

skając łuską srebrzystą — ofiara na wędce, za chwilę — zguba zbója wodnego! .

Poruszył skrzelami, znęcony upatrzoną ofiarą, jak ostry pocisk, przebija sobą toń, z paszczą rozwartą rzuca się przed siebie. . . Za chwilę spław zatonie, wygnie się w pałak wbite w brzeg wędzisko. . . A rybak w swoim żywiole!

P. Tomasz powstał, przetarł oczy i ruszył znów przed siebie.

Wiatr dał zamaszysty, hasał szumnie po szerokich łęgach, objając się o smukłe stogi siana, gęsto rozrzucone, wichrząc grzywy rozbujających trzcín.

Szedł znów długo, daleko, próbując, gdzie się dało. . . Brały rzadka i drobne. Podciął jeszcze sztuk parę. Wreszcie, jak toporem uciął — „branie“ całkiem ustało!

Wybrał tedy miejsce zaciszne przy kępie krzewów, na urwistem wybrzeżu; gdzie gęsty las trzcín, podchodząc tuż do krawędzi, wyrastał nad brzeg, służąc mu zasłoną niby wachlarzem. Wędkę zarzucił, rękojęść wbił w brzeg. Położył się wygodnie.

Trzciny szemrały cichą, słodką gędźbą. Wiatrem gwałtownym podrywane, chwiały się, gięły, szamotały, miały — siekły wodę swemi wiechami — jak ranny śmiertelnie ptak, gdy skrzydłem rozpacznie bije toń. . . Szumiały skargą, jękiem i łkaniem, jakby wiatr rozpętał w ich jestestwie wszystką żalność serca ludzkiego. . . Grał na nich posępny nokturn wiolonczelowy. . . .

Narzędzie pieśni oblicza dostojnego o brzmieniu

pełnem, męskim, poważnem — w arpedżach i akordach dające wyraz tragicznym zmaganiom się, rozdzarciom, upadkom — najczystsze, nieprzebrane źródło liryzmu, tryskające pieśnią — kaskadą ciepłej krwi z żywego serca ludzkiego — wiolonczela!

Rozszumiały się, rozspiewały bujne trzciny na wicherze jesiennym. . .

Przeciągły jęk — minionej chwili żal —

W dal idący szarą —

Bezpowrotności. . . .

Życie gra. . . Akord: barwa, kształt, zapach, dźwięk — podniebny lot!

Oczy — gwiazdy, myśli — błyski, napięta wola, jak cięciwa!

Uśmiechów dnia mozaika i serca cudna melodia!

To ty — tchnienie — radosny szczęścia zew w błękity — mgławica opalowa — skra w nieskończoność zapadająca — ty i ja — chwila — tchnienie — skra, co w locie spala się i ginie — w mrocznej przepastnej głębi życia! . . .

— Przeciągły jęk — minionej chwili żal —

W dal idący szarą —

Bezpowrotności. . . .

W ORLU.

Jakże długo czekał na te dni własne: ot i życie przeszło!

Los dobrze zrządził: przez kaprys przypadku, możnego pana doczesności — mógł wreszcie osiąść nastale wśród wód, odejść od ludzi z pogodną obojętnością, żyć jak trawą codzienną tem, co się jeno ukradkiem i dorywczo zdobywało. . .

Był wolny od troski o byt, czując się zabezpieczonym do końca najdłuższych swych dni. Był zadowolony z życia, mogąc już być nikomu niepotrzebnym.

Jakże długo szukał, jak wiele dróg przebiegł, zaczem odnalazł ziemi skrawek, co przyjął jak swego starego włóczęgę, zaczął gościć uraczył, nie licząc mu dni, nie oszczędzając strawy.

Kilka włók wody ciemnej, szmat łąki, strumieniem przeciętej, płacheć nieużytku, włoka ziemi ornej, lichej sad, bielona chata z gankiem, zabudowania jak kojce, para koni, 3 krowy, dwa psy, para kotów, trochę drobiu — ot i cały majątek p. Tomasza.

Pod bokiem — para czeladzi, gwałtownie dorabiających się — jak na swoim. . .

— Słońca, zieleni nie skradną — mawiał do sie-

bie p. Tomasz — że się dorabiają, rzecz słuszna: takie to ich, jak moje!

Nie brakło też kłopotów w pierwszych czasach, aby całe domostwo dźwignąć z ruiny, wiele zwieźć, dokupić, przysposobić do stałego pobytu.

Najgorzej szło z gospodarstwem: po roku biedowania udało się znaleźć z rekomendacji sąsiedzkiej leciwą gospodynię, panią Grudzielską.

Zagospodarowała się kobiecina jak na swoim, zajmwszy połowę domostwa z kuchnią. W porozumieniu ze służbą dorabiała się też, jak mogła, sprzedając na swoją rękę ryby, raki — wszystko, co w gospodarstwie zbywało.

Nie obeszło się też z początku bez kwasów; powodem stały się psy, koty, zające, ptaki, domownicy p. Tomasza, wreszcie — ta panienska z sąsiedztwa, wybierająca ziarno całemi garncami. . .

Skłoniło to wreszcie starca do „zasadniczej” rozmowy z zacną wdową:

— Albo, albo, moja pani; żądam równouprawnienia dla wszystkich domowników, bez różnicy kondycji! Pozatem proszę panią być tu, jak u siebie!

P. Grudzielska z powagą przyjęła tę reprimendę, stanowczy wyraz woli pana domu, i, orjentując się w położeniu, domowników otoczyła należyłą opieką.

I odtąd ustały wszelkie swary. P. Tomasz miał spokój w domu. Zresztą z góry przewidział, że do utrzymania tego gospodarstwa sporo trzeba będzie dokładać. . .

Miesiące zimowe spędzał w mieście w towarzystwie nieodłącznego szpaka; zajmował tam skromną „kawalerkę”; katalogował wielki księgozbiór.

Bywał na operach i w wolnych chwilach pisał swe dzieło! Miał to być obszerny poradnik dla wędkarzy, uwzględniający wszelkie rodzaje połowu ryb jeziornych i rzecznych. Zgromadził obfitą wielojęzyczną literaturę, sprawdzał, porównywał, starając się dać rzeczy najpewniejsze, mogące przynieść wędkarzowi możliwie największą korzyść praktyczną. Zresztą czuł się w posiadaniu tak rozległego osobistego doświadczenia, iż nie chciał, aby zginęło bez śladu.

Niekiedy w ciągu pisanía, wpatrzony w siebie, dawał się unosić pięknu, odrywał się od tematu: malował przyrodę... I skreślał nazajutrz te dodatki „zbędne”, powtarzając sobie w duchu:

— Niech spróbuje, kto poczuje się usposobionym; niech zobaczy, nauczy się patrzeć — sam zazna — i wiele więcej i inaczej, niż piórem da się to wyrazić...

Zresztą, całkowicie nie dbając o otoczenie, stał się w opinii powszechnej dziwakiem, co uważał za całkiem naturalne i dogodne określenie swego stosunku do ludzi.

P. Tomasz wyskoczył z łodzi, dociągnął ją do brzegu, łańcuch zawiesił na haku, otrząsnął grube buty z chwastów i błota; z wędką zarzuconą na ramię, nuąc coś swym zwyczajem ścicha, ruszył piaszczystym wybrzeżem ku domowi.

Nadbiegł Karuś, kundel i Neptuś, wyżeł; powi-

tali pana bez służalczej uniżoności, kręcąc wesoło ogonami, śmiejąc się pełnemi twarzami. Pogładził przyjaciół, podparł zwisającą gałąź, obciążoną owocem; przestąpił próg swej siedziby, Neptusia puszczając przed sobą.

Podszedł do okna, gdzie krwawe błyski zachodu paliły się na szybach, otworzył je i zasiadł do przygotowanej wieczerzy.

Po chwili mała dziewczynka wniosła garnek mleka i dymiące ziemniaki.

— Kolacja, dzieci! — zawołał wesoło. Na miskę, stojącą obok swego talerza, nalał mleka, dorzucił kartofli, nadrobił chleba.

Neptuś nie spuszczał mądrych oczu z pana.

— Poczekaj, gorące! — rzekł, stawiając miskę na podłodze. Pies nie ruszył się.

Tymczasem ożywiło się towarzystwo. Z małego domku pod ścianą, z głośnym hołubcem wypadł królik, Puś, całkiem podobny do zająca; wskoczył na krzesło, potem na stół, polizał rękę pana i kicnął z powrotem na podłogę. Z najciemniejszego kąta sfrunął z trzepotem tęgi szpak, usiadł na ramieniu pana, skubnął poufale kosmyk siwych włosów za uchem.

P. Tomasz suto chleba nadrobił, szpaczka pogładził i sam zabrał się do posiłku. Neptuś jakby na to czekał; zamlaskał językiem. Puś ze szpakiem zgodnie zajadali. W tym szara kotka z łoskotem wpadła przez okno, miaucząc żałośnie.

— A późno, moja pani, a gdzie to się bywało? A któż to widział przez okno? .. Miałyby się jejmość

spyszna od pani Grudzielskiej, gdyby tak doniczka przypadkiem... — mówił p. Tomasz, odpowiadając na pieściwe ocierania się kotki o buty; wiedział, że Pulchercia mało w tym czasie się udziela, całkowicie obowiązkowi macierzyństwa oddana. Nalał też towarzysze spodek mleka, razowca nadrobił. Szpak głową pokręcił, z wyraźną niechęcią dla gościa, szykując się do odlotu; sfrunął i usiadł na framudze okna.

— Dokąd to Waść? Godzina późna, na spaceru nierychło! Okno zamknę i na noc nie wpuszczę! — gderał p. Tomasz.

Szpak odwrócił głowę i wesoło zagwizdał.

— Widzisz go! Waść widać sprzeczeki szukasz!

Szpak przestąpił z nogi na nogę, podrapał się w skrzydło, gwiznął arogancko i odleciał.

— Zawsze z nim to samo: ty mu to, on tamto, a zawsze swoje! A urażne to jak panna na wydaniu, — monologował, dolewając kotce mleka.

Za oknem mignęła biała postać.

P. Tomasz wybiegł szparko na ganek.

— Witam, witam, czemu to tak dawno nie widziana?

Przywitali się jak dobrzy znajomi. Wprowadził gościa do sadu, wskazał miejsce obok siebie na ławce.

Słońce już zaszło. Przed nimi ciemniała w złotawym zmierzchu szeroka toń, obramowana kryzą gęstych trzcín.

Błysnęła pierwsza gwiazda. Od zabudowań odlatywały rzadkie, zmieszane odgłosy.

— Błogi — cichy spoczynek po dniu frasobliwym — znojnym, co minął — jak życie całe!

Wyglądała się dusza jak ta tafla równa, przepastną głębią mroczna, dymiąca się oparem wspomnień dalekich, niemownych. . .

Spojrzał na towarzyszkę: niepostrzeżenie sfrunął na jej ramię szpak i bawił się bursztynami na jej szyi; Puś siedział na kolanach, Neptus — u jej stóp.

Siedziała wyprostowana, z łokciami wspartemi o grzbiet ławki, Czoło gładkie, otwarte, szlachetne, drobny nos, usta wąskie, lekko zwarte i oczy gdzieś zapatrzone. . . Znał te oczy dziwne, błękitne, przedziwnie jasne, chwilami zielonkawe, jak oczy jaszczurki; czasami jakby zbłąkane, bezmyślne, to pełne przerażenia więzionego ptaka, rannej łani; to znów ciepłem majowym przejmujące — te oczy dziwne, niezbadane, cudne!

W tej chwili jej twarz tchnęła niezmaconym spokojem.

I myślał podówczas p. Tomasz o losach dziewczęcia.

Gdy przed kilkoma laty osiadł w tych stronach, nie kwapiąc się z zawieraniem znajomości w sąsiedztwie, słyszał gadki — pogwarki o córce dzierżawcy, cudaczcze, co wszelkie zwierzęta za sobą prowadzi, z ptakami rozmawia i chore łanie opatruje w boru.

Trafem zetknął się w polu z p. Andrzejem, ojcem Anielki. Po sąsiedzkiej gawędzie nastąpiły wzajemne odwiedziny. P. Andrzej zwąchał niebawem, że nie bę-

dzie miał pocięchy z sąsiada ani do preferansa, ani do kieliszka, a lubił siarczyście przetrącić i zakąsić, więc znajomość trwała tyle, co z konieczności, od wielkiego święta. W Anielce znalazł p. Tomasz towarzyszkę. Była podówczas podlotkiem. Wskutek braku matki, przedwcześnie zmarłej, pozostawiona była od lat kilku samej sobie jako gospodyni i opiekunka młodszego rodzeństwa.

P. Tomasz oswoił po trochu dziką istotę, iż chętnie go odwiedzała. Wbiegła raz zadyszana, z oczyma czerwonymi od płaczu. Podchodząc ostrożnie i zlekka, p. Tomasz dowiedział się wreszcie, co było przyczyną zmartwienia.

— Okropność! Ojciec zabronił wybierać ziarno ze śnichrza, a Anielka tyle go potrzebuje!

Ucieszył się, że tę troskę da się łatwo usunąć. Zawołał gospodynię i kazał wydawać p. Anielce tyle ziarna, wiele będzie potrzebowała. Okazało się, że dziewczynka znaczne ilości różnego ziarna chowa po skrytkach, jej tylko wiadomych. Od owego dnia zażyłość się wzmocniła.

Pozornie nie ulegała wpływowi, nie dając się doznać.

Milczała całymi dniami; mówiła najchętniej okrzykami lub monosylabami. Na brzmienie głosu wrażliwa, chwytła każdy żywy ton mowy; reagowała silnie rumieńcami, drganiem ust, błyskiem oczu lub cudnym przechyleniem głowy, którym wyrażała lęk lub nagłem jej wzniesieniem, czem okazywała podziw, w zachwycie prostowała się cała, prężyła

stając się jeszcze smuklejszą — jak skamieniała lilja biała. Wobec wszelkiej potocznej rozmowy, prowadzonej zwykłym głosem, zachowywała zupełną obojętność.

W zasłuchaniu muzycznym stawała się posągowo piękną; niekiedy pochyłona, jak lilja złamana, cicho w swym kątku płakała.

W ruchach, spojrzeniach Anielki, w postępowaniu było coś niezwykłego, pierwotnego, dzikiego; w jej stosunku do świata, w wyczuciach była utajona, samorodna treść.

Spojrzał na towarzyszkę, odrywając się od swych myśli: z głową nieco wzniesioną siedziała nieruchoma, wpatrzona w ciche, wygwiażdżone niebo. Na jej ramieniu szpak muskał dziobem piórka. Pierwsza powstała.

— Już późno, prawda? Pójdę...

P. Tomasz chciał odprowadzić; podziękowała. Gwiznęła na Neptusia: zerwał się żywo, kręcąc ogonem, zawsze chętny do spełnienia zwykłego swego obowiązku: odprowadzenia pani do domu.

Przechadzał się pewnego popołudnia p. Tomasz nad brzegiem jeziora gdy od drogi, sadzonej gęsto wierzbami, usłyszał chrzęst wózka. Z zakrętu wychyliła się dwukołowa „biedka”: poznał w niej Anielkę. Nieokreślonem uczuciem ujęty, ukrył się za drzewem, nie spuszczać oczu z wózka, zbliżającego się zwol-

na. Anielka sama powoziła; w pewnej chwili ujęła lejce w jedną dłoń, zatrzymała konia, drugą wzniosła do góry i długo rozglądała się w przestrzeni. Dwie jaskółki sfrunęły z błękitu i zawisły na końcach palców, po chwili trzecia sfrunęła na ramię. Lazurowe oczy Anielki jaśniały pogodą, usta wpół rozchylone tchnęły niewysłowioną słodyczą i jasna jej twarz na tle błękitu niebios była obrazem radosnego zachwytu. Pociągnęła lejce, koń ruszył. Jaskółki wciąż chwiejąc się na jej palcach, były zlekka skrzydełkami, jakby zrywały się do lotu, zwrócone do niej dziobkami. Zrobiła nad głową parę rytmicznych półkoli — jaskółki sfrunęły i zginęły w błękicie, ścigane jej spojrzeniem...

.....

Pewnego popołudnia wytrząchnął ryb obficie z gęsto stawianych węcierzy. Że była „gorączka“, więc, aby ryb nie marnować, postanowił zaraz dostawić je do miasteczka i sprzedać Szlomie, stałemu nabywcy. Był piątek, więc i zbyt łatwiejszy...

Zapуścił się w dalekie odnogi strumienia, co wiał się śród puszystych łąk, pod niebem jasnym. Śmigąło czółno, unoszone prądem, przedzierało się przez wąskie kanały, zarosłe gęsto wodorostami, roztrącając splecione warkocze wikliny. Aż wreszcie wyrwało się na szerokie koryto rzeki; mknęło strzałą — śród brzegów wysokich, umajonych, śród szmerów, plusków i szczebiotu ptactwa.

Skręcił znów i, płynąc wąską strugą między mokradłami, ujrzał niebawem kilkadziesiąt lichych,

brudnych domostw, kilka domów murowanych, rozrzuconych bezładnie na błotnistej płaszczyźnie.

Zatrzymał łódź w miejscu, gdzie domostwa zbiegały tuż do strugi, wyszedł z łodzi na brzeg i krzyknął donośnie: Szłoma! Nikt nie nadchodził, więc wrócił do łodzi, usiadł na ławce, krzyknął raz i drugi. Tymczasem zwabione wołaniem, wypęły jak z pod ziemi gromady brudasków, zastąpiły wybrzeże, przysłaniając się rybakowi, zerkając na trzepocące się ryby P. Tomasz sięgnął siatką na drążku do zastawy w czółnie, napelnionej wodą, nabrał kilka sztuk i wyrzucił na brzeg. Zaiskrzyły się ślepka i bachurki kociami ruchami rzuciły się na ryby, wzajem wydzierając je sobie. Aby zapobiec bitwie, znów wyrzucił sztuk kilka. Rzesza wciąż się zwiększała, a p. Tomasz wciąż wyrzucał ryby na brzeg, nawołując ścicha:

— Dzieci, spokojnie, każde dostanie!

Starzy wylegli z domostw; kiwali głowami, łokciami się szturchając, jakby oczom nie wierząc. Nadbiegł Szłoma, gdy na dnie zastawy leżało już tylko kilka ryb.

— Aj, kto teraz kupi, każdy darmo ma! — narzekał, drapiąc się w głowę. Zabrał resztę ryb za psi pieniądz. Nadbiegła staruszka, prosząc trzęsącemi się rękoma o „najmniejszą rybkę”; p. Tomasz obiecał na raz następny.

Od owego dnia powtarzał wycieczki do miasteczka, dzieląc rzeszę brudasków rybami, oczekiwany i witany radosnemi krzykami i piskami dziatwy. To-

warzyszyła mu często Anielka, ciesząc się wraz z dziećmi; pilnowała sprawiedliwego podziału, Połów wędką z jednego ranka wystarczał na obdzielenie zgłodniałej rzeszy. I Anielka poczęła mniej się krzywić na wędkę...

Wyzłociła się toń słońcem lipcowym, stojącym u zenitu. Czerniły się tam i sam ruchome plamy: nury raz wraz znikające pod wodą. Dał wiatr rzeźki, mocny, kołysał łódź, podrywał liście, rozwiane białe gwiazdy nenufara. I nadbrzeżnych młodych brzózek gromadka, wyginając się na wietrze, rozochociła się swawolą — szelestów, śmieszków, chichotów. I uczuł w sercu radosny wstrząs... Ujrzał ją znów, gdy po długiemi niewidzeniu pęk konwalji rzucił jej na kolana... I widział ją znów jasną, skupioną, i chwytającą w łocie jego ruchy, i całą rozfalowaną niemowną radością, że zachwyty, jaki w nim budzi swą obecnością — ziszcza szczęście ludzkie. I rzekła wtedy drżąca:

— Jak ty umiesz mną się cieszyć!

Posiadł moc zapatrzenia: ogarniając oczyma świat, całym sobą brał go w posiadanie, czuł go w sobie. On istniał nie dla niego, ale nierozdzielnie w nim; stał się nierozzerwalnym łańcuchem czuć, przeżyć krystalizacji.

Słońce świeciło blaskiem jego oczu — rodzimą jasnością zachwyty — starą i wiecznie młodą jak życie. Pogodą swych myśli błękit niebios roztaczał i

rozpuszczał, po przestworzu obłoki zwiewne — gońce marzeń, widziadeł, urojeń. Zasnuwał niebiosą szarym smutkiem i zakuwał w ołów chmur nisko zwisłych, brzemiennych udręką samotną. I płakał strugami deszczu — łzami bezradnej, ludzkiej niedoli.

W rytmie własnego serca czuł wielki rytm przyrody, a w jej głosach, rozdźwięcznych dla ucha — słyszał wielką symfonię zasłuchania serca.

Wiatr pęd brał w jego piersi — z tęsknot, z pragnień, z porywów. I w każdym źdźble trawy zdeptaanej, złamanej trzcinie, w roztulającym się pąku i w locie ptaka, i w nikłym jego cieniu, po toni pierzchającym, w każdym ruchu fali, w jej barwie i błysku, we wszystkich szmerach i szeptach, echach i gędźbach — odnajdywał głęboką, utajoną treść — ciągłość przejawów ducha po przez wszelkie twory i zjawy.

W owe godziny zapatrzeń, rozmyślań, spędzone na jeziorze, stary rybak całkiem zapomniał o połowach.

.

P. Tomasz zwolna popychał łódź, płynąc wzdłuż trzcin. Słońce już zaszło i cichość błoga legła na wody. Roje muszek srebrzyły się nad powierzchnią.

Wyłynął na szeroką toń i skierował łódź do brzegu, zamierzając łodem wrócić do domu.

Na niewielkiej polance, wśród gaju laskowego spo-

strzegł postać Anielki: siedziała, na dłoni coś podając leżące u jej kolan łani. Bez szmeru poruszył parę razy wiosłem. Nie mógł dojrzeć oczu Anielki; twarz jej, słodyczą letniego zmięzchu natchniona, cicha była, pogodna i anielsko piękna.

Patrzył długo w zachwyceniu i nagle głowę opuścił: poczuł brzemię starości, twardą, niezłomną konieczność kresu — za lat parę, czy kilka...

I okrucieństwo tej świadomości, gdy serce bije jeszcze najczystszy zrodem zachwytyu...

I czemuż oczy, tylekroć smutkiem zawodu mroczone, bólem trawione, rozpaczą zmętniałe — u progu mogiły rozpromieniły się najczystsza tęsknotą i serce uderzyło najżywszem tętnem?

Czy może cała męka pracowitego żywota była konieczna, aby teraz, odciągając oczy od mrocznego grobu, mógł rozpromienić je pełnią zachwytyu i z serca wydobyć najpiękniejszą i najgłębszą treść?... Czy ...

Nagle wiosło, niezręcznie oparte o ławkę, z łoskotem spadło na dno łodzi. P. Tomasz podniósł głowę: spłoszona łania zerwała się i znikła w gęstwi. Anielka szybko powstała i wybiegła na brzeg.

— Dobry wieczór, przepraszam, spłoszyłem towarzyszkę — rzekł, dobijając do brzegu.

— To nic, ona wróci! odpowiedziała żywo, wskakując do łodzi.

Wracali razem do domu. Anielka śpiewała pieśń Mendelsoņa, grywaną przez p. Tomasza.

.

— Chodź, waść, pogadamy! zawołał, odkładając książkę. Szpak sfrunął z szafy, usiadł na stole i gwiznął ostro, rozkazująco.

— Waść głodny, widzę! Sięgnął do szafki pod ręcznej, ukrajał sera i nadrobił na serwecie. Szpak przydreptał i zaczął dziobać, potrząsając główką.

Dłuższa słota trzymała p. Tomasza na uwięzi. Przyzwyczajony do zajęcia, naprawiał sieci, szykował wędy, czytał, grał, robił rachunki: wszystkiego już miał dosyć, markotny, zamyślony. Pochylił się starczo, sam czuł, że w ciągu ostatnich miesięcy troska go zmogła, starość srodze zaciążyła. Choć to był za ledwie początek lata, decydował się już wyjechać: po raz pierwszy o tej porze od lat sześciu, odkąd osiadł w Orlu.

Szpak wyskubał ser co do odrobiny, skurczył się, główkę wtulił w szyję, zasępiony — jak jego pan.

— Czemu to waść taki markotny?

Szpak odwrócił się bokiem, próbując drzemać, zerkając raz wraz czarnem okiem na szybę załzawioną.

— Waść mocno się frasuje! powtórzył p. Tomasz. — Słota, panienska nie przychodzi, już dawno nie była!

— No odezwij się waść, bo mi samemu markotno! Niema Anielki — dodał po chwili.

Szpak odwrócił głowę i spojrzał jednym okiem na pana.

— Adyc ty się na mnie nie dasaj! Czym cię

skrzywdził? Czym cię więził? Pamiętasz, stary, jak ze skrzydłem złamanem przyniesiono cię z nad jeziora? Ona cię wyleczyła, że niegorzej latasz od swych kolegów. I cóż? Widać polubiłeś ten cichy mój dom, bo nie uciekasz, choć drzwi i okna narozścież otwarte... Boś zniknął i wracał do mnie, do nas, mój jedyny przyjacielu! Tak, jedyny! Był jeden — dawno, jak dawno już w grobie! I wszyscy odeszli! Otom sam, szpaczku, sam! I ona odejdzie, bo piękna i, młoda, a przedemną już tylko...

Tu głos starca załamał się boleśnie i dwie wielkie łzy błysnęły w jasnych jego oczach

Wyciągnął dłonie przed siebie.

— Pójdź, druhu! Ty jej życie zawdzięczasz, jak ja — ostatnie błogosławieństwo życia.

Ptaka zerwał się, otrząsnął piórka przydreptał żywo, wskoczył na dłoń, podfrunął i usiadł na ramieniu pana.

Starzec otarł łzę, spływającą po policzku, wziął lekko szpaka, postawił przed sobą na stole i, nachylając się ciepłym oddechem, cicho mówił:

— Tyś także częstką Polski, częstką żywego jej piękna! Słuchaj mnie! Długie lata przeżyłem, gdy mówiono tylko o jej zbrodniach, grzechach i winach, potem — o jej krzywdach, niedoli, potem — o jej ranach, kalectwach, bolączkach. I znalazło się znachorów więcej, niż chorób... Zapomniano o jej Piękni! Ale, ta ziemia, nasiąkła krwią, wielokroć już przeorana — i zmilknie wrzaskliwy rozgwar jarmarczny nieuctwa i opilstwa władzą!...

— To się już budzi: żywe piękno Polski! Budzi się w duszy pokolenia: żywe Piękno Polski!... Może też z moich zapatrzeń i dróg moich samotnych jakiś ślad, mój druhu, zostanie!

Nastały dni chłodne, chmurne. Wiatr pędził chmurzyska, rwał je w strzepy, rąbek błękitu na chwilę odsłaniał, łudzac złośliwie stęsknione oczy i zapychał jasną szczelinę w przestworzu szarem, brudnym płachciem, siekł parę razy na dzień deszczem ostrym, gwałtownym, rzadkim, zimnym. Niby to lato, a wyglądało na późną jesień. Dojrzałe zboża daremnie czekały sierpa i kosy. Dla rolnika zapowiedział się rok klęskowy.

P. Tomasz nie mógł usiedzieć w domu, ubrał się w kożuszek, ze zwyczaju zabrał dwie wędki, nie myśląc zresztą o połowie, odwiązał łódź od brzegu, wyruszył na jezioro.

Łódź z miejsca zakołysała się, porwana w zawrotny płas. Sfalowane, spienione wody ponurą głębią spoglądały. Nie mając celu przed sobą, puścił łódź z wiatrem; z głośnym pluskiem ślizgała się po falach szmaragdowych. Wdarł się w najbliższą gąstw trzciny przywiązał łódź u steru, aby stała na miejscu, usiadł na ławce.

Chwiały się trzciny na wietrze, tuląc się do siebie, rozszeptane, rozszemrane; miotane wiatrem trzęsły się, dygotały jak w febrze, wydając głosy buntu, tchnienia żałosne.

Zapatrzył się w szare niebiosa.

— Co mu życie przyniosło? C z niego wziął? Nie kochał tego, co zwykło się życiem mianować. Za kęs chleba powszedniego spłacał dług pracą rzetelną. Nie dorobił się przy najskromniejszych potrzebach: gdyby nie spadek, zresztą niespodziewany, nędzę miałby towarzyszką starości. Nie uchylił się od żadnego obowiązku, od żadnej ofiary: kilkakroć więziony przez wroga, piętnowany, ścigany przez swoich — wskutek żywości serca i zrozumienia konieczności życia — podejmował zaciętą walkę z wszelką przemocą, z rodzimem wstecznictwem, wyzyskiem, obłudą, doznając zawsze wrażeń, jakby odrzucał od siebie obrzydliwe, natrętne robactwo. Nie kochał jednak nigdy tego życia, gdzie na jeden błysk prawdy, serdecznego porywu — czyha cała zgraja pięści brutalnych, spojrzeń tępych, zawistnych, obłudnych i kaskada jadowitej śliny padalców.

W odwiecznym źródle wszechnatchnień — w niebiosach, wodach i ziemi czuł Polskę.

I Anielka — kobieta kochana — to najpiękniejszy jej kwiat!

A trzciny, wiatrem kołysane, żalnie wciąż szemrały. . .

Zbudził się w panu Tomaszu stary, niepoprawny włóczęga. Pomimo wylękłych, proszących spojrzeń Anielki oddalał się z domu na dwa i trzy dni, sypiał

na łodzi lub gdziekolwiek po drodze u rybaków, ćmił wraz z niemi papierosy, gawędząc o wodach, rybach, o troskach rybackiego zawodu. Niejednemu snadnie i porady udzielił na bóle w krzyżu i „darcie w kościach“, lekarstwo zapisał, a nie licząc się z czasem, ciekawemu dokumentnie wyłożył, skąd się ból on bierze co po kościach łązi. I słuchały go twarze pocziwe, ogorzałe, wiatrami zsieczone; kiwano głowami: wiadomo, człowiek uczony, to i posłuchać warto.

Uganiał się po wodach za sumami, rapami, stawiął sznury, albo i nic zgoła nie robił. Rozglądał się, bratał ze wszystkim, co żyło, poruszało się, rozszepetane, rozspiewane rodzimemi głosy.

— Weselił się w słońcu bystry prąd strumienia błyskami żywych oczu dziecięcych — pragnień, porywów, nadziei, przejrzysty nawskroś parskał i śmiał się — i biegł wśród zielonych, ukwieconych łąk — i ginał w błękitnej dali młodzieńczego rozmarzenia...

— Witaj, jasna zjawo, minionych radości !..

— Jasne oko przyrody, cudna toni wód !

— Zwierciadło duszy, pięknem zachwyconej !

— Jak oczy kochanki! Witaj! — szeptał, wpatrzony w ciche zatoki, szuwarem chwiejnym okolone, mgłą ranną, opalową zasnute, gdzie cień brata się z blaskiem, pełne sennych widziadeł, cudnych kształtów zwiewnych, rumieńców liljowych, to skrzące się w słońcu południa — rozdrżane blasków, połysków — pragnień, kaprysów mozaiką; to cieniem troski,

— chmurki przelotnej zmroczone; w ciche zmierzchy
— tęsknotą rozlewną tchnące — oczy kochanki!

— Witaj, zjawo promienna! — szeptał zapatrzony.

W dni chmurne, wietrzne popychał swą łódź samotną, uporając się z wiatrem, pod niebem, troską czarną zawleczoną — szeroką jak świat.

Z manjacką zapamiętałością przebywał wiry rzeczne, odmęty. Płynął wzdłuż strumych brzegów, pod baldachimem skrzydeł opiekuńczych — nisko zwisłych, rozszeptanych gałęzi, wsłuchany w ciche litanje szuwarów rozchwianych, w poszumy wiatru na rozległych łągach, w westchnienia żalne fal chyżych, bezpowrotnych, uciekających przed nim w siną dal! . . .

.....

Dzień był parny, znojny.

W miejscu, gdzie strumień wpadał do jeziora, podpłynął do trzcin, zatrzymał łódź. Rozejrzał się po niebie: szła burza. Coś drgnęło w piersi starca: dzika, bezimienna radość!

Wyplłynął na środek jeziora. Złożył wiosła.

Szła z zachodu, czołem wyzłoconem kryjąc słońce na schyłku, ciemnosina, złowróźbna; szeroko rozparła się nad borem czarnym. Szła szybko, potężniała, rosła, zgarniając błękit szerokimi skrzydłami — pół niebios zajęła! A na jej spotkanie płynęła chmu-

ra, ciemnym fioletem barwiona, pędziła chyżo, ściągając do siebie obłoków rozpierzchłych stado.

Daleki brzeg cisza zaległa. Gładka, ciemna toń, jakby znużeniem śmiertelnem rażona, stała nieruchoma, topiąc w posępnych swych głębiach cienie powietrznych potworów.

Poszumem szerokim muśnięta, zlekka się marszcząc, westchnęła toń.

Ostatni, rąbek błękitu wchłonał mrok.

Daleki brzeg tumanem kurzu zasnuła zawierucha, targając rozwiane grzywy drzew i trzcin przybrzeżnych zwarte, szumne zastępy.

Zafalowało jezioro.

Łódź drgnęła, zakołysała się w rytm kołysanki.

Powstał, olśniony blaskiem pierwszej błyskawicy.

Zabrzmiał daleki grom.

Fale rosły, ciemno — szmaragdowe, biegły rozpętaną zgrają; dźwigały z mroku czarne kadłuby, piętrzyły się, przewalały — spienione, szumne, rozszalałe. Porywały łódź; niosły na swych grzbietach i rzucały w obłądny tan.

Stał, wsparty na wiosle.

Nie wroga spotykał. Poddawał burzy pierś nieulęklą, serce radośnie rozdrżane mocą zwycięskiego żywiołu. Roziskrzonymi oczyma chwycił błyskawice — ogniste cięcia skrzydeł archanielskich, godzące w mrok... Słuchał radosny muzyki gromów.

Rozprężył ramiona i, dając się ponosić, dłońmi drżącą błogosławił tej fali rozszalałej, wiernej, rwącej się z własnego jego serca.

W odmęcie wichru, nawałnicy, szumu spienionych wód, błyskawic, prujących otchłan mroku, wśród gromów bijących — śpiewało serce radosne:

— O to sam — w smutku i w radości!

KONIEC.

ROZDZIAŁY:

	str.
1. Wstęp	1
2. Sielanka	3
3. Wagary	19
4. Na Lemanie	31
5. Na karpie!	52
6. Na rafach wiślanych	74
7. Stary rybak	84
8. Wełnianka	96
9. Lipcowe południe	108
10. Stary młyn	113
11. O świcie	119
12. Ustronie	124
13. Nad Skrwą	137
14. Na tamach wiślanych	140
15. Łukowa	150
16. Rucień	158
17. Zimowy połów	163
18. Szary dzień	168
19. Po latach	176
20. Na kępie	192
21. Nad Porem	206
22. W Orlu	219

**INSTYTUT
DANIELERACIŃSKI FAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-930 Warszawa

tel. 26-68-65, 26-52-31 w. 42



<http://rcin.org.pl>

F
794